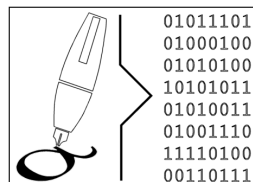


DOUGLAS ADAMS

# Długi mroczny podwieczorek dusz

Przełożyła: Kinga Dobrowolska



Tytuł oryginału:

*Long Dark Tea-Time of the Soul*

Data wydania polskiego: 1999 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: r.

# Rozdział pierwszy

Trudno doprawdy przypisać czystemu zbiegowi okoliczności fakt, iż w żadnym z ziemskich języków nie powstało dotąd powiedzenie: „Ładny jak lotnisko”.

Lotniska są brzydkie. Niektóre są bardzo brzydkie. Niektóre zaś wznoszą się na taki poziom brzydoty, jaki można osiągnąć jedynie w wyniku szczególnych starań. Ich brzydota bierze się stąd, że lotniska są na ogół pełne zmęczonych i rozeźlonych ludzi, którzy dopiero co odkryli, że ich bagaż wylądował w Murmańsku — lotnisko w Murmańsku jest jedynym wyjątkiem od tej skądinąd niezawodnej reguły — a architekci z zasady starają się odzwierciedlić ten stan rzeczy w swych projektach. Dokładają wszelkich starań, aby przy użyciu brutalnych kształtów i szarpających nerwy kolorów uwypuklić motyw zmęczenia i rozeźlenia, aby jak najbardziej ułatwić podróżnemu rozstanie z najbliższymi i bagażem, aby oszołomić go strzałkami, które na pierwszy rzut oka zdają się wskazywać najbliższe okno, jakiś odległy stojak lub aktualną pozycję Wielkiej Niedźwiedzicy na nocnym niebie. Starają się także należycie wyeksponować wszystkie instalacje wodnokanalizacyjne — ponieważ są funkcjonalne — oraz starannie zamaskować wszystkie wyjścia — pewnie dlatego, że funkcjonalne nie są.

W samym środku morza mglistego światła oraz morza mglistego hałasu stała Kate Schechter, pogrążona w wątpliwościach.

Wątpliwości targwały nią przez całą drogę z Londynu na Heathrow. Nie chodziło tu o żadne przesady ani o zwątpienie natury religijnej — po prostu wahała się, czy powinna lecieć do Norwegii. Coraz łatwiej jednak przychodziło jej wierzyć, że Bóg (jeśli Bóg istnieje i jeśli zachodzi choć cień możliwości, aby jakaś boska istota, która w akcie stworzenia zdolna była rozdysponować wszystkie molekuly, była zainteresowana regulacją ruchu na trasie M-4) nie chce, żeby Kate tam leciała. Cały ten kłopot z biletami, znalezieniem sąsiadki z przeciwka, która zaopiekuje się kotem, znalezieniem kota, którym mogłaby się zaopiekować sąsiadka z przeciwka, niespodziewany przeciek w dachu, zaginiony portfel, pogoda, niespodziewana śmierć sąsiadki z przeciwka, cięża kota — wszystko to razem przypominało starannie zaaranżowaną kampanię przeciwności, która powoli zaczynała osiągać rozmiary zaiste boskie.

Nawet kierowca taksówki — kiedy zdołała wreszcie złapać taksówkę — po-

wiedział:

— Do Norwegii? A po co pani tam jedzie?

A kiedy zamiast odpowiedzi natychmiast: „Zorza północna!” albo „Fior-  
dy!”, obrzuciła go pełnym zwątpienia spojrzeniem i przygryzła wargę, dorzucił:

— Już wiem. Założę się, że wlecze panią za sobą jakiś typek. Wie pani co,  
niech pani każe mu się wypchać. Niech pani jedzie na Teneryfę.

To był jakiś pomysł. Na Teneryfę.

Albo zgoła, przemknęła jej przez głowę śmiała myśl, do domu. Wpatrywała  
się niemo przez okno taksówki we wściekłą gmatwaninę ruchu ulicznego. Myślała  
sobie, że jakkolwiek panowała tutaj paskudna pogoda, to wszystko to i tak jeszcze  
nic w porównaniu z tym, co czeka ją w Norwegii.

Albo też, w rzeczy samej, w domu. Jej dom był obecnie tak samo skuty lodem  
jak Norwegia. Skuty lodem i naznaczony buchającymi z ziemi gejzerami pary,  
przyobleczonej w kształty na zimnym powietrzu i ulatniającej się z wolna wśród  
lodowcowych klifów Sixth Avenue.

Szybki rzut oka na życiowy szlak, który Kate przebyła w ciągu swych trzy-  
dziestu lat, pozwolił nam się upewnić, że bez wątpienia pochodzi ona z Nowego  
Jorku, choć przeżyła w tym mieście bardzo niewiele czasu, a większość swego  
życia spędziła z dala od niego: w Los Angeles, w San Francisco, w Europie, pięć  
lat temu zaś, kiedy jej nowo poślubiony mąż, Luke, zginął w wypadku, przywo-  
łując nowojorską taksówkę, ruszyła w roztargniony wojaż po całej Południowej  
Ameryce.

Lubiła myśleć, że Nowy Jork to jej dom i że za nim tęskni, ale tak naprawdę  
tęskniła jedynie za pizzą. Nie za pierwszą lepszą staroświecką pizzą, ale za taką,  
którą przywiozą ci pod drzwi, jeśli tylko zadzwonisz i o to poprosisz. To właśnie  
była jedyna prawdziwa pizza. Pizza, po którą należało wyjść z domu i siedzieć  
potem przy restauracyjnym stoliku, wpatrując się w czerwone papierowe serwetki,  
nie mogła być prawdziwą pizzą — i to bez względu na to, ile miałyby na sobie  
dodatkowych pepperoni i anchois.

Londyn był miastem, w którym najbardziej lubiła mieszkać — rzecz jasna, je-  
śli pominąć problem pizzy, który doprowadzał ją do szewskiej pasji. Dlaczego nikt  
tutaj nie chce dostarczyć pizzy do domu? Dlaczego nikt nie chce zrozumieć, że  
w całej naturze pizzy najbardziej fundamentalne znaczenie ma fakt, aby przybyła  
pod drzwi zapakowana w kartonowe pudełko? Że trzeba wyłuskać ją spomiędzy  
pergaminów i jeść w złożonych na pół kawałkach przed telewizorem? Czego bra-  
kuje tym głupim, nadętym, niemrawym Anglikom, że nie mogą pojąć tak prostej  
zasady? Z niewiadomych powodów była to jedyna przyczyna frustracji, z którą  
Kate za nic nie mogła sobie poradzić, dlatego mniej więcej raz na miesiąc wpa-  
dała w głęboką depresję, dzwoniła do którejś z pizzerii, zamawiała największą,  
najbardziej suto przybraną pizzę, jaką mogła wymyślić — taką, która w zasa-  
dzie miała na sobie w charakterze dodatku kolejną pizzę — a potem niesłychanie

uprzejmie prosiła o dostarczenie jej do domu.

— Co takiego?

— Proszę ją dostarczyć. Zaraz podam panu adres. . .

— Nie rozumiem. Czy pani nie zamierza jej odebrać?

— Nie. Czy pan nie zamierza jej dostarczyć? Mój adres. . .

— E, nie robimy tego, proszę pani.

— Czego nie robicie?

— E. . . Nie dostarczamy.

— Nie dostarczacie?! Czy ja dobrze słyszę?

Tu wymiana zdań szybko przeistaczała się w paskudną i nieelegancką szermierkę słowną, z której Kate wychodziła roztrzęsiona i osłabła, lecz następnego ranka czuła się znacznie lepiej. Pod każdym innym względem należała do ludzi o tak anielskim usposobieniu, jakich każdy życzyłby sobie poznać.

Lecz dzisiejsza próba sięgnęła granic jej możliwości.

Na drogach panowały potworne korki, a kiedy odległe błyski niebieskich świateł uświadomiły jej, że przyczyną jest wypadek drogowy gdzieś daleko w przodzie, Kate spięła się jeszcze bardziej i z determinacją utkwiała wzrok w przeciwnym oknie, dopóki nie przepętlęli obok miejsca zdarzenia.

Kiedy wreszcie dotarli do celu, taksówkarz wpadł w zły humor, bo nie miała odliczonych pieniędzy, co dla niego oznaczało długotrwałe przeszukiwanie kieszeni obcisłych spodni. Wszędzie wokół panowała ciężka i burzliwa atmosfera. Stojąc w głównej hali odpraw celnych na drugim terminalu lotniska Heathrow, Kate nie mogła wypatrzeć stanowiska, przy którym odprawiano jej lot do Oslo.

Przez chwilę stała nieruchomo, oddychając spokojnie i głęboko, i próbowała nie myśleć o Jean-Philippe.

Jean-Philippe był, jak trafnie odgadł taksówkarz, tą przyczyną, dla której udawała się do Norwegii, ale też przyczyną, dla której była przekonana, że Norwegia nie jest tym akurat miejscem, do którego chciałyby się udać. Dlatego kiedy tylko zaczynała o nim myśleć, w głowie budziły się leciutkie drgnienia wahań, lepiej więc było nie myśleć o nim wcale i ruszyć do Norwegii, jakby i tak miała zamiar tam jechać. Potem będzie niesłychanie zaskoczona, kiedy wpadnie na niego w hotelu, którego nazwę zapisał jej na karteczce, tkwiącej teraz w bocznej kieszonce torebki.

Prawdę mówiąc, rzeczywiście będzie zaskoczona, jeśli go tam zastanie. Jest o wiele bardziej prawdopodobne, iż zastanie tylko wiadomość, z której wyczyta, że wysłano go nieoczekiwanie do Gwatemali, Seulu czy też na Teneryfę i że stamtąd do niej zadzwoni. Jean-Philippe był najbardziej nieustannie nieobecną osobą, jaką знаła. Punktem kulminacyjnym całej serii. Odkąd za sprawą wielkiego żółtego chevroleta utraciła Luke'a, w dziwny sposób uzależniła się od poczucia pustki, jakie wzbudzali w niej wszyscy kolejni pochłonięci sobą mężczyźni.

Próbowała zepchnąć na dno umysłu te myśli; nawet zamknęła na chwilę oczy. Zamarzyło się jej, że kiedy znów je otworzy, ujrzy przed sobą drogowskaz: „Do Norwegii”, i nie namyślając się podąży we wskazanym kierunku. W ten właśnie sposób — nasza ją refleksja — brały swój początek wszystkie religie i chyba właśnie dlatego na lotniskach roi się od różnych sekt, czyhających na kandydatów na kolejnych nawróconych. Wiedzą, że tylko tutaj, znalazłszy się w stanie kompletnego pomieszania, ludzie są zupełnie bezbronni i gotowi przyjąć każdego przewodnika.

Kate otworzyła oczy i — rzecz jasna — rozczarowała się. Lecz chwilę później kołyszająca się przed nią fala rozeźlonych Niemców w nieopisanie żółtych koszulkach poło rozstała się na mgnienie oka i wtedy zdołała wreszcie dojrzeć stanowisko odpraw lotu do Oslo. Zarzuciwszy na ramię torbę podróżną, ruszyła w tamtym kierunku.

Przed nią stał tylko jeden mężczyzna i, jak się okazało, mężczyzna ten miał — albo raczej stwarzał — problemy.

Był to mężczyzna postawny, imponująco postawny i dobrze zbudowany, lecz zdecydowanie miał w wyglądzie coś niezwykłego, czego Kate nie potrafiła na razie określić dokładniej. Nie wiedziała, co wydało jej się dziwne, wiedziała natomiast, że odruchowo i natychmiast wpisała go na listę tematów, o których nie należało w tej chwili myśleć. Przypomniała sobie artykuł, w którym wyczytała, że centralna jednostka przetwarzająca dane w mózgu ma tylko siedem ścieżek rejestrujących, co oznacza, że kiedy myśli się o siedmiu sprawach naraz i szybko pomyśli się o czymś jeszcze, wtedy jedna z tych siedmiu spraw wypada z pamięci.

Szybciotko pomyślała o tym, czy istnieje możliwość, że złapie swój samolot; o tym, czy dzień rzeczywiście jest do bani, bo może to tylko wykwit jej bujnej wyobraźni; o personelu linii lotniczych, który uśmiecha się czarująco, a jest przy tym oszałamiająco niegrzeczny; o sklepach wolnocłowych, w których ceny mogłyby być o wiele niższe, ale — dziwna rzecz — nie są; o tym, czy przypadkiem nie kielkuje jej w głowie artykuł na temat lotniska, który mógłby pomóc w sfinansowaniu tej wycieczki; o tym, czy pasek torby będzie mniej pił w drugie ramię; na koniec, wbrew wszelkim intencjom, pomyślała o Jean-Philippe, który sam w sobie stanowił kolejne siedem podpunktów.

Wyłócający się mężczyzna wypadł jej z pamięci.

Dopiero kiedy z głośników rozległo się ostatnie wezwanie dla podróżnych udających się do Oslo, uwaga Kate z powrotem skupiła się na tym, co działo się tuż przed nią.

Postawny mężczyzna awanturował się o to, że nie zarezerwowano mu miejsca w pierwszej klasie. Jak wkrótce wyszło na jaw, stało się tak dlatego, że mężczyzna ów wcale nie miał biletu na pierwszą klasę.

Kate poczuła, jak jej nastrój gwałtownie opada na samo dno duszy, gdzie krąży, warcząc głucho, w poszukiwaniu ofiary.

W następnej chwili wyszło na jaw, że stojący przed nią mężczyzna wcale nie ma biletu. Od tego momentu dyskusja zaczęła toczyć się w dość dowolny a złośliwy sposób wokół tematów takich jak: wygląd zewnętrzny pracownicy lotniska, jej cechy osobowe, teorie na temat jej przodków, spekulacje na temat niespodzianek, jakie może kryć w sobie przyszłość dziewczyny oraz linii lotniczych, dla których pracowała, aż w końcu rozświetliła się nadzieją przy szczęśliwym napomknieniu o karcie kredytowej mężczyzny.

Nie miał karty kredytowej.

Dyskusja rozgorzała na nowo, tym razem o czekach i o tym, dlaczego linie ich nie przyjmują.

Kate obrzuciła długim, morderczym spojrzeniem swój zegarek.

— Przepraszam bardzo — odezwała się, przerywając te pertraktacje. — Czy to jeszcze długo potrwa? Muszę złapać samolot do Oslo.

— Obsługuję teraz tego pana — odrzekła pracownica. — Zajmę się panią dosłownie za sekundę.

Kate skinęła głową i uprzejmie poczekała, aż upłynie dosłownie jedna sekunda.

— Chodzi o to, że samolot zaraz startuje — odezwała się ponownie. — Mam tylko jedną torbę, mam bilet i rezerwację. Nie zajmę pani więcej niż trzydzieści sekund. Przykro mi, że się wtrącam, ale będzie mi jeszcze bardziej przykro, kiedy spóźnię się na samolot z powodu głupich trzydziestu sekund. I to właśnie będzie prawdziwe trzydzieści sekund, a nie trzydzieści „dosłownie sekund”, które mogą potrwać nawet całą noc.

Urzędniczka odwróciła się do Kate w pełnym blasku błyszczyka do ust, lecz zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, postawny jasnowłosy mężczyzna także się odwrócił, a jego twarz wzbudziła w Kate lekki niepokój.

— Ja też — odezwał się powolnym, rozzłoszczonym, nordyckim głosem — chciałbym lecieć do Oslo.

Kate wytrzeszczyła na niego oczy. Wyglądał na tym lotnisku jak nie na swoim miejscu, a raczej to lotnisko wyglądało przy nim jakoś nie na miejscu.

— No cóż — odparła. — W tym stanie rzeczy żadnemu z nas się to nie uda. Czy nie dałoby się tego wszystkiego jakoś rozwiązać? W czym problem?

Pracownica linii lotniczych obrzuciła ją czarującym, martwym uśmiechem i odpowiedziała:

— Nasze linie lotnicze z zasady nie przyjmują czeków.

— Ale ja przyjmuję — oznajmiła Kate, trzaskając o blat swoją kartą kredytową. — Proszę potrącić za bilet tego pana, a ja przyjmę od niego czek. OK? — rzuciła w stronę postawnego mężczyzny, który zaskoczony przyglądał jej się uważnie. Wielkie, błękitne oczy sprawiały wrażenie, jakby w swoim czasie naglądały się lodowców. Były nadzwyczaj aroganckie.

— OK? — powtórzyła Kate żwawo. — Nazywam się Kate Schechter. Dwa razy ce, dwa ha, dwa e, plus jedno te, jedno er i jedno es. Jeśli któregoś nie zabraknie, w banku nie będą się czepiać kolejności. Chyba sami jej nie znają.

Mężczyzna wolno skłonił ku niej głowę w niezbyt zgrabnym ukłonie uznania. Podziękował za dobre serce, uprzejmość i jeszcze jakieś norweskie słowo, które jej umknęło, oświadczył, że już od dawna nie spotkało go nic równie miłego, że jest kobietą wielkiego ducha i jeszcze jedno norweskie słowo oraz że jest jej zobowiązany. Dodał też, po namyśle, że nie ma książeczki czekowej.

— Dobra! — oświadczyła Kate, zdecydowana, że nie da się zepchnąć z raz obranego kursu. Wyłowiła z torebki skrawek papieru, sięgnęła po leżący na ladzie długopis, nabazgrała coś i wcisnęła mężczyźnie papier do ręki.

— To mój adres — powiedziała. — Proszę mi przysłać pieniądze. Jeśli będzie trzeba, niech pan zastawi swój kozuch. I niech mi pan je wyśle. OK? Zaryzykuje i zaufam panu.

Mężczyzna wziął od niej kartkę, niesłuchanie powoli przeczytał, poskładał z wyszukaną troskliwością i włożył do kieszeni kozucha. Jeszcze raz leciutko się skłonił.

Kate nagle zdała sobie sprawę, że urzędniczka czeka na swój długopis, żeby wypełnić blankiet karty kredytowej. Poirytowana, pchnęła ku niej długopis, wręczyła własny bilet i zmusiła się do lodowatego spokoju.

Przez głośniki zapowiedziano odlot samolotu do Oslo.

— Proszę o paszporty — rzekła niespiesznie urzędniczka.

Kate wręczyła jej swój, a mężczyzna oświadczył, że paszportu nie ma.

— Co takiego?! — wykrzyknęła Kate, urzędniczka zaś po prostu znieruchomiała i wpatrywała się niemo w nie określony bliżej punkt czekając, aż ktoś inny zrobi pierwszy ruch. To nie był jej problem.

Mężczyzna powtórzył ze złością, że nie ma paszportu. Wykrzyczał to i rąbnął pięścią o blat tak mocno, że spowodował w nim lekkie wgięcie.

Kate wzięła swój bilet, paszport, kartę kredytową, po czym zarzuciła torbę na ramię.

— Ja wysiadam — oznajmiła i oddaliła się. Czuła, że zrobiła co w ludzkiej mocy, żeby złapać ten samolot, ale najwyraźniej nie było jej pisane. Wyśle wiadomość do Jean-Philippe'a, że nie może być w Oslo — wiadomość, którą pewnie zatkną w drzwiach tuż obok kartki od niego, wyjaśniającej, dlaczego on także nie może tam być. Po raz pierwszy oboje będą tak samo nieobecni.

A na razie musi trochę ochłonać. Wyruszyła na poszukiwanie najpierw gazety, a następnie filiżanki kawy, lecz ponieważ podążyła za właściwymi strzałkami, nie zdołała odszukać ani jednego, ani drugiego. Później nie była w stanie znaleźć sprawnego telefonu, przez który mogłaby nadać swoją wiadomość, więc postanowiła dać sobie spokój z lotniskiem. Po prostu wydostań się stąd, powiedziała sobie, złap taksówkę i jedź do domu.



Przedarła się przez labirynt stanowisk odpraw lotów i niemal udało jej się dotrzeć do drzwi wyjściowych, kiedy przypadkiem rzuciła okiem na stanowisko, które ją zmogło, i zdążyła akurat zobaczyć, jak wystrzela ono przez dach, otoczone kulą pomarańczowych płomieni.

Kiedy leżała pod stertą gruzu, wśród ciemności i duszącego pyłu, próbując zbadać czucie w rękach i nogach, miała przynajmniej tę satysfakcję, że to nie był tylko wykwit jej wyobraźni — dzień rzeczywiście okazał się do bani.

## Rozdział drugi

Do odpowiedzialności przyznali się ci sami co zwykle.

Najpierw IRA.

Potem Organizacja Wyzwolenia Palestyny i Miejski Zakład Gazownictwa.

Następnie Brytyjskie Paliwa Nuklearne pospieszyły z zapewnieniami, że sytuacja jest już całkowicie opanowana, że prawdopodobieństwo wystąpienia radioaktywnego wycieku jest jak jeden do miliona oraz że miejsce, gdzie nastąpił wybuch, znakomicie nada się na niedzielny wypad z dziećmi, zanim w końcu wydusiły z siebie, że nie mają z całą sprawą nic wspólnego.

Nie znaleziono nic, co można by uznać za przyczynę wybuchu.

Wyglądało na to, że nastąpił samoistnie, wiedziony jedynie własną wolną wolą. Podawano różne skomplikowane wyjaśnienia, które w rzeczywistości mówiły wciąż o tym samym, tylko w innych słowach. Wszystkie kierowały się tą samą zasadą, która swego czasu podarowała światu „zmęczenie materiału”. W istocie wymyślono wówczas bardzo podobny zwrot, który można było odnieść do przypadków nagłego przejścia drewna, plastiku i betonu w stan wybuchowy, a który brzmiał: „nielinerne zniecierpliwienie katastroficzno-strukturalne”. Innymi słowy — jak to ujął pewien wiceminister w nocnym wystąpieniu telewizyjnym w zwrocie, który miał go prześladować do samego końca kariery — kontuar stanowiska odprawy lotów „miał dogłębnie dość tego, że jest tam, gdzie jest”.

Jak to zwykle bywa w przypadku podobnych katastrof, podawano szerokie spektrum danych szacunkowych na temat ofiar w ludziach. Zaczęło się od czterdziestu siedmiu zabitych i osiemdziesięciu dziewięciu ciężko rannych, wkrótce skoczyło do sześćdziesięciu trzech zabitych i stu trzydziestu ciężko rannych i doszło aż do stu siedemnastu zabitych, zanim zaczęto liczby korygować w dół. Na koniec, kiedy już zliczono wszystkich, których należało zliczyć, wyszło na jaw, że tak naprawdę nikt nie zginął. W szpitalu przebywało kilkoro zaledwie ludzi i to wyłącznie z powodu niewielkich ran, stłuczeń bądź szoku pourazowego o różnym stopniu natężenia. I to — chyba że ktoś wiedziałby o tym, że jakiś człowiek naprawdę zginął — byłoby wszystko.

Cała ta sprawa miała jeszcze jeden trudny do wyjaśnienia aspekt. Wybuch był tak potężny, że bez trudu mógł obrócić w perzynę przednią część drugiego ter-

minalu, a mimo to ludzie, którzy znajdowali się wtedy w budynku, nie ucierpieli zanadto, gdyż albo tak szczęśliwie upadli, albo osłoniły ich gruzy, albo też cały impet wybuchu wziął na siebie ich bagaż. Ogólnie rzecz biorąc, niewiele sztuk bagażu wyszło cało z tej katastrofy. Wniesiono nawet w tej sprawie kilka interpelacji poselskich, lecz nieszczególnie interesujących.

Minęło dobrych kilka dni, zanim Kate Schechter zdołała sobie to wszystko uświadomić, a raczej zanim uświadomiła sobie istnienie świata.

Spędzała długie, ciche godziny we własnym świecie, w którym jak okiem sięgnąć otaczały ją stare ciężarówki pełne wspomnień. Szperała w nich z najwyższą ciekawością, a czasem nawet z zadziwieniem. W każdym razie w tej jednej dziesiątej ciężarówek, które pełne były żywych, często bolesnych i dojmujących wspomnień z minionego życia — pozostałe bowiem dziewięć dziesiątych wypełniały pingwiny, czym Kate była zresztą również mocno zaskoczona. Na ile zdawała sobie sprawę, że śni, na tyle też uświadamiała sobie, że bada własną podświadomość. Słyszała kiedyś, że ludzie przypuszczalnie wykorzystują zaledwie jedną dziesiątą własnego mózgu, lecz nikt dotąd nie sprecyzował jasno, do czego służy pozostałe dziewięć dziesiątych. Kate zaś z całą pewnością nigdy nie słyszała, aby ktoś sugerował, że służą do składowania pingwinów.

Z wolna ciężarówki, wspomnienia i pingwiny zaczęły tracić kontury, stopniowo przechodząc w rozfalowaną biel, potem upodobniły się do rozfalowanych białych ścian, aż na koniec stały się zwykłymi ścianami w białym, a raczej żółtawo-zielonkawo-prawie-białym kolorze, które zamknęły się wokół niej, tworząc niewielki pokój.

Pokój ten pogrążony był w półmroku. Światło nocnej lampki przy łóżku przykręcono do minimum. Przez zielone zasłony przedzierało się z trudem światło ulicznej latarni i tworzyło na przeciwległej ścianie zielonkawy rzucik. Pod białą, schludnie podwiniętą pościelą i mdłym, schludnym kocem Kate dostrzegała mgliście kształt własnego ciała. Przez chwilę przypatrywała się niespokojnie, czy aby wszystko wygląda prawidłowo, potem spróbowała, dość niezobowiązująco, poruszyć któryś z członków. Zaczęła od prawej ręki i ta wydała się w porządku. Nieco sztywne i obolałe palce odpowiadały posłusznie na impulsy, wydawały się też mieć właściwy rozmiar i kształt, a co więcej, zginały się w odpowiednich miejscach i we właściwym kierunku.

Na chwilę wpadła w panikę, ponieważ nie udało jej się od razu zlokalizować lewej ręki, ale szybko odkryła, że leży ona sobie na jej własnym brzuchu, przy czym w dziwny sposób — doskwiera. Minuta czy dwie koncentracji pozwoliły Kate złożyć w całość kilka dość nieprzyjemnych odczuć, dzięki czemu odkryła, że w lewym ramieniu tkwi przymocowana bandażem igła. To był prawdziwy wstrząs. Od drugiego końca igły pełzła długa, cienka, przezroczysta rurka, która połyskiwała żółtawo w świetle latarni, spływając zakrętasem z grubej plastikowej butli zawieszanej na metalowym stojaku. Widok tego urządzenia przywiódł jej na

myśl szerokie spektrum oglądanych niegdyś horrorów, niemniej przyjrząwszy się zamglonym wzrokiem butli, zdołała rozszyfrować napis „dekstroglukoza”. Postanowiła trochę ochłonać, więc poleżała nieruchomo przez kilka chwil, zanim na nowo podjęła badania.

Klatka piersiowa pozostała chyba nienaruszona. Była posiniaczona i obolała, lecz nigdzie ból nie okazał się na tyle ostry, by sugerować jakieś złamanie. Biodra i uda, zeszywniałe, także sprawiały jej ból, ale nie odkryła tam nic poważnego. Poruszyła mięśniami prawej nogi, potem lewej. Przez chwilę sądziła, że ma zwichniętą lewą kostkę.

Innymi słowy, powiedziała sobie, nic mi nie jest. W takim razie co robię w miejscu, które, jeśli sądzić po aseptycznym kolorze ścian, może być tylko szpitalem?

Usiadła niecierpliwie, po czym natychmiast na kilka radosnych chwil powróciła między pingwiny.

Kiedy znów doszła do siebie, obeszła się ze sobą nieco delikatniej i leżała przez jakiś czas nieruchomo.

Ostrożnie przeszukiwała pamięć, żeby znaleźć ślad tego, co się wydarzyło. Wspomnienie było ciemne, zamazane i nadchodziło w gęstych, tłustawych falach jak Morze Północne. Z wolna zaczęły się zeń wyłaniać jakieś toporne zarysy, które ostatecznie ułożyły się w kształt rozfalowanego lotniska. Lotnisko było ponure i wywoływało ból głowy, a w samym jego środku, pulsujące jak migrena, tkwiło wspomnienie chwili pełnej wirującego snopu światła.

Nagle stało się dla niej jasne, że na stanowisko odprawy lotów na drugim terminalu lotniska Heathrow spadł meteor. Na tle płomieni ujrzała sylwetkę mężczyzny w kożuchu — mężczyzny będącego w samym centrum uderzenia, w związku z czym został natychmiast zredukowany do chmury atomów, z których każdy mógł się nagle udać, dokąd zechce. Ta myśl sprawiła, że przebiegł ją potężny dreszcz przerażenia. Facet był arogancki i każdego mógł doprowadzić do pasji, ale nie wiedzieć dlaczego jej się spodobał. W jego perwersyjnej wredocie dostrzegła pewien rodzaj szlachetności. A może raczej wołała sądzić, że taka perwersyjna wredota ma w sobie coś szlachetnego, ponieważ przypominała jej własne próby zamówienia pizzy do domu w tym wrogim, obcym i nie dostarczającym pizzy świecie. Szlachetność to tylko jedna z nazw na podnoszenie szumu o różne życiowe błahostki, ale są przecież i inne.

Niespodziewanie ogarnęła ją fala samotności i strachu, lecz wkrótce cofnęła się, pozostawiając Kate w zdecydowanie lepszym stanie ducha. Poczwała, że musi pójść do toalety.

Zegarek wskazywał kilka minut po trzeciej, a wszystko inne wskazywało na to, że jest głęboka noc. Powinna pewnie wezwać pielęgniarkę i dać światu znać, że odzyskała przytomność. Przez okienko w bocznej ścianie pokoju widziała przyćmione światła korytarza, w którym stał wózek do przewożenia chorych i ciemna

butla tlenowa, ale który poza tym był zupełnie pusty. Wszędzie panowała głęboka cisza.

Obrzuciła spojrzeniem niewielki pokój i dostrzegła szafkę z białej sklejki, dwa pograżone w mroku stołki z winylu i stali oraz małą białą szafkę nocną, na której spoczywała niewielka miseczka z samotnym bananem. Po drugiej stronie łóżka stała kroplówka. Po tej samej stronie, na ścianie, wisiała metalowa plakietka z kilkoma czarnymi przyciskami i zwisającą parą przestarzałych bakelitowych słuchawek. Wokół rurek łóżka wił się kabel, na którego końcu znajdował się przycisk dzwonka. Kate wymacała przycisk, a następnie zdecydowała, że go nie naciśnie.

Czuła się dobrze. Sama sobie poradzi.

Powoli, nieco chwiejnie podciągnęła się na łokciach, wysunęła nogi spod koca i opuściła na podłogę, która przywitała je chłodem. Niemal natychmiast zorientowała się, że nie należało tego robić, bo każda komórka nerwowa jej stóp zaczęła przysyłać strumienie informacji na temat tego, jak odbiera dotyk każdego milimetra kwadratowego podłogi, jakby to był jakiś obcy i budzący niepokój przedmiot, z jakim nie spotkała się nigdy przedtem. Mimo to Kate dalej siedziała na krawędzi łóżka, próbując zmusić stopy, by zaakceptowały podłogę jako coś, do czego i tak będą zmuszone przywyknąć.

Szpital przyodziął ją w coś ogromnego, workowatego i do tego w prążki. Przy bliższych oględzinach okazało się, że to nie tyle coś workowatego, co prawdziwy worek. Worek z przewiewnej bawełny w biało-niebieskie prążki. Z tyłu miał rozcięcie, którym wpuszczał do środka zimne nocne przeciągi. Dodane pro forma rękawy zwisały od łokci w dół. Poruszyła parę razy ramionami, bacznie przyglądając się skórze, pocierając ją i szczypiąc, zwłaszcza w okolicach miejsca, gdzie bandaż przytrzymał igłę kroplówki. Normalnie ramiona miała dość gibkie, a skórę na nich jędrną i gładką. Tej nocy jednak przypominały raczej skrzydełka kurczaka. Szybko przeciągnęła po nich dłońmi i rozejrzała się.

Wyciągnęła rękę, uchwyciła stojak kroplówki, by — jako że chwiał się nieco mniej niż ona — użyć go jako podpory przy wstawaniu. W końcu stanęła, drżąca, wysoka, smukła, trzymając stojak kroplówki jak pasterski kij.

Wprawdzie nie udało jej się dotrzeć do Norwegii, ale przynajmniej stała na własnych nogach.

Stojak toczył się na czterech małych i niezależnych od siebie kółkach, które zachowywały się jak czwórka rozwrzeszczanych bachorów w supermarkecie. Niemniej Kate jakoś przesunęła stojak w kierunku drzwi. Chodzenie znacznie pogłębiało ogólne poczucie chwiejności, lecz zarazem pogłębiało też jej determinację. Sięgnęła do klamki, otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz.

Po lewej stronie korytarz kończył się wahadłowymi drzwiami, opatrzonymi parą okrągłych okienek. Drzwi te najwyraźniej prowadziły do bardziej przestronnego pomieszczenia, być może na oddział otwarty. Po prawej stronie ciągnął się długi szereg mniejszych drzwi, po czym korytarz brał ostry zakręt. Za jednymi

z tych drzwi kryje się na pewno toaleta. A reszta? No cóż, dowie się, kiedy będzie szukała toalety.

Dwoje pierwszych prowadziło do schowków na bieliznę. Trzecie pomieszczenie okazało się nieco większe; w środku stało krzesło, wobec czego musiało uchodzić za pokój, gdyż ludzie z zasady nie lubią wysiadywać w schowkach — nawet pielęgniarki, choć z racji swego zawodu często muszą robić to, czego inni nie lubią. Był tam jeszcze stojak pełen próbek, dużo współczesnej śmietanki do kawy i leciwy ekspres, a wszystko stłoczone razem na blacie niedużego stoliczka. Z ekspresu ciemnobrunatna ciecz ciekła ponuro na egzemplarz „Evening Standard”.

Kate podniosła pociemniałą od wilgoci gazetę, żeby z jej pomocą zrekonstruować owych kilka utraconych dni. Jednakże zarówno z powodu własnego rozchwianego stanu, który mocno utrudniał jej czytanie, jak i z powodu obwisłego-zlepionego stanu gazety niewiele zdołała uzyskać ponad to, że nikt nie jest w stanie orzec, co właściwie zaszło. Wyglądało też na to, że nikt naprawdę poważnie nie ucierpiał, ale wciąż jeszcze nie udało się odnaleźć jednej z pracownic lotniska. Incydent zyskał nazwę „Akt Boży”.

Udał ci się, Boże — pomyślała Kate. Odłożyła szczątki gazety i zamknęła za sobą drzwi.

Następne drzwi, za które zajrzała, prowadziły do niewielkiej salki, takiej samej jak jej własna. W środku znajdowała się taka sama szafka nocna i miseczka z jednym bananem.

Łóżko najwyraźniej było zajęte. Kate szybko pociągnęła ku sobie drzwi, lecz chyba nie dość szybko. Coś niestety zdołało przyciągnąć jej uwagę, a choć to coś zauważyła, nie była w stanie określić, co to takiego. Stała więc w uchylonych drzwiach, wpatrzona w podłogę, świadoma, że nie powinna tam zaglądać i że z pewnością zajrzy.

Ostrożnie otworzyła drzwi na oścież.

Pokój był wychłodzony i pogrążony w mroku. Ten chłód wzbudził w niej niedobre przecucia co do zajmującej łóżko osoby. Przez chwilę nasłuchiwała. Ta cisza także nie wróżyła nic dobrego. Nie była to cisza, jaka wiąże się ze zdrowym, mocnym snem. Nie dźwięczało w niej nic oprócz bardzo odległych i stłumionych odgłosów ulicy.

Przez dłuższą chwilę wahała się; oparta o framugę drzwi, przyglądała się i nasłuchiwała. Zastanowiły ją potężne rozmiary zajmującego łóżko ciała oraz to, jak bardzo musi marznąć w tym chłodzie, przykryte zaledwie jednym cienkim kocem. Obok łóżka stało krzesło z winylu i stali, z którego zwisał przytłaczającym ciężarem wielki kozuch. Kate pomyślała, że ten kozuch winien okrywać raczej łóżko z marznącą w nim osobą.

Na koniec, stąpając tak cicho i ostrożnie jak tylko umiała, podeszła do łóżka. Stała obok, przypatrując się twarzy postawnego nordyckiego mężczyzny. Choć

był zimny i miał zamknięte oczy, twarz pozostała leciutko nachmurzona, jakby nadal go coś trapiło. Kate pomyślała, że to strasznie smutne. Za życia ten człowiek sprawiał wrażenie kogoś, kto nieustannie boryka się z ogromnymi, a może nawet nieco niepojętymi trudnościami. Przykro było pomyśleć, że i po śmierci natychmiast napotkał jakieś problemy.

Zadziwiające było to, że na pierwszy rzut oka nie doznał najmniejszego uszczerbku. Na jego skórze nie widniały żadne obrażenia. Była szorstka i zdrowa — to znaczy zdrowa aż do tej chwili. Bliższa inspekcja ujawniła siateczkę drobnych linii, które wskazywały na to, iż był starszy niż owe trzydzieści pięć lat, jakie mu z początku przypisywała. Mógł być nawet bardzo zdrowym i zadbanym mężczyzną pod pięćdziesiątkę.

Przy ścianie tuż obok drzwi stało coś zadziwiającego: automat do sprzedaży coca-coli. Nie wyglądało na to, że zainstalowano go tu specjalnie; nie był nawet włączony do sieci, a tylko opatrzony schludną karteczką informującą, że jest chwilowo nieczynny. Wyglądało, jakby pozostawiono go tutaj przez zwykłe niedopatrzenie, sprawca zaś krąży teraz po korytarzach, zachodząc w głowę, który to był pokój. Wielka biało-czerwona tabliczka z napisem w kształcie fali wpatrywała się szkliscie w głąb pokoju i niczego nie wyjaśniała. Jedyne, co maszyna komunikowała zewnętrznemu światu, to wieść, że do jej otworu można wrzucać monety o różnym nominale, drugi otwór zaś oferuje duży wybór puszek — jeśli maszyna jest na chodzie, rzecz jasna. Oparty o nią stał jakiś ogromny stary młot, który sam w sobie prezentował się osobliwie.

Kate poczuła, że ogarnia ją słabość, pokój zaczynał powoli wirować, a z ciężarówek jej umysłu dobiegł niespokojny szelest.

Nagle zorientowała się, że ten szelest wcale nie pochodzi z głębin jej wyobraźni. W pokoju rozbrzmiewał jakiś stłumiony hałas — ciężkie odgłosy zderzeń i skrobania, jakieś zduszone trzepotanie. Hałas wznosił się i opadał jak podmuchy wiatru, lecz będąc w stanie oszołomienia Kate nie potrafiła zlokalizować jego źródła. W końcu jej wzrok padł na zasłony. Zagapiła się na nie zaniepokojonym spojrzeniem pijaka, który usiłuje dociec, dlaczego drzwi tańczą. Hałas wyraźnie dochodził zza zasłon. Podeszła ostrożnie i rozsunęła je. Na zewnątrz ogromny orzeł z kręgami na skrzydłach gapił się na nią wielkimi żółtymi oczyma i walił wściekle w okno, drapiąc i dziobiąc dziko szybę.

Kate z wysiłkiem cofnęła się, odwróciła i spróbowała wytaszczyć się jakoś z pokoju. Na końcu korytarza otworzyły się wahadłowe drzwi i ukazały się w nich dwie postacie. Czyjeś ręce pospieszyły jej z pomocą, kiedy zaplątana beznadziejnie w kropłówkę zaczęła osuwać się na podłogę.

Była nieprzytomna, kiedy troskliwe ręce układały ją na łóżku. Była nieprzytomna także pół godziny później, kiedy do szpitala przybyła nieprzyjemnie niska postać w przynębiająco długim kitlu lekarskim i wywiozła na wózku postawnego mężczyznę, po czym wróciła po automat do coca-coli.

Ocknęła się dopiero kilka godzin później, kiedy zimowe słońce przesaczyło się przez szyby. Dzień wyglądał bardzo zwyczajnie i spokojnie, ale Kate nadal dygotała.



## Rozdział trzeci

To samo słońce wdarło się później przez okna na piętrze pewnego domu w północnej części Londynu i oświetliło postać mężczyzny pogrążonego w głębokim śnie.

Pokój, w którym spał, był przestronny, lecz nie skorzystał wiele na tej nagłej inwazji światła. Smuga blasku pełzała przez pościel powoli, jakby nie była pewna, co może tam zastać; nieco spięta, przesunęła się po kilku leżących na podłodze przedmiotach, odrobinę nerwowo poigrała z kłębkami kurzu, krótkim błyskiem oświetliła wiszącego w kącie wypchanego gacka i uciekła.

Tyle mniej więcej trwała zwykle wizyta słońca w tym miejscu.

O jedenastej zadzwonił telefon, lecz postać śpiąca w łóżku nadal nie reagowała, podobnie jak nie zareagowała, kiedy dzwonił za dwadzieścia pięć siódma, potem za dwadzieścia siódma, potem za dziesięć siódma, a potem przez dziesięć minut nieprzerwanie, poczawszy od za pięć siódma, po czym zapadł w długą, znaczącą ciszę, którą zakłóciło jedynie wycie policyjnych syren na którejś z pobliskich ulic około dziewiątej, a później, około piętnaście po dziewiątej, dostarczenie wielkiego osiemnastowiecznego klawikordu do gry na cztery ręce i zabranie tegoż klawikordu przez komornika kilka minut po dziesiątej. Nie było w tym nic nadzwyczajnego: wszyscy zainteresowani przywykli znajdować klucz pod wycieraczką, mężczyzna w łóżku natomiast zwykł w takich razach się nie budzić. Nikt raczej nie użyłby tu zwrotu „spał snem sprawiedliwego” — jeśli brać dosłownie znaczenie przymiotnika „sprawiedliwy” — lecz z pewnością był to sen kogoś, kto bynajmniej nie żartuje, kiedy pakuje się wieczorem do łóżka i gasi światło.

Pokój zaś nie należał do tych, co to radują duszę człowieka. Ludwik XIV na przykład raczej nie byłby nim zachwycony; uznałby go pewnie za nie dość słowneczny i nieznośnie skąpy w lustra. Z pewnością życzyłby sobie, aby pozbierano wszystkie skarpetki, odłożono na miejsce płyty, a może nawet żeby spalono to miejsce do gołej ziemi. Michał Anioł zasmuciłby się ewidentnym brakiem strzelistych proporcji, a być może też brakiem choćby nikłych śladów wewnętrznej harmonii czy symetrii, poza symetrycznym rozmieszczeniem brudnych kubków po kawie, butów i przesypanych się popielniczek, z których to przedmiotów większość dzieliła teraz między sobą swe życiowe funkcje. Ściany pomalowano

na taki akurat odcień zieleni, przy którym Raffaello Sati raczej odgryzłby sobie prawą rękę w nadgarstku, niżby umieścił go na którymś ze swych płócien. Herkules zaś, ujrzawszy to pomieszczenie, niechybnie obróciłby się na pięcie, a po pół godzinie wrócił zbrojny w koryto najbliższej żeglownej rzeki. Krótko mówiąc, była to paskudna nora i nie miała najmniejszych szans na poprawę swej kondycji, dopóki pozostawała w gestii pana Svlada vel Dirka Gently, urodzonego jako Cjelli.

W końcu Gently drgnął.

Kołdra pozostawała wprawdzie wciąż na jego głowie, lecz mniej więcej w połowie długości łóżka z wolna wypełzała spod niej dłoń, której palce drobnymi pacnięciami przeszukiwały podłogę. Dzięki doświadczeniu bezpiecznie ominęły miseczkę pełną nad wyraz ohydnej substancji, która spoczywała tam od dnia świętego Michała, i w końcu natknęły się na do połowy opróżnioną paczkę gauloises'ów bez filtra i pudełko zapalek. Palce wytrząsnęły z paczki jedną wymiętą, białą rurkę, chwyciły ją wraz z zapalkami i rozpoczęły próbę przebicia się przez zwarte pokłady skłębionej w głowach łóżka pościeli.

W końcu papieros trafił w odpowiedni otwór i został zapalony. Przez krótką chwilę można było odnieść wrażenie, że to łóżko pali papierosa, zaciągając się łapczywie; łóżko zaniósło się długim, głośnym i przeraźliwym kaszlem, po czym zaczęło oddychać znacznie bardziej rytmicznie. W taki właśnie sposób Dirk Gently odzyskiwał świadomość.

Leżał przez chwilę, gnębiony okropnym poczuciem winy z powodu czegoś, co legło ciężarem na jego barkach. Miał wielką ochotę o tym zapomnieć, co też natychmiast uczynił. Dźwignął się z łóżka i w kilka minut później powędrował schodami na dół.

Spoczywająca na wycieracze poczta zawierała to samo co zawsze: nieuprzejmy list, w którym grożono mu odebraniem karty American Express, druki namawiające do założenia karty American Express oraz kilka rachunków — z rodzaju tych historycznych i mało realistycznych. Dirk nie mógł zrozumieć, dlaczego tak uparcie je przysyłają. Sam koszt wysyłki musiał pochłaniać ogromne pieniądze. W zadziwieniu pokiwał głową nad złośliwą niekompetencją świata, wyrzucił pocztę, wszedł do kuchni i ostrożnie zbliżył się do lodówki.

Stała w kącie.

Kuchnia była spora i spowita w całun posępnego mroku, który nie dał się rozproszyć przez włączenie światła, a tylko przybrał lekko żółtawy odcień. Dirk przykucnął przy lodówce i przyjrzał się badawczo krawędzi drzwiczek. Znalazł to, czego szukał. Prawdę mówiąc, znalazł więcej, niż szukał.

U dołu drzwi, w poprzek szczeliny wypełnionej paskiem szarej gumy izolacyjnej, wisiał pojedynczy ludzki włos, przyklejony wyschniętą śliną. Tego właśnie się spodziewał. Sam go tam umieścił przed trzema dniami i od tego czasu kilkakrotnie sprawdzał, czy jest. Nie spodziewał się natomiast, że znajdzie tu drugi

włos.

Zerknął nań zaniepokojony. Drugi włos?

Wisiał w poprzek szczeliny dokładnie tak samo jak pierwszy, tylko że u szczytu drzwiczek; Dirk wiedział, że z całą pewnością nie on go tam umieścił. Przyjrzał mu się dokładnie, posunawszy się nawet do podniesienia starych żaluzji w kuchennym oknie, żeby dodatkowo oświetlić miejsce akcji.

Światło wpadło do środka jak oddział policji i rozejrzało się dookoła, jakby mówiło: „Co tu się dzieje?”, bo kuchnia, podobnie jak sypialnia, wprawiała w spore zakłopotanie osobę z zamiłowaniem do estetyki. Jak większość pomieszczeń w domu Dirka, była przestronna, złowróżbna i pogrążona w niesłychanym wprost bałaganie. Zwyczajnie kpiła sobie z wszelkich prób zaprowadzenia porządku, szydęczo odsuwała je w kąt jak kupkę zdechłych i zniechęconych much, które leżały pod oknem na stercie starych kartonów po pizzach.

Światło odłoniło naturę drugiego włosa, siwego przy cebulce, a dalej ufarbowanego na jasnopomarańczową miedz. Dirk zasznurował wargi i zamyślił się głęboko. Nie potrzebował długo się zastanawiać, żeby odgadnąć, do kogo należał ów włos — istniała tylko jedna osoba, która miała dostęp do jego kuchni i której głowa sprawiała wrażenie, jakby ktoś wykorzystywał ją do odzyskiwania tlenków metali z odpadów przemysłowych — ale koniecznie musiał przemyśleć wszelkie przesłanki płynące z faktu, iż odkrył, że nalepiła ona swój włos na drzwiczkach jego lodówki.

Znaczyło to, że milczący konflikt między nim a sprzątaczką niebezpiecznie się zaognił. Uświadomił sobie, że minęły właśnie pełne trzy miesiące, odkąd nie otwierali tej lodówki; każde z nich uparło się, że nie zrobi tego pierwsze. Teraz lodówka już nie stała, ale czaiła się w kącie kuchni. Dirk dokładnie pamiętał dzień, w którym się zaczęło. To było tydzień temu, kiedy spróbował pewnej prostej sztuczki, żeby podejść Elenę — stare pudło miało na imię Elena — i zmusić ją do otwarcia lodówki. Podstęp został zgrabnie ominięty i o mało nie uderzył paskudnym rykoszetem w samego Dirka.

Chciał uciec się do nowej strategii — udał się do pobliskiego minimarketu i kupił kilka podstawowych artykułów spożywczych. Nic szczególnie wyzywającego — ot, trochę mleka, kilka jajek, bekon, pudełko czy dwa kremu czekoladowego i najzwyczajniejsza kostka masła. Postawił zakupy niewinnie na lodówce, jak gdyby chciał powiedzieć: „Gdybyś znalazła chwilkę, wrzuc to do środka. . .”

Kiedy wieczorem wrócił do domu, serce podskoczyło mu z radości: zakupów na lodówce nie było. Zniknęły!

Nie odsunięto ich na bok ani nie odłożono na półkę, bo nigdzie nie było ich wdać. Najwyraźniej skapitulowała w końcu i odłożyła je na miejsce. Do lodówki. No i z całą pewnością musiała w niej posprzątać, skoro już ją otworzyła. Pierwszy i jedyny raz serce wezbrało mu ciepłą wdzięcznością dla tej kobiety i już, już miał szarpnąć za drzwiczki, żeby z ulgą tudzież triumfem otworzyć je na oścież, kiedy

jakiś ósmy zmysł (podczas ostatniego obrachunku Dirk doliczył się jedenastu) nakazał mu działać bardzo, bardzo ostrożnie i sprawdzić najpierw, gdzie by też ewentualnie Elena mogła włożyć zawartość opróżnionej lodówki.

Umysł drażyła mu jakaś bezimienna wątpliwość, kiedy tak sunął bezszelestnie w kierunku kosza na śmieci pod zlewem. Wstrzymując oddech podniósł pokrywę i zajrzał do środka.

Otulone fałdami świeżo założonego worka na śmieci leżały tam jego jajka, jego bekon, jego krem czekoladowy oraz jego najzwyczajniejsza kostka masła. Dwie butelki po mleku, wypłukane do czysta, stały grzecznie przy zlewie, do którego zapewne spłynęła uprzednio ich zawartość. Wszystko wyrzuciła.

Wolała wyrzucić jedzenie niż otworzyć lodówkę. Z wolna przeniósł spojrzenie na ponury, przysadzisty, biały monolit i w tej właśnie chwili zdał sobie sprawę bez cienia wątpliwości, że jego własna lodówka zaczęła czyhać.

Zrobił sobie czarnej jak smoła kawy i usiadł, drżąc lekko. Nawet nie spojrział w kierunku zlewu, ale wiedział, że stoją tam dwie czyste butelki po mleku, i któryś z bardziej pracowitych fragmentów jego mózgu poczuł się tym bardzo zaniepokojony.

Następnego dnia próbował wszystko sobie wytłumaczyć. Niepotrzebnie reagował tak paranoicznie. Z pewnością był to tylko drobny błąd lub nieuwaga Eleny. Może pogrzyżyła się akurat w zadumie nad najnowszym atakiem bronchitu, humorów, homoseksualizmu czy co tam jeszcze trapiło jej syna i nie pozwalało jej pojawić się w pracy albo też pozostawić po sobie jakiegokolwiek znaczącego śladu, kiedy już się pojawiła. Była Włoszką, więc w roztargnieniu wzięła jego jedzenie za śmieci.

Ale ta sprawa z włosem wszystko zmienia. Dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że kobieta wie, co czyni. Bez względu na wszystko nie otworzy lodówki, zanim on tego nie zrobi. On zaś bez względu na wszystko nie otworzy lodówki, dopóki nie zrobi tego ona.

Najwyraźniej nie zauważyła jego włosa, inaczej postąpiłaby w sposób najbardziej w takiej sytuacji skuteczny — to znaczy oderwałaby włos, aby podstępem zmusić go, by otworzył lodówkę, przeświadczony, że ona uczyniła to wcześniej. Powinien pewnie oderwać teraz jej włos i podejść ją w ten właśnie sposób, lecz nie wiedzieć czemu pewien był, że to nie zadziała i że oboje tkwią po uszy w narastającej spirali nieotwierania lodówki, która w końcu sprowadzi na nich obłąd bądź wieczne potępienie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wynająć kogoś do otworzenia lodówki.

Nie. Nie mógł nikogo wynająć. Nie mógł nawet zapłacić Elenie za ostatnie trzy tygodnie. Nie zwalniał jej tylko dlatego, że pociągało to za sobą konieczność uregulowania należności, a tego nie był w stanie uczynić. Sekretarka opuściła go w końcu z własnej inicjatywy i zajęła się jakąś wysoce naganną pracą związaną z podróżami. Dirk próbował wykpić ją jako tę, która przedkłada stałą, monotonna

pracę nad. . .

— Stała, regularną płacę — poprawiła go spokojnie.

. . . nad satysfakcję zawodową.

Już miała zapytać: „Nad co?”, ale uświadomiła sobie, że jeśli to powie, będzie musiała wysłuchać jego odpowiedzi, która rozwścieczy ją do tego stopnia, że znów mu odpowie. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że jedyną drogą ucieczki było nie dać się wciągnąć w tę sprzeczkę. Jeśli tym razem nie odpowie, będzie wolna. Spróbowała. Nagle poczuła, że jest wolna. Wyszła. Tydzień później, wciąż w tym samym nastroju, wyszła za stewarda nazwiskiem Smith.

Dirk potężnym kopniakiem przewrócił jej biurko (musiał je później własnoręcznie podnieść, gdyż nie pojawiła się więcej).

Detektywistyczny biznes kręcił się żwawo jak płyta nagrobna. Wyglądało na to, że detekcja nie jest już nikomu do niczego potrzebna. Ostatnio, żeby związać koniec z końcem, Dirk jął się chiromancji i wróżenia z fusów, ale nie czuł się z tym dobrze. Mógłby to jeszcze znieść — nienawistne, nikczemne upodlenie, do którego zdążył już przywyknąć, a także zyskać całkowitą anonimowość w swoim małym namiocie na tyłach pubu — mógłby to wszystko znieść, gdyby nie był w tym tak potwornie, rozdzierająco dobry. Z tego właśnie powodu popadał stale w głęboką i pełną samopotępienia depresję. Imał się wszelkich sposobów: oszukiwał, udawał, kłamał rozmyślnie i cynicznie, ale czegokolwiek próbował i tak w końcu okazywało się, że miał rację.

Najgorsze chwile przeżył po wizycie pewnej ubogiej kobiety z Oxfordshire. Będąc w nieco żartobliwym nastroju poradził jej mieć oko na męża, który, jeśli sędzić z linii małżeństwa, jest typem latawca i lubi sobie od czasu do czasu zniknąć. Na to ona, że mąż jest pilotem myśliwca wojskowego i że przed dwoma tygodniami zaginął podczas ćwiczeń nad Morzem Północnym.

Dirk się nieco stropił i zaczął kobietę bezsensownie pocieszać. Mówił, iż jest pewien, że w stosownym czasie mąż powróci do niej cały i zdrowy i że wszystko będzie dobrze.

Kobieta odrzekła, iż sądzi, że to niezbyt możliwe, ponieważ światowy rekord przetrwania w wodach Morza Północnego wynosi mniej niż godzinę, a skoro przez dwa tygodnie nie znaleziono najmniejszych śladów po jej mężu, żaden wybryk wyobraźni nie może go jej przedstawić inaczej niż tylko w postaci martwej jak kłoda i że właśnie, dziękuję panu bardzo, próbuje oswoić się z tą myślą. Wszystko to wyrzekła dosyć cierpkim tonem.

Na to Dirk do reszty stracił panowanie nad sobą i zaczął bełkotać całkiem już bez sensu.

Twierdził, iż z jej ręki wyczytał wyraźnie, że wielka suma pieniędzy, jaką wkrótce otrzyma, nie wynagrodzi jej co prawda tej bolesnej straty, lecz być może pocieszy ją wiadomość, że mąż udał się do tego czegoś wielkiego tam w górze, gdzie spaceruje sobie po najbardziej puszystym z obłoczków i bardzo mu do twa-

rzy w nowusieńkiej parze skrzydeł, oraz że niezmiernie przeprasza za to, że plecie takie bzdury, ale sama sobie winna, bo wzięła go przez zaskoczenie. A może miałyby ochotę na herbatę, wódkę, odrobinę zupy?

Kobieta odmówiła. Oświadczyła, że trafiła do jego namiotu przez pomyłkę — szukała toalety — ale o co właściwie chodzi z tymi pieniędzmi?

— Kompletnie bzdury — wyjaśnił Dirk; nie dość, że wpakował się w kłopoty, to jeszcze przez cały czas musiał mówić falsetem. — Wymyśliłem to na poczekaniu — wyjaśnił. — Pozwoli pani, że wyrażę swoje najszczerze wyrazy ubolewania, iż tak niezręcznie ingerowałem w pani głęboko osobistą boleść, i że odprowadzę panią, to jest... e... wskażę pani drogę do, no cóż, do miejsca, które w tych okolicznościach pozostaje mi jedynie nazwać toaletą, to znaczy na lewo od mojego namiotu.

Spotkanie to wprawiło Dirka w niemałe przygnębienie, lecz w kilka dni później popadł w skrajne przerażenie, gdy odkrył, że nieszczęsna kobieta następnego ranka dowiedziała się o wygranej w losowaniu bonów premiowych kwocie dwustu pięćdziesięciu tysięcy funtów. Tej nocy spędził kilka godzin na dachu, wygrażając pięścią granatowemu niebu i wrzeszcząc: „Przestań wreszcie!”, aż w końcu któryś z sąsiadów zadzwonił na policję, że spać mu nie dają. Policja nadjechała radiowozem na sygnale, budząc resztę sąsiadów.

Teraz zaś, o poranku, Dirk siedział w kuchni i wpatrywał się, przybity, we własną lodówkę. Cała jego cholerna porywczność, na której zwykle polegał chcąc przebrnąć do końca kolejnego dnia, opadła na samym wstępie przez tę historię z lodówką. Jego wola tkwiła we wnętrzu agregatu, zamknięta jednym włosom.

Klient — myślał — oto czego mi potrzeba. Boże, proszę — myślał — jeśli jakiś istniejesz, daj mi klienta. Najzwyklejszego w świecie klienta; im zwykleszy, tym lepszy. Bogaty i wiarygodny.

Ktoś taki jak ten facet wczoraj.

Zabębnił palcami o blat.

Problem w tym, że im klient był bardziej wiarygodny, tym Dirk czuł się gorzej gdzieś na krańcach swego lepszego ja, które nieustannie podnosiło szum i wprawiało go w zakłopotanie w najbardziej nieodpowiednich momentach. Dirk często się odgrażał swemu lepszemu ja, że któregoś dnia ciśnie je na podłogę i przykleknie mu na tchawicy, ale zawsze zdołało go podejść, przebierając się a to za poczucie winy, a to za samopotępienie, a tak przebranego nie był w stanie wyrzucić z ringu.

Wiarygodny i bogaty. Taki, żeby mógł zapłacić choćby jeden z bardziej wyróżniających się i fantastycznych rachunków.

Zapalił papierosa. Dym popłynął zakrętasami w górę i przylgnął do sufitu.

Tak jak ten facet wczoraj...

Pauza.

Ten facet wczoraj...

Świat wstrzymał oddech.

Cicho i delikatnie spadło na Dirka przeświadczenie, że gdzieś stało się coś upiornego. Że coś było koszmarnie nie w porządku.

W powietrzu przez cały czas wisiała katastrofa i czekała cierpliwie, aż zostanie zauważona. Dirkowi zadrżały kolana.

Myślał przed chwilą, że potrzebny mu klient. Taki miał już zwyczaj — o tej porze dnia myślał właśnie o tym. Zapomniał tylko, że już jednego ma.

Rzucił dzikie spojrzenie na zegarek: prawie wpół do dwunastej. Potrząsnął głową, żeby pozbyć się bezgłośnego dzwonienia w uszach, potem wykonał historyczny wypad po kapelusz i wielki skórzany płaszcz, który wisiał za drzwiami.

Po piętnastu sekundach wybiegał z domu — wprawdzie o pięć godzin za późno, ale za to w dobrym tempie.

## Rozdział czwarty

Minutę czy dwie później Dirk zatrzymał się na moment, żeby rozważyć, jaką ma obrać strategię. Zamiast przybyć na miejsce o pięć godzin za późno i w pomieszaniu, stanowczo lepiej będzie przybyć na miejsce o pięć godzin i jeszcze kilka minut za późno, ale za to triumfalnie i w pełnej gotowości.

— Bogu dzięki, nie jestem za wcześnie! — to całkiem niezły wstęp, lecz wymagał równie dobrej kontynuacji, a Dirk nie bardzo wiedział, jak owa miałyby wyglądać.

Być może oszczędziłby trochę czasu biorąc samochód, ale z kolei droga nie była daleka, a on miał dużą skłonność do gubienia się, kiedy prowadził. Wynikało to w głównej mierze z metody nawigacji Zen, którą stosował, a która polegała na tym, że wybierał sobie samochód, który wyglądał, jakby wiedział, dokąd zmierza, i jechał za nim. Rezultaty znacznie częściej były zaskakujące niż pożądane, ale nie tracił ducha za przyczyną tych kilku sytuacji, które wykazały obie te cechy naraz.

Co więcej, wcale nie miał pewności, czy jego samochód jest aktualnie na chodzie. Był to podstarzały jaguar, wyprodukowany w tym szczególnym okresie w dziejach firmy, kiedy budowano modele, które zatrzymywały się znacznie częściej same z siebie niż dla zatankowania benzyny. Pewien był jednakże — kiedy już przyszło mu o tym myśleć — że w baku jaguara nie ma ani kropli benzyny, a co gorsza, on sam nie ma ani gotówki, ani też ważnej karty kredytowej, z pomocą której mógłby ten bak napęlnić.

Porzucił więc ten kierunek myślenia jako całkowicie bezowocny.

Kiedy tak przemyśliwał sprawę, zatrzymał się, żeby kupić gazetę. Zegar w kiosku wskazywał jedenastą trzydzieści pięć. O, jasna cholera. Przez chwilę igrał z myślą o porzuceniu sprawy. Po prostu odejdzie w siną dal i zapomni o wszystkim. Zje jakiś lunch. Ta sprawa i tak jest najeżona samymi trudnościami. Albo raczej najeżona była tą jedną podstawową trudnością, jaką sprawiało zachowanie twarzy. Po prostu kompletny i skończony nonsens. Klient był stuknięty, to jasne, i Dirk nie zwracałby sobie tym wszystkim głowy, gdyby nie jedna nadzwyczaj istotna rzecz: trzysta funtów dziennie plus wydatki.

Klient tak po prostu się zgodził. A kiedy Dirk zaczął zwykłą w takich razach gadkę na temat znakomitych wyników, jakie osiąga za pomocą metod opartych na



wzajemnej łączności między wszystkim, co istnieje, wiążących się wszakże często z wieloma dodatkowymi kosztami, które dla nieobznajmionego oka mogłyby mieć niewielką styczność z przedmiotem spraw, klient niecierpliwym gestem odsunął problem na bok jak jakąś drobnostkę. Takie podejście u klientów podobało się Dirkowi najbardziej.

Jedyne, przy czym tamten obstawał w jakimś nadludzkim przypiływie rzeczywistości, to to, aby Dirk był na miejscu, ale to z całą pewnością był na miejscu — sprawny, czujny i gotowy, nawet bez najbliższego cienia przeczcucia w kwestii możliwości spóźnienia — aby był na miejscu o wpół do siódmej. Bezwzględnie.

No cóż, zaraz się przekona, jaki był powód tych wymagań. Wpół do siódmej to przecież absurdałna pora i tamten, to znaczy klient, nie mógł chyba mówić serio. Z całą pewnością miał na myśli jakieś przyzwoite wpół do siódmej na dwunastą w południe. A jeśli mimo wszystko jednak mówił serio, Dirk będzie zmuszony przedstawić mu kilka poważnych statystyk. Nikogo nie morduje się przed lunchem. No, prawie nikogo. Ludziom się nie chce. Człowiekowi potrzeba dobrego lunchu, żeby podniósł mu się poziom glukozy we krwi, a co za tym idzie także poziom żądry krwi. Dirk gotów był poprzeć tę tezę odpowiednimi danymi liczbowymi.

Czy on, Anstey (nazwisko klienta brzmiało Anstey; był to dziwny, bardzo spięty trzydziestopięcioletni mężczyzna, który miał wytrzeszcz oczu, wąski, żółty krawat i jeden z tych wielkich domów na Lupton Road; prawdę mówiąc, Dirkowi niezbyt się spodobał, więc pomyślał sobie, że Anstey wygląda, jakby usiłował połknąć rybę) — czy więc on wie, że 67

Około wpół do trzeciej, a właściwie tuż przed trzecią zaczyna się pora, kiedy należy mieć się na baczności. Poważnie. Nawet kiedy mamy dobry dzień, nawet kiedy nie otrzymujemy śmiertelnych pogroźek od obcych, ogromnych, zielonookich mężczyzn — po lunchu lepiej mieć jastrzębi wzrok. Najgroźniejsza zaś pora zaczyna się z wybiciem czwartej, kiedy ulice wypełniają się bandami wydawców i agentów literackich, oszalałych od fetturinei kirszu, ujadających za taksówką. Wtedy właśnie zaczyna się czas próby dla ludzkich dusz.

Wpół do siódmej rano? O czymś takim można spokojnie zapomnieć. Właśnie tak jak Dirk.

Z dobrze okrzeplym postanowieniem Dirk wyszedł z kiosku wprost w mroźne powietrze ulicy i jął oddalać się rażno.

— Mam nadzieję, że pan zechce zapłacić za tę gazetę, prawda, panie Dirk? — mówił kioskarcz, drepcąc za nim nieśmiało.

— Och, Bates — odezwał się Dirk wyniośle. — Ty i te twoje nadzieje. Wiecznie masz nadzieję, że to czy tamto. Czy mógłbym zalecić ci nieco więcej pogody ducha? Życie obciążone zbyt wieloma nadziejami to ciężkie życie. Jego owocem są smutek i rozczarowanie. Naucz się jednoczyć z radością chwili.

— To będzie jakieś dwadzieścia pensów, proszę pana — odrzekł Bates, nie-

poruszony.

— Powiem ci, Bates, co zrobię, przez wzgląd na ciebie. Masz przy sobie jakieś pióro? Wystarczy zwykły długopis.

Bates wyjął długopis z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał Dirkowi, który oderwał róg gazety z nadrukiem ceny i nabazgrał pod spodem „Do oddania”. Wręczył skrawek kioskarzowi.

— W takim razie mam to dołączyć do poprzednich, proszę pana?

— Dołącz to, gdzie ci się żywnie podoba, drogi Bates, nie chciałbym w niczym krępować twojej wolnej woli. Tymczasem żegnaj, mój drogi.

— Mam nadzieję, że zechce pan oddać mi mój długopis, panie Dirk.

— Możesz na to liczyć dopiero w bardziej sprzyjających okolicznościach — odrzekł Dirk. — Tymczasem wzywają go wyższe cele. Raduj się, drogi Bates, raduj się. I dajmy już temu spokój, co?

Jeszcze jedno apatyczne szarpnięcie za rękaw i mały człowieczek, wzruszywszy ramionami, podreptał z powrotem do swego kiosku.

— Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy, panie Dirk — rzucił przez ramię, lecz bez zbytniego entuzjazmu.

Dirk złożył wdzięczny ukłon w stronę oddalających się pleców i popędził dalej, po drodze otwierając gazetę na stronie z horoskopem.

„Wszystko, co dzisiaj postanowisz, będzie źle”.

Dirk ze złością złożył gazetę. Ani przez sekundę nie żywił złudzeń, że jakieś oddalone o całe lata świetlne wirujące zlepki skał mogą wiedzieć o jego dniu coś, czego on sam by nie wiedział. Tak się złożyło, że Wielki Zaganza był jego starym kumplem, a ponieważ wiedział, kiedy Dirk ma urodziny, zawsze wypisywał w swojej rubryce coś, co by go podkreśliło. Nakład gazety spadł niemal o jedną dwunastą, odkąd Wielki Zaganza wziął się za układanie horoskopu, a tylko on i Dirk znali tego przyczynę.

Dirk pędził dalej, pospiesznie przelatując wzrokiem gazetę. Dużo o poszukiwaniach jakiejś Janice Smith, zaginionej pracownicy lotniska Heathrow, i o tym, jak to możliwe, żeby tak po prostu sobie zniknęła. Publikowali jej najświeższe zdjęcie: na huśtawce i z warkoczykami, w wieku sześciu lat. Cytowano wypowiedź jej ojca, niejakiego pana Jima Pearce'a, który miał oświadczyć, że ogólne podobieństwo zostało zachowane, choć od tamtego czasu sporo urosła, a poza tym zwykle lepiej prezentuje się w kadrze. Zniecierpliwiony Dirk wcisnął gazetę pod pachę i pędził wielkimi krokami dalej, koncentrując myśli na znacznie ciekawszym temacie.

Trzysta funtów dziennie. Plus wydatki.

Zastanawiał się, jak długo uda mu się utrzymać tego całego Ansteya w przeświadczeniu, że zostanie niedługo zamordowany przez ponad dwumetrowego kudłatego i rogatego stwora o wielkich zielonych oczach, który zwykle czymś wymachiwał: a to kontraktem spisany w jakimś niepojętym języku i podpisanym

smugą krwi, a to czymś w rodzaju kosi. Inną wartą odnotowania cechą owego stwora było to, że najwyraźniej nie mógł go dojrzeć nikt prócz pana Ansteya, co ten skomentował lekceważąco jako „sztuczki ze światłem”.

Trzy dni? Cztery? Dirk nie przypuszczał, żeby udało mu się utrzymać kamienną twarz przez cały tydzień, lecz miał już na oku coś, co wynagrodzi mu ten wysiłek. Na liście nie podlegających dyskusji wydatków umieści nową lodówkę. To będzie naprawdę coś. Wyrzucenie starej lodówki z całą pewnością da się podciągnąć pod wzajemną łączność wszystkiego, co istnieje.

Zaczął pogwizdywać radośnie na samą myśl o tym, że ktoś wreszcie wywiezie precz ten sprzęt; skręcił w Lupton Road i zdumiał się na widok stojących tam radiowozów. A także karetki pogotowia. Wcale mu się to nie podobało. Budziło przykre odczucia. Jakoś dziwnie nie współgrało z marzeniami o nowej lodówce.

## Rozdział piąty

Dirk znał Lupton Road. Była to szeroka, obsadzona drzewami ulica, pełna obszernych, późno-wiktoriańskich tarasów, które wznosiły się wysoko i zdecydowanie, urażone obecnością radiowozów. Mówiąc ściśle, obrażały się tylko wtedy, kiedy radiowozy zajeżdżały całą gromadą i na sygnale. Mieszkańcy Lupton Road nie mieli nic przeciwko temu, żeby pojedynczy, przyjemny i nienagannie się prezentujący radiowóz pogodnie i krzepko patrolował od czasu do czasu ich ulicę — dzięki temu święta własność prywatna mogła także czuć się pogodnie i krzepko. Lecz kiedy światła zaczynały błyskać błękitem, od którego bieleją kostki palców, okrywały się siłą bladością nie tylko same cegły schludnych budynków, ale i wartości, jakie cegły te sobą reprezentowały.

Zza szyb sąsiedzkich okien wypatrywały czegoś niespokojne twarze, opromienione błękitnymi flesztami światła.

Razem było ich trzy — trzy policyjne radiowozy, postawione w poprzek ulicy skosem, który przekraczał granice zwykłego parkowania. Skos ten dawał do zrozumienia światu, że oto prawo bierze tu sprawy w swoje ręce i że każdy, kto ma akurat do załatwienia na Lupton Road jakąś normalną, porządną i pogodną sprawę, lepiej niech zaraz stąd zjeżdża.

Dirk pędził ulicą, a pod ciężkim, skórzanym płaszczem ściekały krople potu. Nagle tuż przed jego nosem wychynał posterunkowy — z szeroko rozłożonymi ramionami udawał barierkę drogową, lecz Dirk zmył go na bok potokiem słów, na które posterunkowy nie mógł tak na poczekaniu wymyślić stosownej odpowiedzi. Dirk pognał w kierunku domu.

Przed wejściem zatrzymał go następny policjant. Dirk miał właśnie niedbale skrętem nadgarstka, który godzinami ćwiczył przed lustrem, kiedy nie miał nic lepszego do roboty, machnąć ku niemu nieważną kartą kredytową z Maksa i Spencera, kiedy policjant zapytał niespodzianie:

— Hej, czy pan się nazywa Gently?

Dirk ostrożnie zamrugnął oczyma. Wydał z siebie ciche chrząknięcie, które zależnie od okoliczności mogło oznaczać zarówno „tak” jak i „nie”.

— Bo szef pana szuka.

— Naprawdę? — zdziwił się Dirk.

— Rozpoznałem pana z jego opisu — powiedział posterunkowy z nieco wymuszonym uśmiechem, lustrując go od stóp do głów. — Prawdę mówiąc — ciągnął — używał pańskiego nazwiska w sposób, który mógłby się komuś wydać wysoce obraźliwy. Wysłał nawet Dużego Boba Znalazcę, żeby pana znalazł. Domyślam się, że jeszcze pana nie znalazł, bo wygląda pan cało i zdrowo. Duży Bob Znalazca odnalazł już wielu ludzi, a wszyscy oni wchodzili do szefa zawsze nieco chwiejnie. Byli jeszcze w stanie pomóc nam w dochodzeniu, ale nic ponadto. Niech pan szybko wejdzie do środka. Lepiej, żeby sam pan tam wszedł — dodał cicho.

Dirk obrzucił dom szybkim spojrzeniem. We wszystkich oknach sosnowe okiennice były wciąż jeszcze zamknięte. Chociaż pod każdym innym względem dom wyglądał na zadbane, dopielegnowany do stanu czystego i schludnego dostatku, zamknięte okiennice stwarzały zaskakującą aurę nagłego spustoszenia.

Co dziwne, z piwnicy najwyraźniej dochodziła jakaś muzyka, a raczej pojedyncza muzyczna fraza, powtarzana z łoskotem raz po raz.

Brzmiało to tak, jakby zacięła się płyta, i Dirk zdziwił się, dlaczego nikt jej nie wyłączy albo przynajmniej nie popchnie igły dalej. Piosenka brzmiała znajomo, więc doszedł do wniosku, że musiał ją ostatnio słyszeć w radiu, choć nie bardzo wiedział, co to właściwie jest. Fragment brzmiał mniej więcej tak:

*Więc nie bierz, go, nie bierz, go, nie, nie b...*  
*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*  
*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*

— i tak dalej.

— Z całą pewnością zechce pan zejść na dół — rzekł policjant beznamiętnie, jakby to była ostatnia rzecz, jakiej mógłby życzyć sobie osobnik przy zdrowych zmysłach.

Dirk skinął głową i popędził po schodach ku głównemu wejściu, gdzie drzwi były lekko uchylone. Potrząsnął głową i napiął mięśnie ramion, żeby utrzymać w miejscu rozkołatany mózg.

Wszedł do środka.

Wygląd holu świadczył o zamożności, narzuconej na gust ukształtowany w czasach studenckich. Deski podłogi pokryte zostały grubą warstwą poliuretanu, na białych zaś ścianach wisiały greckie kobierce, z tych najdroższych. Dirk gotów się był założyć (choć niekoniecznie zapłacić, gdyby przegrał), że w trakcie przeszukiwania dom ujawniłby, obok kilku innych mrocznych sekretów, pięćset akcji Telekomunikacji Brytyjskiej oraz pełny zestaw płyt Boba Dylana aż po „Blood on the Tracks”.

W holu był jeszcze jeden policjant. Wyglądał strasznie młodo. Stał oparty lekko o ścianę i wpatrywał się w podłogę, przyciskając do żołądka hełm. Miał bladą,

lśniącą twarz. Obrzucił Dirka pustym spojrzeniem, po czym słabym skinieniem głowy wskazał mu schody.

To stamtąd dochodziła powtarzająca się melodia:

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*

Dirk trząsał się cały z wściekłości; kotłowała się w nim, szukając obiektu, który mogłaby trzasnąć lub złapać za gardło. Pragnął gorąco zaprzeczyć, że cokolwiek zaszło tu z jego winy, lecz dopóki nikt mu niczego nie zarzucił, dopóty nie mógł niczemu przeczyć.

— Od jak dawna tu jesteście? — zapytał sucho.

Młody policjant przez chwilę zbierał się w sobie, zanim zdołał odpowiedzieć.

— Przyjechaliśmy jakieś pół godziny temu. Co za cholerny ranek. Bez przerwy bieganina.

— Co tu gadać o bieganinie — rzucił Dirk zupełnie bez związku i powłókł się w dół po schodach.

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*

Na dole otwierał się wąski korytarzyk. Największe ze znajdujących się tam drzwi, mocno pokiereszowane, zwisały na prawie wyrwanych zawiasach. Za nimi znajdowało się obszerne pomieszczenie. Dirk właśnie miał wejść, kiedy w drzwiach pojawiła się jakaś postać i stanęła, blokując przejście.

— Gnębi mnie myśl, że jesteś zamieszany w tę sprawę — odezwała się. — Bardzo mnie gnębi. Powiedz mi, co masz z tym wspólnego, żebym wiedział dokładnie, co mnie właściwie tak gnębi.

Dirk gapił się zdumiony na szczupłą, zadbaną twarz.

— Gilks? — wykrztusił.

— Nie stój jak jakiś zaskoczony jak mu tam... Jak się nazywają te takie, co to nie są fokami? Te jeszcze gorsze niż foki? Takie wielkie, rozdęte? A, dugonie. Nie stój tu jak jakiś zaskoczony dugon. Dlaczego ten... — tu Gilks wskazał ręką za siebie — dlaczego ten facet zapisał twoje nazwisko i numer telefonu na kopercie pełnej pieniędzy?

— Ile... — zaczął Dirk. — O ile wolno mi zapytać, skąd się tutaj wzięłeś, Gilks? Co robisz tak daleko od Fens? Zaskakujesz mnie, bo tu chyba nie jest wystarczająco zatechle jak na twoje potrzeby, co?

— Trzysta funtów — oznajmił Gilks. — Za co?

— Może pozwolisz mi najpierw porozmawiać z moim klientem.

— Z twoim klientem, tak? — powtórzył ponuro Gilks. — Dobra. Dlaczego nie miałbyś z nim porozmawiać? Sam jestem ciekaw, co masz mu do powiedzenia. — Odsunął się sztywno i gestem zaprosił Dirka do środka.

Dirk pozbierał myśli i wkroczył tam w stanie pełnej rzeczowości i opanowania, który nie trwał jednak dłużej niż sekundę.

Przeważająca część jego klienta siedziała nieruchomo w wygodnym fotelu przed wielkim zestawem hi-fi. Fotel ustawiono w punkcie, gdzie odbiór był najlepszy — odległość między fotelem a głośnikami wynosiła dwa razy tyle, ile odległość między głośnikami, co uznano za idealną proporcję przy odtwarzaniu stereofonicznym.

Ogólnie mężczyzna miał wygląd zrelaksowany i rozluźniony, kiedy tak siedział, założywszy nogę na nogę, z nie dopita kawa na stoliczku obok. Jednakże, co mocno deprymujące, jego głowę umieszczono na samym środku płyty, która obracała się na talerzu gramofonu hi-fi. Ramię gramofonu, przytulone do szyi, wracało wciąż od nowa w ten sam rowek. Za każdym kolejnym obrotem, to jest co 1,8 sekundy, głowa rzucała Dirkowi pełne wyrzutu spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „Sam widzisz, co się dzieje, kiedy ktoś nie zjawia się o umówionej godzinie”, a potem odwracała się do ściany, wykonywała pełny obrót i znów pojawiała się przed nim z jeszcze większym wyrzutem w oczach.

*Więc nie bierz, go, nie bierz, go, nie, nie b...*

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*

Pokój wokół zachwiał się lekko, więc Dirk oparł rękę o ścianę, żeby go przytrzymać.

— Czy klient zatrudnił cię w jakiejś konkretnej sprawie? — odezwał się cicho Gilks za jego plecami.

— Ach, to był zwykły drobiazg — odrzekł Dirk słabym głosem. — Nic, co miałyby jakiś związek z tym tutaj. Nie, nie, o niczym podobnym nawet nie wspominał. No cóż, posłuchaj, widzę, że jesteś zajęty, więc chyba lepiej będzie, jeśli odbiorę swoją zapłatę i zniknę. Mówiłeś, że zostawił coś dla mnie?

To powiedziawszy, Dirk opadł ciężko na stojące za nim gięte krzeselko i złamał je.

Gilks postawił go na nogi i oparł o ścianę. Wyszedł na chwilę z pokoju i wrócił niosąc na tacy karafkę i szklankę. Nalał do szklanki trochę wody i chlusnął Dirkowi w twarz.

— Lepiej?

— Nie — prychnął Dirk. — Nie możesz przynajmniej wyłączyć tej płyty?

— To robota dla chłopców z laboratorium. Nie mogę niczego dotknąć przed nimi. O, chyba już idą. Wyjdź na patio i zaczerpnij trochę świeżego powietrza. Przykuj się do balustrady i sam się skop, bo ja nie mam na to czasu. No i spróbuj wyglądać trochę mniej zielono, dobra? Nie do twarzy ci.

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b. . .*  
*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b. . .*

Gilks, wyraźnie zły i zmęczony, odwrócił się i już miał wyjść z pokoju, żeby na górze przywitać nowo przybyłych, kiedy nagle zatrzymał się i przez kilka sekund przyglądał się głowie obracającej się cierpliwie na ciężkim talerzu.

— Wiesz — odezwał się w końcu — te cwaniackie, popisowe samobójstwa już mnie męczą. Chyba robią to na złość.

— Samobójstwo?! — powtórzył Dirk.

Gilks odwrócił ku niemu głowę.

— Okna zabezpieczone kratami półtoracentymetrowej grubości — powiedział. — Drzwi zamknięte od wewnątrz na klucz, który do tej pory tkwi w zamku. Od środka zabarykadowane kupą mebli. Drzwi na patio zamknięte na potężny rygiel. Żadnych śladów podkopu. Jeśli to było morderstwo, to morderca uciekając musiał położyć za sobą kafelki. Tylko że cała szpachlówka jest stara, a na dodatek z wierzchu pomalowana. Nie. Z tego pokoju nikt nie wychodził, nikt też się do niego nie włamał, z wyjątkiem nas, a jestem całkowicie pewien, że to nie nasza robota. To oczywiście samobójstwo, zaplanowane tak, żeby narobić nam kłopotu. Ciągle mam ochotę przymknąć nieboszczyka za marnowanie policyjnego czasu. Wiesz, co ci powiem — dorzucił zerkając na zegarek — masz dziesięć minut. Jeśli zjawisz się u mnie z wiarygodnym wyjaśnieniem, jak facet to zrobił, tak żebym miał co napisać w raporcie, pozwolę ci zatrzymać dowód rzeczowy w kopercie, minus dwadzieścia procent rekompensaty dla mnie za emocjonalną rozterkę, jaką przeżyłem nie dając ci po buzi.

Dirk przez chwilę zastanawiał się, czy nie wspomnieć o tym, że jego klient uparcie twierdził, iż regularnie nawiedza go dziwny, nieokrzesany, zielonooki i odziany w futra olbrzym, który pojawia się znikąd i ryczy coś o zobowiązaniach i kontraktach, wymachując przy tym kosą o długim na trzy stopy i bardzo błyszczącym ostrzu. Po namyśle zdecydował, że jednak nie.

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b. . .*  
*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b. . .*

Nareszcie wrzał na siebie gniewem. Nie był w stanie zawrzeć odpowiednio z powodu śmierci swego klienta, ponieważ był to zbyt wielki i zbyt potworny ciężar do udźwignięcia. Ale teraz, kiedy Gilks go upokorzył, a on sam czuł się zbyt rozchwiany i przygnębiony, żeby mu się odszczeknąć, mógł przynajmniej o to wściec się na siebie.

Odwrócił się na pięcie od swego ciemnicy i poszedł w kierunku patio, gdzie w ogródku mógł побыć sam na sam ze swym gniewem.

Nieduże patio, wyłożone płytami chodnikowymi, otwarte od zachodu, znajdowało się z tyłu domu. Nie docierało tu zbyt wiele światła, gdyż z jednej strony



ocieniała je wysoka ściana domu, z drugiej zaś potężna ściana zabudowań przemysłowych. Na samym środku, nie wiadomo po co, stał kamienny zegar słoneczny. Gdyby na ów zegar padł choć promień słońca, można byłoby stwierdzić, że dochodzi właśnie południe według czasu Greenwich A tak widać było jedynie siedzące tam ptaki. Kilka roślinek przycupnęło ponuro w doniczkach.

Dirk wetknął sobie w usta papieros i przy podpalaniu spalił sporą jego część.

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*

— nie dawał mu spokoju głos z wnętrza domu.

Po obu stronach schludne murki oddzielały patio od ogródków przy sąsiednich domach. Ogród po lewej był mniej więcej takich samych rozmiarów, ten po prawej ciągnął się nieco dalej, korzystając z tego, że budynki przemysłowe kończyły się równo z murem granicznym. Wokół unosiła się aura należytej dbałości. Nic przesadnie olśniewającego — zwykłe poczucie, że wszystko jest w należytym porządku i że utrzymanie tych domów nie sprawia właścicielom większych trudności finansowych. W szczególności zaś dom po prawej wyglądał, jakby dopiero co wyrugowano mu szczeliny między ceglami i świeżo nabłyszczono okna.

Dirk zaczerpnął głęboki haust powietrza i przez moment stał zagapiony w ten drobny fragment nieba, jaki zdołał wypatrzeć między dachami — fragment szary i mglisty. Pod podszewką chmur kołował jakiś pojedynczy, ciemny punkt. Dirk przez chwilę śledził go wzrokiem, zadowolony, że może skupić myśli na czymś innym niż okropności pomieszczenia, które tylko co opuścił. Uświadamiał sobie mgliście, że w pomieszczeniu tym panuje teraz duży ruch, odbywa się tam jakieś mierzenie, fotografowanie, i że właśnie mają miejsce czynności zmierzające do usunięcia odrąbanej głowy.

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*

*Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie b...*

*Więc n...*

Ktoś w końcu musiał ją wziąć, bo uporczywie powtarzana fraza ucichła, a wśród spokojnej, popołudniowej aury nadpłynął skądś delikatny, daleki dźwięk grającego telewizora.

Do Dirka jednakowoż wszystkie te zmiany docierały z niejakim trudem. O wiele lepiej uświadamiał sobie, że otrzymuje właśnie w głowę serię rozkołysanych, potężnych grzmotnić, które wiązały się z silnym poczuciem winy. Nie było to zwykłe, podobne do cichej muzyczki w tle poczucie winy wypływające z samego faktu przeżycia aż do tak zaawansowanego stadium dwudziestego wieku, z którym Dirk na ogół radził sobie znakomicie. Było to prawdziwie palące

poczucie, że „ta akurat potworność zdarzyła się z mojej akurat potwornej winy”. Wszystkie przyjęte w takich razach posunięcia nie zdołały zepchnąć go z toru, po którym poruszało się gigantycznych rozmiarów wahadło. Łup — uderzyło kolejny raz — iii łup — i raz za razem: łup, łup, łup.

Próbował przypomnieć sobie jakieś szczegóły rozmowy (łup), jaką przeprowadził ze swoim świętej pamięci klientem (łup, łup), ale było to praktycznie niemożliwe (łup) z powodu tego nieustannego łupania (łup). Facet twierdził (łup), że — Dirk wziął głęboki oddech — (łup) prześladowuje go (łup) jakiś (łup) wielki, włochaty, zielonooki potwór uzbrojony w kosę.

Łup!

Na to Dirk dyskretnie uśmiechnął się do siebie.

Łup, bum, łup, bum, łup, bum!

I pomyślał sobie: Co za dureń.

Łup, bum, bum, bum, bum!

Potwór miał kosę (łup) i jakiś kontrakt (łup).

Facet kompletnie nie wiedział, czego mógł dotyczyć ten kontrakt. No jasne, pomyślał wtedy Dirk (łup).

Lecz miał mgliste przeczucie, że mogło to być w jakiś sposób związane z ziemniakiem. Z tym znów wiąże się cała skomplikowana historia (bum, bum, bum).

Tu Dirk poważnie skinął głową (łup) i uspokajająco zaznaczył coś ptaszkiem (łup) w notesiku, który trzymał w biurku (łup) dokładnie w tym celu, to jest, żeby zaznaczać w nim uspokajające ptaszki (łup, łup, łup). Z dumą pomyślał, że udało mu się stworzyć wrażenie, jakoby zaznaczał ptaszkiem niedużą rubryczkę z napisem „Ziemniaki”.

Łup, łup, łup, łup!

Pan Anstey oświadczył, iż wyjaśni bliżej sprawę ziemniaków, kiedy Dirk przyjedzie, aby wykonać swoje zadanie.

Dirk przyrzekł (łup) bez trudu (łup) i od niechcenia (łup), z beztróskim machnięciem ręki (łup, łup, łup), że będzie na miejscu o wpół do siódmej rano (łup), ponieważ termin zaznaczony w umowie dobiegał końca o siódmej.

Dirk przypomniał sobie, jak zaznaczał w notesie kolejnym ptaszkiem spekulatywną notkę „Kontrakt ziemniaczany dobiega końca o siódmej rano”. (Ł...)

Nie mógł dłużej znieść tego łupania. Nie może przecież winić siebie za to, co się stało. Zgoda, może. Oczywiście, że może. Przecież właśnie to robi. Prawdę mówiąc, to była jego wina (łup). Chodzi o to, że nie może dłużej obwiniać się o to, co zaszło, bo nie jest w stanie przy tym jasno myśleć, a to właśnie należało teraz uczynić. Będzie musiał wyrwać z głowy tę potworną sprawę (łup) z korzeniami, bo jeśli ma być w należytej kondycji, musi najpierw pozbyć się (łup) tego łupania.

Ogarnęła go potężna fala gniewu, kiedy tak kontemplował kłopotliwe położenie oraz pogmatwane niedole swego losu. Znienawidził to schludne patio. Zniena-

widził ten zegar słoneczny, wszystkie te schludnie pomalowane okna i obrzydliwe równusieńkie dachy. Czuł przemożną chęć, żeby zrzucić całą winę z siebie na dokładną robotę malarzy, na odrażająco porządne płyty chodnika, na oburzającą wprost abominację, jaką wzbudzały weń świeżo wyrugowane mury.

— Przepraszam bardzo. . .

— Co?

Określił się na pięcie, przyłapany w samym środku swej jak najbardziej osobistej wściekłości przez czyjś cichy, uprzejmy głos.

— Czy ma pan jakiś związek z. . . — tu kobieta leciutkim, płynnym ruchem nadgarstka zaznaczyła zaistniałą w sąsiedztwie swego rodzaju nieestetyczność, piwniczność i rodzaj nieprzyjemnej policyjności. Na przegubie miała czerwoną bransoletkę pod kolor czerwonej oprawki okularów. Wyglądała zza ogrodowego muru przy domu po prawej z wyrazem odrobinę niespokojnej niechęci na twarzy.

Dirk wpatrzył się w nią oniemiały. Wyglądała na czterdzieści kilka lat, była zadbana, a w jej wyglądzie było coś, co natychmiast i nieomylnie przywodziło na myśl reklamę.

Westchnęła strapiona.

— Ja wiem, że to wszystko jest pewnie bardzo okropne i w ogóle — powiedziała — ale jak pan myśli, czy to długo potrwa? Wezwaliśmy policję tylko dlatego, że ta upiorna płyta doprowadzała nas do szału. To wszystko jest trochę. . .

Przesłała mu spojrzeniem niemą prośbę, a Dirk doszedł do wniosku, że to ona jest wszystkiemu winna. Jeżeli o niego chodzi, spokojnie może obarczyć ją całą odpowiedzialnością, a w tym czasie sam przemyśli sobie kilka spraw. W pełni na to zasługiwała, chociażby dlatego, że nosi takie bransoletki.

Bez słowa odwrócił się do niej plecami i przeniósł swą wściekłość z powrotem do wnętrza domu Ansteya, gdzie zaczęła gwałtownie tężeć w coś o wiele bardziej konkretnego i efektownego.

— Gilks! — zawołał. — Podoba mi się ta twoja historyjka o cwany samobójstwie. Jak dla mnie, wszystko się zgadza. I chyba wiem, jak ten szczywany gnojek sobie poradził. Dajcie mi papier. Dajcie mi ołówek.

Usiadł zamasyżycie przy rustykalnym stoliku z czereśniowego drewna, zajmującym centralną pozycję w głębi pomieszczenia, i zręcznie naszkicował schemat wydarzeń, w który włączył wiele artykułów gospodarstwa domowego, huśtawkę, ciężarek zawieszony u wyłącznika światła, a który to schemat w znacznej mierze opierał się na istotnym stwierdzeniu, że gramofon był produkcji japońskiej.

— To powinno zadowolić chłopców z laboratorium — powiedział rażno do Gilksa.

Chłopcy z laboratorium rzucili okiem na szkic, przeanalizowali wszystkie bardziej ryzykowne założenia i przyjęli je bez zastrzeżeń. Były proste i pozbawione wszelkich pozorów prawdopodobieństwa, a zatem należały do tego rodzaju wyjaśnień, które koroner, preferujący ten sam typ wakacji w Marbelli co oni, byłby

skłonny zaakceptować.

— Chyba że — rzucił od niechcienia Dirk — interesuje was pomysł, że denat wdał się w konszachty z nadprzyrodzoną agencją, która właśnie wyrównała z nim rachunki?

Chłopcy z laboratorium spojrzeli po sobie i potrzęsęli przecząco głowami. Obaj mieli silne poczucie, że ranek mocno się już zestarzał i że takie gadanie wnosi tylko niepotrzebne komplikacje do sprawy, którą w porze lunchu mogliby już mieć równie dobrze za sobą.

Dirk, zadowolony, wzruszył ramionami, odliczył swoją część dowodu rzeczowego i, skinąwszy głową funkcjonariuszom, ruszył schodami na górę.

Kiedy dotarł do holu, nagle uświadomił sobie, że przygłuszone dźwięki porannej telewizji, które dochodziły do niego na patio, wewnątrz domu maskowane były dotąd uporczywie powracającą melodyjką z płyty.

Ku swemu zaskoczeniu zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości dochodzą z piętra. Upewniwszy się, że nie jest obserwowany, stanął na najniższym stopniu schodów prowadzących na piętro i popatrzył w górę.

## Rozdział szósty

Schody wyłożono tworzywem przypominającym zgrzebną matę. Dirk przemknął cicho obok stojącego na pierwszym podeście wazonu z gustowną kompozycją z suszonych kwiatów w środku, a potem zajrzał do każdego z pokoi na piętrze. One także były gustowne i zasuszone.

Jedynie większa z dwu sypialni wykazywała jakieś oznaki użytkowania. Widać było wyraźnie, iż zaprojektowano ją tak, aby umożliwić promieniom porannego słońca miłe igraszki na delikatnych kompozycjach kwiatowych oraz na kołdrach wypchanych czymś na podobieństwo siana; sam pokój sprawiał jednak wrażenie, jakby zamiast promyków słońca wzięły go w posiadanie skarpetki i zużyte żylетки. Dawał tu o sobie znać ledwie uchwytny brak śladów kobiecości — ten sam rodzaj pustki, jaki pozostawia po sobie zdjęty ze ściany obraz. Czuło się atmosferę smutku i napięcia oraz dojmującą potrzebę wymięcenia spod łóżka kilku przedmiotów.

W przylegającej do sypialni łazience zobaczył wiszącą naprzeciw toalety złotą płytę, przyznaną za sprzedany w pięciuset tysiącach egzemplarzy singiel pod tytułem „Ziemniak parzy”, nagrany przez zespół o nazwie „Pięściarstwo oraz Trzeci Autystyczny Świr”. Dirk jak przez mgłę przypomniał sobie, że w którymś z niedzielnych dodatków czytał kawałek wywiadu z liderem grupy (cała grupa składała się z dwóch muzyków, a jeden był liderem). Zapytany o nazwę zespołu odparł, że wiąże się z nią ciekawa historia, która okazała się jednak zupełnie nieciekawa. „Nazwa może oznaczać dokładnie to, co ludzie chcą, żeby oznaczała” — oznajmił na koniec, wzruszając ramionami, rozparty zapewne na sofie w biurze swego menedżera gdzieś w okolicach Oxford Street.

Dirk pamiętał, że wyobraził sobie wtedy, jak dziennikarz uprzejmie potakuje i zapisuje jego słowa w notesie. Czuł, jak w żołądku formuje mu się ohydny guz; zdołał go rozpuścić dopiero za pomocą ginu.

Ziemniak parzy, pomyślał Dirk. Kiedy tak przyglądał się złotemu dyskowi w czerwonej ramce, przyszło mu do głowy, że na takiej samej płycie kręciła się głowa świętej pamięci Ansteya. Ziemniak parzy. Więc nie bierz go.

Co to mogło oznaczać?

Dokładnie to, co ludzie chcą, żeby oznaczało, pomyślał z niechęcią Dirk.

Przypomniawszy sobie jeszcze, że Pain (lider nazywał się Pain) utrzymywał, jakoby słowa tej piosenki zostały żywcem spisane z rozmowy, którą on sam, a może ktoś inny, podsłuchiwał w kawiarni, saunie, samolocie czy gdzieś tam. Dirk zastanawiał się przez chwilę, jak czuliby się owi rozmówcy, słysząc swe słowa powtarzane w nieskończoność w takich okolicznościach, w jakich on je właśnie usłyszał.

Przyjrzał się uważnie naklejce na środku płyty. Na samej górze, nad tytułem, napisano po prostu „ARRGH!”, poniżej znajdowały się nazwiska twórców: Patington, Mulville, Anstey.

Mulville to chyba ten drugi z „Pięściarstwa oraz Trzeciego Autystycznego Świra”, ten, który nie był liderem. A włączenie Geoffa Ansteya do zespołu autorów znakomicie sprzedającego się singla z pewnością umożliwiło mu spłacenie tego domu. Kiedy Anstey mówił o kontrakcie, który miał coś wspólnego z ziemniakiem, zakładał, że Dirk wie, o co chodzi. A on, Dirk, po prostu uznał, że ktoś, kto opowiada o zielonookich potworach z kosami, bredzi także wtedy, kiedy mówi o ziemniakach.

Dirk westchnął, pełen głębokiego niepokojem. Rozdrażniła go niezwykle akuratywność, z jaką owo trofeum zawieszono na ścianie, trącił je więc lekko, żeby wisiało pod bardziej ludzkim, a mniej porządnym kątem. Zza ramki wypadła jakaś koperta i niczym jesienny liść poszybowała w dół. Dirk próbował ją złapać, lecz bez powodzenia. Pochylił się więc z nieeleganckim stęknieniem i podniósł ją z podłogi.

Była to dość duża koperta z grubego, kremowego papieru, z jednej strony rozcięta niestarannie i ponownie zalepiona taśmą. Prawdę mówiąc wyglądała, jakby kilkakrotnie otwierano ją i zalepiano, a wrażenie to potęgowała jeszcze spora liczba adresów, na jakie swego czasu koperta została wysłana — z których każdy został kolejno wykreślony i zastąpiony nowym.

Ostatnim był adres Geoffreya Ansteya. Przynajmniej Dirk tak przypuszczał, gdyż tylko tego adresu nie przekreślono zamazaną kreską. Dirk przyglądał się innym nazwiskom, próbując je sobie skojarzyć.

Te, które udało mu się odczytać, budziły w jego umyśle mgliste wspomnienia, jednak potrzebował czasu, by zbadać kopertę dokładniej. Tyle już razy obiecywał sobie, że kupi szkło powiększające, lecz jak dotąd jeszcze mu się to nie udało. Nie miał też scyzoryka, tak więc, choć niechętnie, zdecydował, że tymczasem najroztropniej będzie upchnąć kopertę do któregoś z głębszych zakamarków płaszcza i zbadać ją nieco później, na osobności.

Zajrzał jeszcze raz za ramkę w nadziei, że natknie się tam na jakieś inne dobra, ale się rozczarował. Dał więc spokój łazience i zabrał się do przeszukiwania reszty domu.

Druga sypialnia była schludna i bezduszna; pewnie w ogóle nie używana. Całe jej wyposażenie stanowiło sosnowe łóżko, kołdra i podniszczona komódka, którą próbowano odnowić, ani chybi zanurzając w kadzi z kwasem. Zamknąwszy za

sobą drzwi, Dirk zaczął wspinać się po wąskich, chwiejnych, pomalowanych na biało schodach, które prowadziły na poddasze, skąd dobiegały odgłosy ścieżki dźwiękowej „Królika Bugsa”.

Na szczycie schodów znajdował się niewielki podest. Pierwsze z dwojga drzwi prowadziły do łazienki, tak małej, że najlepiej było używać jej stojąc na zewnątrz. Drzwi te pozostawały uchylone z powodu gumowego węża, ciągnącego się od kurka z zimną wodą przy wannie przez cały podest aż do drugich drzwi, które prowadziły do jedynej na tym poddaszu pokoju.

Pomieszczenie było typową facjatką, miało ukośny sufit i oferowało zaledwie kilka miejsc, w których człowiek przeciętnego wzrostu mógłby stanąć wyprostowany.

Dirk stał zgarbiony w drzwiach i niespokojnie badał wzrokiem wnętrze pokoju. Generalnie królowało tu niechlujstwo. Zasłony były zaciągnięte, więc do środka przesączało się bardzo niewiele światła. Nie zasłane łóżko z nieświeżą i skotłowaną pościelą wepchnięto pod szczególnie nisko zwieszającą się część sufitu. Ściany i większość niemal pionowych partii sufitu pokryte były fotosami wyciętymi niestarannie z kolorowych magazynów.

Na pierwszy rzut oka nie sposób było odkryć dominujący temat czy sens tego zbioru wycinków. Obok kilku zdjęć luksusowych niemieckich samochodów wisiała dziwaczna reklama biustonoszy, dalej niechlujnie wyrwane zdjęcie babeczki owocowej i fragment reklamy polisy ubezpieczeniowej na życie oraz kilka innych, dość przypadkowych wycinków, które sprawiały wrażenie, jakby dobrano je i ułożono z jakąś tępą, krowią obojętnością wobec potencjalnych znaczeń oraz wrażenia, jakie mogły wywrzeć.

Gumowy wąż wił się po podłodze i dochodził do wiekowego fotela, przysuniętego przed telewizor.

Królik szalał na ekranie, a poblask jego szaleństw igrał na krawędziach fotela. Bugs mocował się ze sterami samolotu, który pikował ostro w kierunku ziemi. Nagle dostrzegł guzik z napisem „Autopilot” i natychmiast go przycisnął. Otworzyła się jakaś szafka, wylał z niej pilot-robot, błyskawicznie przeanalizował sytuację i wyskoczył na spadochronie. Samolot wciąż walił się w dół, lecz zanim doleciał do ziemi, skończyło się na szczęście paliwo — królik był uratowany. Wtedy Dirk dostrzegł czubek czyjejś głowy.

Włosy na niej były ciemne, matowe i tłuste. Dirk przyglądał się im przez długą, pełną niepokoju chwilę, zanim odważył się wejść powolutku do środka; miał zamiar sprawdzić, do czego — jeśli w ogóle — głowa jest przytwierdzona. Ulga, jakiej doznał, kiedy okrążywszy fotel ujrzał, że jest przytwierdzona do jak najbardziej żywego ciała, osłabła nieco po uważniejszym przyjrzeniu się owemu ciału.

Chłopak mógł mieć trzynaście albo czternaście lat i choć nie wyglądał na trawionego przez jakąś konkretną dolegliwość fizyczną, nie był też na pewno okazem zdrowia. Jego włosy zwisały ciężko po obu stronach głowy, głowa zaś zwisa-

ła równie ciężko z ramion; leżał w fotelu w tak pokracznej pozycji, jakby wpadł weń wprost z pędzącego pociągu. Na jego ubiór składały się tania kurtka skórzana i śpiwór. Dirk gapił się na niego w zdumieniu.

Kim jest? Skąd się wziął w domu, w którym właśnie ścięto komuś głowę? Czy wie, co się stało? I czy Gilks wie o jego istnieniu? Czy Gilks pofatygował się, żeby tu wejść? W końcu trzeba by przejść sporo stopni, jak dla zapracowanego policjanta, który w dodatku ma na głowie cwane samobójstwo.

Dirk stał tak przez jakieś dwadzieścia sekund. Wreszcie chłopiec podniósł ku niemu wzrok, ale najwyraźniej nie przyjął do wiadomości jego istnienia, bowiem obojętnie odwrócił spojrzenie i znowu zatopił je w ekranie.

Dirk nie przywykł do tego, by wywierać na kimś aż tak nikłe wrażenie. Upewnił się, czy ma na sobie swój wielki skórzany płaszcz i swój nedorzecznie czerwony kapelusz, a także czy jego sylwetka rysuje się wystarczająco dramatycznie w płynącym od drzwi świetle.

Na moment stracił animusz; rzucił krótkie „Eee...” jako rodzaj autoprezentacji, lecz nie udało mu się przyciągnąć uwagi chłopca.

Wcale mu się to nie spodobało. Ten szczeniak z rozmysłem i przeciw niemu ogląda telewizję. Nachmurzył się. Czuł, że w pokoju narasta jakieś parne napięcie; powietrze zaczęło w niepojęty sposób nabierać ciężkich i jakby syczących własności, a on nie wiedział, jak ma zareagować. Napięcie wciąż przybierało na sile, aż nagle wszystko zakończyło się trzaskiem, na który Dirk gwałtownie się wzdrygnął.

Chłopiec rozwinął się z wolna jak tłusty wąż, przechylił się bokiem przez poręcz fotela i rozpoczął jakieś niepojęte a skomplikowane przygotowania, do których używał, jak uświadomił sobie Dirk, elektrycznego czajnika. Kiedy powrócił do poprzedniej pozycji, dzierżył w prawej dłoni plastikowy garnczek, z którego zagarniał widelcem wprost do ust gumiaste strugi parującego kłajstru.

Bugs tymczasem doprowadził sprawy do szczęśliwego końca i ustąpił miejsca komikowi szydery, który z miejsca zabrał się do przekonywania widzów, aby kupowali pewien określony gatunek piwa tylko dlatego, że on tak właśnie, niezupełnie bezinteresownie, twierdzi.

Dirk poczuł, że nadszedł czas, aby wyrzucić nieco większe wrażenie, niż mu się to udało w trakcie dotychczasowych działań. Przesunął się zatem i stanął dokładnie na linii wzroku chłopca.

— Dziecko — odezwał się tonem, który (miał taką nadzieję) zabrzmiał mocno, lecz delikatnie, bez cienia protekcyjności i afektacji — muszę wiedzieć, kim...

Na chwilę stracił wątek zdumiony tym, co ujrzał z miejsca, w którym się teraz znalazł. Po drugiej stronie fotela stała ogromna, do połowy opróżniona skrzynia klusek błyskawicznych, wielkie, też opróżnione do połowy pudło batoników Mars, w połowie zdemontowana piramida puszek z napojami chłodzącymi, a przy



niej leżał gumowy wąż zakończony plastikowym kranikiem — najwyraźniej służył on do uzupełniania zawartości czajnika.

Dirk chciał spytać chłopca, kim jest, lecz kiedy mu się przyjrzał, nie miał najmniejszych wątpliwości. Jasne było, że chłopiec jest synem nieodżałowanej pamięci Ansteya. Być może jego zachowanie było swoistą reakcją na szok. Może zresztą naprawdę nie wie, co się wydarzyło. A może...

Dirk nie miał odwagi nawet pomyśleć do końca.

Prawdę mówiąc, nie był w stanie zebrać myśli, kiedy w stojącym za nim telewizorze na zlecenie producenta pasty do zębów próbowano za wszelką cenę wzbudzić w nim strach przed tym, co może dziać się w jego jamie ustnej.

— OK — oznajmił — nie chciałbym ci przeszkadzać w tych z pewnością trudnych i przykrych dla ciebie chwilach, ale muszę się dowiedzieć, czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że są to dla ciebie chwile trudne i przykre.

Nic.

Dobra, pomyślał Dirk. Czas na odrobinę uzasadnionej obcesowości.

Oparł się o ścianę, wepchnął ręce do kieszeni, jakby mówił: „OK, jeśli tak ma to wyglądać — proszę bardzo!”, przez kilka sekund wpatrywał się ponuro w podłogę, aż w końcu poderwał gwałtownie głowę i rzucił chłopcu twarde spojrzenie prosto w oczy.

— Muszę ci coś powiedzieć, mały — rzekł zwięźle. — Twój ojciec nie żyje.

I pewnie osiągnęłyby swój cel, gdyby nie długa i popularna reklamówka, która rozpoczęła się dokładnie w tej samej chwili. Była to wyjątkowa i zdumiewająca przedstawicielka gatunku. W początkowej scenie pokazano anioła Lucyfera, strącanego właśnie z niebios w czeluście piekielne, gdzie następnie leżał pośród morza płomieni, dopóki przechodzący obok demon nie podał mu puszki musującego napoju „sHades”. Lucyfer chwycił puszkę i skosztowawszy napoju łączywie wychleptał do dna jej zawartość, po czym odwrócił się do kamery, wsunął na nos przeciwsłoneczne okulary Porsche’ a i rzekł: „No, teraz rzeczywiście możemy zacząć grzać!” Na koniec rozłożył się wygodnie w ciepłe płonących wokół stosów węgla. W tym momencie niewyobrażalnie gardłowy i charczący amerykański głos, który brzmiał, jakby sam wyczołgał się właśnie z czeluści piekieł albo przynajmniej z pijackiej piwniczki w Soho, do której najchętniej z miejsca by wrócił, żeby móc się odpowiednio zaprawić do następnego dubbingu, dorzucił: „t’sHades’ — napój z piekła rodem”, a puszka obróciła się odrobinę, tak żeby zniknęło początkowe „s” i pozostał napis „Hades”.

Cokolwiek przemieszały im się teologie — doszedł do wniosku Dirk — ale cóż znaczy jeszcze jedna maleńka kropla w rozszalałym morzu niedoinformowania?

Teraz Lucyfer wyszczerzył się do kamery i dodał: „Dla czegoś takiego naprawdę warto upaść...”, i na wypadek gdyby widz popadł w krańcowe otepienie,

króciutko przypomniano początkową scenę ze strąceniem Lucyfera, ażeby uwy-puklić w ten sposób słowo „upaść”.

Wszystko to całkowicie pochłonęło uwagę chłopca.

Dirk przykucnął między fotelem a ekranem telewizora.

— Posłuchaj mnie. . . — zaczął.

Chłopiec wyciągnął szyję w bok, żeby widzieć ekran. Ponieważ nie przestał jednak ładować w siebie klusek błyskawicznych, musiał dokonać przegrupowania wszystkich członków.

— Słuchaj — nalegał Dirk.

Poczuł, iż poważnie zagraża mu rychła utrata uprzywilejowanej pozycji. Nie chodziło jedynie o to, że całą uwagę chłopca pochłaniała telewizja. Rzecz w tym, że poza telewizją nic nie miało dla niego znaczenia; niewykluczone, że w ogóle nie istniało. Dirk był po prostu przeszkodą w oglądaniu telewizji. Chłopiec nie czynił pod jego adresem żadnych złośliwości — zwyczajnie próbował zobaczyć ekran.

— Słuchaj, czy nie można tego na chwilę wyłączyć? — powiedział Dirk starając się, aby nie zabrzmiało to zbyt cierpko.

Chłopiec nie zareagował. Może jedynie zeszytywniał leciutko w okolicach barków; możliwe, że było to wzruszenie ramion. Dirk odwrócił się w stronę telewizora i znalazł się w kropce, próbując ustalić, który guzik należy przycisnąć, żeby go wyłączyć. Tablica z przyciskami wyglądała tak, jakby zaprojektowano ją w jednym celu: za wszelką cenę nie dać się wyłączyć. Nigdzie nie widać było literek oznaczających zwykle wyłącznik. W końcu Dirk po prostu wyciągnął wtyczkę z gniazdka i odwrócił się z powrotem do chłopca. W tym właśnie momencie poczuł, że jego przegroda nosowa trzaska w zderzeniu z czołem chłopca i obaj potoczyli się pod telewizor. Chrząst łamanej kości i wrzask Dirka zniknęły we wściekłym wyciu, jakie dobywało się z gardła chłopca. Dirk młócił ramionami w rozpaczliwej obronie przed tą furiacką napaścią, lecz chłopak miał znaczną przewagę, gdyż utkwivszy łokieć w oku Dirka, kolanami przygniatał mu najpierw żebra, potem szczękę, a potem i tak już nadwreżony nos, tocząc się po nim niczym walec drogowy, aby włączyć telewizor do sieci. Po czym z powrotem usadowił się wygodnie w fotelu, ponurym, rozbieganym wzrokiem obserwując powracający obraz.

— Mogłeś przynajmniej poczekać do wiadomości — odezwał się bezbarwnym głosem.

Dirk gapił się na niego z szeroko otwartymi ustami. Siedział skulony na podłodze, ściskając w dłoniach swój krwawiący nos i wytrzeszczając oczy na znów doskonale obojętnego potwora.

— Łufff.. ffummm. . . nuffl! — zaprotestował, po czym, rezygnując na chwilę z dalszych zmagañ, zajął się obmacywaniem uszkodzonego nosa.

Z całą pewnością jedna z jego części stała się ruchoma i pod naciskiem palców wydawała nieprzyjemny, acz cichy chrzęst, całość zaś przybrała zatrwająco obcy kształt. Dirk wydobył z kieszeni chusteczkę i przyłożył do twarzy. Krew przedarła się przez nią bez trudu. Podniósł się chwiejnie, gestem odrzucił wszelką niezaferowaną pomoc i powlókł się w stronę maleńkiej łazienki. Tam ze złością oderwał wąż od kurka z zimną wodą, chwycił jakiś ręcznik, zmoczył go i przyłożywszy do twarzy trzymał, aż rwący strumień krwi zmienił się najpierw w wąską strużkę, a potem ustał zupełnie. Przyjrzał się sobie w lustrze. Nos z całą pewnością ustawił się pod nieco zbyt zawadiackim kątem do reszty twarzy. Próbował dzielnie go przesunąć, lecz, jak się okazało, nie dość dzielnie. Bolało obrzydliwie, zatem ograniczył się do kilku lekkich szturchnięć mokrym ręcznikiem i paru cichych przekleństw.

Stał tam jeszcze przez dobrą minutę; oparty o wannę oddychał ciężko i próbował wyrzec mocne „W porządku!” pod adresem lustra. Niestety, wychodziło mu coś w rodzaju „F porzoddu!”, co nie brzmiało wystarczająco autorytatywnie. Kiedy poczuł, że zdołał dostatecznie wziąć się w garść, w każdym razie wziąć się na tyle, na ile obecnie było to możliwe, odwrócił się i pomaszerował wprost do jaskini potwora.

Bestia siedziała cicho, pochłaniając wieści o nowej, ekscytującej grze turniejowej, którą przygotowano na wieczór dla najbardziej zawziętych widzów. Kiedy Dirk znów się pojawił, bestia nawet na moment nie oderwała wzroku od ekranu.

Dirk żwawym krokiem podszedł do okna i gwałtownie odsunął zasłony, łudząc się, że w świetle dnia bestia piszcząc przeraźliwie zeschnie na wiór, lecz reakcja potwora ograniczyła się do zmarszczenia nosa. Po szybie przemknął jakiś cień, lecz przy tym kącie jej nachylenia Dirk nie potrafił rozpoznać, co to mogło być.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z potwornym chłopcem. W telewizji zaczęło się właśnie południowe wydanie wiadomości, więc chłopiec wykazywał nieco większą otwartość na sprawy świata, który pozostawał na zewnątrz migoczącego kolorowego prostokąta. Obrzucił Dirka nachmurzonym, zmęczonym spojrzeniem.

— Czeopantuwłaściechce? — spytał.

— Powieb ci czeo kce — odrzekł Dirk gwałtownie, lecz raczej dość bez nadziejnie. — Kce... Kfila bobedt... Jajob skoddś zdab!

Uwagę Dirka przyciągnął niespodziewanie ekran telewizora, gdzie pokazywano właśnie bardziej aktualną fotografię zaginionej pracownicy lotniska.

— Copantuwooglerobi?

— Ciko! — odrzekł Dirk i przysiadł na poręczy fotela, intensywnie przypatrując się twarzy na ekranie. Fotografię wykonano przed rokiem, zanim dziewczyna dowiedziała się o istnieniu obowiązującego wśród personelu błyszczyka. Miała mocną trwałą i wyraz twarzy wyfiokowanego, kłótliwego babsztyla.

— Kimpanjest? Cosiedzieje? — dopytywał się chłopiec.

— Zbogojdzie, bały — warknął Dirk. — Die widziż, że ogloddab?

Według słów prezentera policja zapewnia, iż jest całkowicie zbity z tropu faktem, że na miejscu wypadku nie pozostał nawet najmniejszy ślad po Janice Smith. Wyjaśnia przy tym, że istnieją przecież jakieś granice zarówno przeszukiwania wciąż tych samych budynków, jak i apelowania do wszystkich, którzy mogą podać jakieś wskazówki dotyczące miejsca pobytu zaginionej.

— Do boja segredarga! Do padda Pearce! — wykrzyknął zdumiony Dirk.

Chłopca nie interesowała jednak ekssekretarka Dirka, zaprzestał też prób zwrócenia na siebie uwagi. Wywinął się ze śpiwora i powlókł do łazienki.

Dirk siedział wpatrzony w telewizor, zdumiony, że nie zorientował się wcześniej, kim jest zaginiona dziewczyna. Wkrótce zdał sobie sprawę, że nie miał po temu żadnych podstaw. Wychodząc za mąż zmieniła nazwisko, a w dodatku teraz dopiero pokazano fotografię, która naprawdę mogła pomóc ją zidentyfikować. Do tej pory Dirk nie zwracał szczególnej uwagi na wypadek z lotniska, ale teraz poczuł, że czas przyjrzeć mu się bliżej.

Eksplozję określano już oficjalnie mianem „Aktu Bożego”.

Ale który to bóg? — pomyślał Dirk. I po co? Któremu z bogów chciałoby się włączyć po drugim terminalu lotniska Heathrow, żeby dostać się na lot o 15.37 do Oslo?

Po kilku tygodniach znużenia i depresji miał nareszcie swoją wielką sprawę, sprawę, która wzywała do natychmiastowego działania. Na kilka chwil pograżył się w myślach i właściwie nawet nie zauważył, kiedy chłopiec-bestia wśliznął się z powrotem i wtulił w swój śpiwór — w samą porę, bo właśnie zaczynały się reklamy. W pierwszej pokazano, w jaki sposób absolutnie zwyczajna kostka rosółowa może stworzyć naturalne centrum, wokół którego skupi się szczęśliwy żywot każdej normalnej rodziny.

Dirk skoczył na równe nogi i już, już miał zacząć od nowa przestuchiwanie chłopca, lecz wystarczyło, by na niego spojrział, a cały jego zapal rozwiął się jak dym. Bestia bowiem znów przebywała gdzieś daleko, znów zagrzebała się głęboko w swym ciemnym legowisku; Dirk nie czuł jakoś w sobie specjalnej ochoty, by jeszcze raz zakłócić jej spokój.

Koniec końców warknął tylko, że jeszcze tu wróci, i pognął ciężko w dół schodami, a poły skórzanego płaszcza łopotwały za nim wściekle.

W holu znów natknął się na znieawidzonego Gilksa.

— Co ci się stało? — rzucił ostro policjant na widok spuchniętego i posiniaczonego nosa.

— Zgobaem się troke — odrzekł niewinnie Dirk. — Sab bi kadzaledź.

Gilks jednak chciał wiedzieć dokładnie, czym Dirk się zajmował, więc ten objaśnił go wspaniałomyślnie, że na górze znajdzie świadka, który może się z nim podzielić kilkoma bardzo interesującymi informacjami. Zasugerował, że Gilks po-

winien zamienić z nim słówko, a najlepiej będzie, jeśli najpierw wyłączy telewizor.

Gilks skinął oschle głową i zaczął wchodzić po schodach, lecz Dirk zatrzymał go jeszcze na chwilę.

— Die dzaubadżyłedź didz dzibdego w dyb dobu? — zagadnął.

— Co mówiłeś? — zapytał poirytowany Gilks.

— Didz dzibdego...

— Co takiego?!

— Dzubdego — powtórzył uparcie Dirk.

— Dziwnego?

— Dogładdie dag, dzibdego.

— Co na przykład? — wzruszył ramionami Gilks.

— Wygłodda dżałgieb bedzduźdie.

— Całkiem jak?

— Bedzduźdie! Bez-duż-die! Byźle, że do bardzo idderesujoddze!

Co rzekłszy dotknął uprzejmie ronda kapelusza i płynnym ruchem wyniósł się z domu na ulicę, gdzie wprost z jasnego nieba zapikował na niego jakiś orzeł, przez co Dirk o mały włos nie wylądował pod autobusem linii 73, jadącym w kierunku południowym.

Przez następne dwadzieścia minut z piętra domu przy Lupton Road dobiegały obrzydliwe wycia i wrzaski, które wzbudziły spory niepokój wśród sąsiadów. Następnie karetka pogotowia zabrała górną i dolną część pana Ansteya, a także policjanta z zakrwawioną twarzą. Na krótką chwilę na Lupton Road zapanowała cisza.

Rychło jednak pod dom zajechał jeszcze jeden radiowóz. Dało się słyszeć mnóstwo uwag typu „Jest Bob”, a z wozu wytaszczył się ciężko niezwykle postawny i krzepki policjant, który następnie wspiał się schodami na piętro. Po kilku chwilach i wielu wrzaskach ponownie ukazał się na schodach, tym razem zakrywając rękoma twarz, wtaszczył się na powrót do radiowozu, po czym odjechał w stanie skrajnej furii, z gwałtownym i zupełnie niepotrzebnym wizgiem opon.

Po dwudziestu minutach przed dom zajechała furgonetka, z której wysiadł kolejny funkcjonariusz; ten dzierżył w dłoniach kieszonkowy telewizor. Wszedł do domu, a po chwili ukazał się prowadząc potulnego trzynastolatka, bez reszty pochłoniętego nową zabawką.

Kiedy zniknęli już wszyscy policjanci i wszystkie pojazdy z wyjątkiem jednego radiowozu, który został na straży, jakaś wielka, włochata i zielonooka postać wychyłała z kryjówki za jedną z molekuł w wielkim pomieszczeniu piwnicznym.

Oparła kosę o głośnik hi-fi i zanurzyła długi i sękaty palec w kałuży niemal zakrzepłej krwi, jaka zebrała się na talerzu gramofonu, maznęła nim u spodu arkusza grubego, pożółkłego papieru, po czym zniknęła w swym mrocznym, ukrytym

innym świecie, pogwizdując przy tym nieznaną i groźną melodię; wróciła tylko na chwilę po zapomnianą kosę.

## Rozdział siódmy

Nieco wcześniej tego samego ranka, w należytej odległości od wszystkich tych nieprzyjemnych wydarzeń, a także w należytej odległości od harmonijnie zaprojektowanego okna, przez które wlewało się chłodne światło poranka, w białym łóżku leżał starszy, jednooki mężczyzna. Na podłodze, jak na wpół zapadnięty namiot przycupnęła gazeta, ciśnięta tam dwie minuty wcześniej, czyli — jak wskazywał zegar na nocnej szafce — ciut po dziesiątej.

Pokój nie był duży, lecz umeblowany trochę zbyt gustownie, tak jakby stanowił część jakiegoś ekskluzywnego szpitala lub kliniki — i tak zresztą w istocie było: pokój stanowił część szpitala Woodshead, który zajmował nieduży, lecz zadbanej teren w niedużej, lecz zadbanej wiosce Cotswolds.

Mężczyzna nie spał i nie był tym uszczęśliwiony.

Jego stara i delikatna skóra przypominała dobrze naciągnięty półprzezroczysty pergamin, pokryty siecią drobniutkich zmarszczek. Subtelne, wężle dłonie delikatnie ścisnęły białą tkaninę pościeli i leciutko drżały.

Jego nazwisko podawano różnie: raz pan Odwiń, to znów Wodin lub Odyn. Był — czy raczej jest — bogiem. Co więcej, bogiem, od którego lepiej trzymać się z daleka — bogiem rozgniewanym. Jego jedyne oko pałało.

Rozgniewał się z powodu tego, co wyczytał w porannych gazetach: że mianowicie jeden z bogów grasuje na wolności i naprzykrza się ludziom na lotnisku. Rzecz jasna, nie tak napisano w gazetach. W żadnej z nich nie stało dosłownie: „Bóg grasuje na wolności i naprzykrza się ludziom na lotnisku”; opisywano jedynie zniszczenia i nie potrafiono wyciągnąć z nich żadnego rozsądnego wniosku.

Cała ta historia była mało zadowalająca i z wielu innych jeszcze względów — a to na przykład z powodu kłopotliwego braku konkluzji czy konsekwentnego zmierzania donikąd tudzież irytującego — z punktu widzenia dziennikarzy — braku solidnych ofiar w ludziach. Z tym brakiem ofiar w ludziach wiązała się, rzecz jasna, jakaś tajemnica, ale każda gazeta woli dziś porządną liczbę ofiar w ludziach niż pierwszą lepszą tajemnicę.

Odyn jednakże od razu wiedział, co jest grane. Ze wszystkich sprawozdań biło w oczy imię „Thor”, zapisane literami tak wielkimi, że mógł je odczytać tylko bóg.

Zirytowany, odrzucił gazetę i próbował skupić się na ćwiczeniach relaksujących, gdyż nie życzył sobie, aby sprawa ta wytrąciła go — zbyt mocno — z równowagi. Ćwiczenia polegały na wdychaniu powietrza w pewien szczególny sposób, a następnie wydychaniu w inny szczególny sposób, co wpływało korzystnie na ciśnienie i temu podobne. Nie znaczyło to bynajmniej, że jest bliski śmierci — ha! — ale że w jego wieku — ha! — lepiej podchodzić do rzeczy spokojnie i bardziej dbać o siebie.

Najbardziej ze wszystkiego lubił spać.

Spanie stanowiło dlań najważniejsze zajęcie. Lubiał przespiać bardzo długie okresy, prawdziwe połacie czasu. Banalne przespanie nocy to nie było poważne potraktowanie sprawy. Oczywiście, cieszył go zdrowy, całonocny sen i za nic w świecie nie chciałby go stracić, lecz uważał, że taki sen nawet w połowie nie zaspokaja jego potrzeb. Jeżeli tylko miał możliwość, lubiał przysnąć około wpół do dwunastej w południe, a jeszcze lepiej kiedy przedtem mógł spędzić długie przedpołudnie w łóżku. Lekkie śniadanie i krótka wycieczka do łazienki w czasie zmiany pościeli to właściwie wszystko, co miał ochotę przedsięwziąć w ciągu dnia. Dbął przy tym pilnie, by nie wybić się zanadto ze snu i nie zepsuć sobie tym samym drzemki popołudniowej. Był w stanie przespiać cały tydzień i jeśli mu się to udało, dopiero czuł się należycie wyspany. Swego czasu przespał cały rok — 1986 — i wcale tego nie żałował.

Ku swemu najgłębszemu niezadowoleniu zdawał sobie jednak sprawę, że wkrótce przyjdzie mu wstać, żeby podjąć pewien święty a irytujący obowiązek. Święty dlatego, że boski, a przynajmniej związany z bogami, irytujący zaś z powodu konkretnego boga, z którym się wiązał.

Nie ruszając się z miejsca, sprytnie odsunął zasłony z okien, używając w tym celu wyłącznie swej boskiej woli. Potem westchnął ciężko. Musiał pomyśleć, a w dodatku nadszedł czas porannej wizyty w łazience.

Zadzwoił po salową.

Salowa stawiała się niezwłocznie w swej nienagannie odprasowanej zielonej tunice, wykrzyknęła radosne „dzień dobry” i zakręciła się w poszukiwaniu kapci i szlafroka. Pomogła Odynowi wyjść z łóżka, co przypominało trochę wytaczanie wypchanej wrony, i powolutku zaprowadziła go do łazienki. Odyn stapał sztywno, wyglądał przy tym jak głowa zawieszona między dwoma szczudłami, na których udrapowano prążkowany szlafrok i białe prześcieradło kąpielowe. Salowej znany był jako pan Odwiń — nie podejrzewała nawet, że jest bogiem, który to fakt Odyn starał się raczej trzymać w sekrecie i wolałby, żeby Thor postępował podobnie.

Thor był bogiem piorunów i, szczerze mówiąc, dokładnie tak się zachowywał. Jego postępowanie było dalece niewłaściwe. Nie chciał czy nie potrafił, a może po prostu był zbyt głupi na to, żeby zrozumieć, żeby zaakceptować. . . Tu Odyn pohamował sam siebie. Wyczuł, że w myślach staje się bombastyczny. Musi w spokoju rozważyć, co począć z Thorem, a właśnie zdążył do miejsca, które znakomicie na-



daje się do głębokich przemyśleń.

Kiedy tylko Odyn dokuśtykał godnie do drzwi łazienki, do pokoju wpadły dwie pielęgniarki, błyskawicznie zdjęły z łóżka pościel i z niesłychaną precyzją zaczęły powlekać świeżą, równiutko naciągając prześcieradło, a potem podwijając je pod materac ze schludną zakładką. Jedna z pielęgniarek, najwyraźniej starsza ranga, była pulchną matroną, druga, młodsza, była smaglejsza i ogólnie bardziej ptasia. Błyskawicznie podniosły z podłogi gazetę i równiutko ją złożyły, raz-dwa przejechały po podłodze odkurzaczem, podwiązały zasłony, usunęły kwiaty oraz owoc, zastępując je świeżymi kwiatami i świeżym owocem, który jak wszystkie owoce przed nim miał pozostać nietknięty.

Kiedy poranne ablucje boga dobiegły końca, a drzwi łazienki ponownie się otworzyły, pokój był już przeobrażony. W istocie zaszyły raczej niewielkie zmiany, lecz w efekcie dokonano subtelnej, magicznej transformacji w coś chłodnego i świeżego. Na ten widok Odyn skinął głową, pełen cichej satysfakcji. Potem udał, że przeprowadza inspekcję łóżka, jak monarcha przeprowadzający inspekcję swoich wojsk.

— Czy prześcieradło jest dobrze naciągnięte? — zapytał starczym, brzmiałym jak szept głosem.

— Jest bardzo dobrze naciągnięte — odrzekła starsza z pielęgniarek promieniając uniesieniem.

— Czy jest schludnie podwinięte?

Z całą pewnością było. Pytanie należało do rytuału.

— W rzeczy samej, jest bardzo schludnie podwinięte, panie Odwin — odpowiedziała pielęgniarka. — Podwijanie prześcieradła nadzorowałam osobiście.

— Bardzo się z tego cieszę, siostrzo Bailey, bardzo — rzekł Odyn. — Pani wie, co to znaczy równiutko podwinięta fałda. Z niepokojem myślę o tym, co tu bez pani pocznę.

— Ależ nigdzie się stąd nie wybieram, panie Odwiń — odparła siostra Bailey, niemal eksplodując radosną pewnością siebie.

— Ale nie będzie pani żyć wiecznie, siostrzo Bailey — odrzekł Odyn. Niepojęta gruboskórność tej uwagi nieodmiennie wprawiała siostrę w niemałe zakłopotanie.

— Prawda, lecz nikt z nas nie będzie żyć wiecznie, panie Odwiń — odpowiedziała taktownie, kiedy razem z drugą pielęgniarką uporały się już z niełatwym zadaniem umieszczenia pana Odwiną z powrotem w łóżku bez nadwężenia jego godności osobistej.

— Jest pani Irlandką, prawda, siostrzo Bailey? — zagadnął, kiedy już usadowił się na dobre.

— W rzeczy samej, panie Odwiń.

— Znałem kiedyś jednego Irlandczyka. Finn jakiś tam. Opowiedział mi o wielu sprawach, o których wcale nie życzyłem sobie wiedzieć. Ale nawet nie napo-

mknął o lnianej pościeli. Teraz sam już wiem.

Na to wspomnienie pokiwał niezgrabnie głową, po czym przejechał delikatnie grzbietem pomarszczonej dłoni po podwiniętym lnianym prześcieradle. Zwyczajnie i po prostu był zakochany w lnianej pościeli. Czyściutkie, lekko nakrochmalone, białe irlandzkie płótno, wymaglowane, naciągnięte i podwinięte — te słowa brzmiały dlań jak litania żądź. Przez całe stulecia nic nie zdołało go opętać czy poruszyć tak, jak płócienna pościel. Za nic nie mógł pojąć, jak to możliwe, że kiedyś obchodziło go cokolwiek innego.

Pościel.

I sen. Sen i pościel. Sen w pościeli. Sen.

Siostra Bailey traktowała go ze swego rodzaju władczą troskliwością. Nie miała pojęcia, że jest bogiem; prawdę mówiąc myślała, że jest starym producentem filmowym lub nazistowskim zbrodniarzem wojennym. Z całą pewnością miał leciutki cudzoziemski akcent, którego nie potrafiła rozpoznać, a jego niedbała ogłada, naturalny egoizm i obsesja na tle higieny osobistej przemawiały za tym, że jego przeszłość obfitowała w potworności.

Gdyby dało się jakimś sposobem przenieść siostrę Bailey w miejsce, gdzie mogłaby ujrzeć swego tajemniczego podopiecznego na tronie — Odyna, wojowniczego ojca wojowniczych bogów Asgardu, nie byłaby zaskoczona. Chociaż... Właściwie nie. Byłaby przerażona do utraty zmysłów. Ale przynajmniej przekonałaby się, że zgadza się to mniej więcej z cechami, jakie mu przypisywała — wtedy, rzecz jasna, kiedy już przyszłyby do siebie po szoku wywołanym odkryciem, że dosłownie wszystko, w co na przestrzeni wieków ludzkość zechciała uwierzyć, jest prawdą. I że nie przestawało być prawdą jeszcze długo po tym, jak ludzkość przestała tej prawdy potrzebować.

Odyn odprawił gestem swe opiekunki medyczne, poprosiwszy wpierw, by jeszcze raz odszukano i przysłano tu jego osobistego sekretarza.

Siostra Bailey leciutko zasznurowała wargi. Nie podobał jej się osobisty sekretarz pana Odwiną, totumfacki do wszystkiego, służący czy jak go tam zwał. W jego oczach czaiła się ukryta wrogość, potrafił nieźle ją nastraszyć; poza tym żywiła mocne podejrzenia, iż podczas przerw śniadaniowych czyni jej pielęgniarce jakieś niewypowiedziane ohydne propozycje.

Jego cerę cechował kolor, który — jak mniemała siostra Bailey — zwykle zwał oliwkowym, gdyż miał odcień niezwykle zbliżony do zieleni. Siostra Bailey była zdania, że to mocno nie w porządku.

Była oczywiście ostatnią osobą, która oceniałaby kogokolwiek po kolorze skóry — a przynajmniej była do wczorajszego popołudnia, kiedy to do szpitala przywieziono afrykańskiego dyplomatę z kamieniami żółciowymi do usunięcia, a ona uczuła doń natychmiastową niechęć. Nie podobał się jej. Nie potrafiła sprecyzować, co konkretnie jej się nie podoba, ponieważ była pielęgniarce, a nie tak-sówkarzem i ani przez chwilę nie wolno jej było ujawnić osobistych uczuć. Zbyt

wielką była profesjonalistką, zbyt dobrze znała się na swojej pracy, traktowała więc z taką samą mniej więcej kompetentną i radosną uprzejmością wszystkich, nawet — myślała sobie, a myśli tej towarzyszył niezwykle wprost chłód — nawet pana Raga.

Pan Rag — tak właśnie zwał się osobisty sekretarz pana Odwiną. W tej sprawie nic nie mogła zrobić. Nie do niej należało krytykować osobiste zarządzenia pana Odwiną. Ale jeśliby to od niej zależało — choć oczywiście nie zależy — wtedy zdecydowanie wołałaby — rzecz jasna, nie ze względu na siebie, tylko na dobro pana Odwiną, które liczy się tu najbardziej — żeby zatrudnił jednak kogoś, kto nie doprowadzałby jej do szewskiej pasji i już.

Więcej o tym nie rozmyślała, tylko poszła go szukać. Rano, po przyjsciu do pracy, odkryła z wielką ulgą, że poprzedniego wieczoru pan Rag opuścił teren szpitala, ale godzinę czy dwie później ku swemu rozczarowaniu dostrzegła go wracającego.

Znalazła pana Raga dokładnie tam, gdzie nie powinno go być. Przycupnął na jednym z foteli w poczekalni dla odwiedzających, przyodziany w coś, co wyglądało jak potwornie wypačkany i wymiętoszony lekarski kitel, o wiele nań za duży. Mało tego: pan Rag popiskiwał cicho i niemelodyjnie na fujarce, najwyraźniej sporządzonej z wielkiej plastikowej strzykawki, której absolutnie nie miał prawa mieć.

Pan Rag obrzucił siostrę Bailey szybkim spojrzeniem swych rozbieganych oczu, uśmiechnął się szeroko, po czym jął piszczeć znowu, tyle że o wiele głośniej.

Przez głowę siostry Bailey przesunęło się wszystko, czego nie było sensu mówić mu na temat kitla i strzykawki oraz tego, że straszy — czy też ma zamiar straszyć — odwiedzających. Wiedziała, że nie zdoła znieść pozy urażonej niewinności, jaką tamten niechybnie przybierze, ani steku bezsensownych głupstw, jakie wypowie. Jedyne, co mogła zrobić, to puścić wszystko płazem i pozbyć się go stąd jak najprędzej.

— Pan Odwiń chciałby się z panem widzieć — powiedziała. Próbowwała zawrzeć w tonie głosu nieco swej zwykłej śpiewnej uprzejmości, ale to jej się nie udało. Wołałaby, żeby przestał tak strzelać oczyma na wszystkie strony. Było to irytujące zarówno z medycznego, jak i z estetycznego punktu widzenia, a poza tym nie potrafiła się oprzeć nieprzyjemnemu odczuciu, że w pomieszczeniu znajduje się przynajmniej trzydzieści siedem rzeczy bardziej od niej zajmujących.

Przez następnych kilka sekund pan Rag gapił się na nią w bardzo krępujący sposób, mamrocząc przy tym, że źli nie mają na tym świecie chwili spokoju — nawet ci najgorsi, po czym przecisnął się obok siostry Bailey i popędził w popłochu, żeby odebrać instrukcje od swego pana i władcy, szybciotko, zanim jego pan i władca zdąży zasnąć.

## Rozdział ósmy

Z końcem poranka Kate na własne żądanie wypisała się ze szpitala. Początkowo napotkała przy tym niejakie trudności, ponieważ najpierw dyżurna pielęgniarka, a potem lekarz twierdzili nieugięcie, że w tym stanie nie mogą puścić jej do domu.

Dopiero co wyszła z lekkiej śpiączki, argumentowali, i potrzebuje opieki, potrzebuje...

— Pizzy... — upierała się Kate.

...odpoczynku, potrzebuje...

— ...własnego domu i świeżego powietrza. Tutaj powietrze jest potworne. Śmierdzi tu jak pod pachą odkurzacza.

...dalszego leczenia. Stanowczo powinna pozostać pod obserwacją jeszcze przez dzień lub dwa, aż będą mogli uznać, że całkowicie doszła do siebie.

W każdym razie próbowali być nieugięci. Bo jeszcze tego samego poranka Kate zażądała telefonu, a kiedy go otrzymała, wszczęła próby zamówienia pizzy do szpitalnej separatki. Wydzwaniła do wszystkich najmniej usłużnych pizzerii, jakie знаła w Londynie, wygłaszała potężne oracje, następnie przeprowadziła kilka głośnych, acz mało skutecznych prób załatwienia motocykla, który pędząc z rykiem po West Endzie miałby przywieźć jej „Amerykańską Gorącą” z taką listą dodatkowych papryk, grzybów i serów, że dyżurny ruchu w firmie kurierskiej nie chciał nawet spróbować zapamiętać. Po godzinie podobnych zabiegów wszystkie obiekcje dotyczące wypisania Kate ze szpitala opadły jak płatki z jesiennej róży.

Tak więc wczesnym popołudniem znalazła się na zimnej i niegościnniej ulicy zachodniego Londynu. Czuła się roztrzęsiona i słaba, lecz w pełni za siebie odpowiedzialna. Miała przy sobie postrzępione resztki torby podróźnej, której za nic nie chciała się wyrzec, a w portmonetce nieduży skrawek papieru, na którym nabazgrano jedno, jedyne słowo.

Zatrzymała taksówkę. Większą część drogi do swego domu w Primrose Hill przesiedziała z zamkniętymi oczyma. Wspięła się po schodach i otworzyła drzwi mieszkania na piętrze.

Na automatycznej sekretarce czekało na nią dziesięć różnych wiadomości; skasowała wszystkie nie przesłuchując.

Otworzyła na oścież okno w sypialni i na kilka sekund zawisała nad parapetem pod dość niebezpiecznym i nieeleganckim kątem, który pozwolił jej dojrzeć skrawek parku. Niewielki, narożny skrawek z kilkoma zaledwie platanami. Otaczały go — a raczej nie zdołały go całkiem zasłonić — mury okolicznych domów, przez co stał się dla Kate malutkim i ściśle prywatnym widoczkiem, jakiego nie mogłaby zastąpić żadna rozległa panorama.

Pewnego razu wybrała się w ten narożnik parku, obeszła niewidzialne granice, które znaczyły krańce tego, co mogła dojrzeć z okna, i poczuła się nieomal jak we własnym królestwie. Poklepała nawet platanów ze swego rodzaju gospodarską troskliwością, a potem usiadła pod nimi, żeby obserwować słońce zachodzące nad Londynem — nad brzydtko poszarpaną linią horyzontu i nad pizzeriami, które nie dostarczają pizzy do domu — i miała bardzo głębokie poczucie tego czy owego, choć nie bardzo wiedziała czego. W każdym razie, pomyślała, w dzisiejszych czasach należy być wdzięcznym za każde głębokie poczucie, choćby nie wiadomo jak nieokreślone.

Opuściła się z powrotem do pokoju, pozostawiając mimo panującego na zewnątrz chłodu okno otwarte, i podreptała do malutkiej łazienki, gdzie odkręciła kurek u wanny. Była to wanna w rozlazłym, edwardiańskim stylu, która zagarnęła w łazience cudownie dużo miejsca; resztę niemal całkowicie pochłaniały pomalowane na kremowo rury. Z kranu lał się wrzątek. Skoro tylko pomieszczenie dostatecznie się ogrzało od wypełniającej je pary, Kate rozebrała się i otworzyła obszerną łazienkową szafkę.

Poczuła się lekko zakłopotana niezmiernym bogactwem dodatków do kąpieli — z nie znanych sobie przyczyn nie potrafiła przejść obojętnie obok drogerii czy sklepu zielarskiego, zawsze wchodziła do środka, uwiedziona widokiem szklanej zatyczki na butelce pełnej czegoś niebieskiego, zielonego lub pomarańczowego, co miało na celu przywrócić naturalną równowagę bliżej nie określonej substancji, której Kate nawet nie podejrzewała o obecność w swojej skórze. Znieruchomiła na chwilę, próbując coś wybrać. Może coś różowego? Coś z dodatkiem witaminy B? Z witaminą B 12? B 13? Mnogość samych tylko substancji z dodatkiem różnych rodzajów witaminy B mogła sprawić przy wyborze duży kłopot. A były tam jeszcze proszki i olejki, i tubki żelu, i nawet paczki jakichś kłujących i cuchnących nasion, które w sobie właściwy sposób miały wpływać korzystnie na którąś z części ciała.

A może by tak odrobinę tych zielonych kryształków? Dawno temu powiedziała sobie, że pewnego dnia nie będzie nawet próbowała wybierać, tylko wsypie wszystkiego po trochu. Kiedy poczuje prawdziwą potrzebę. Przyszło jej na myśl, że właśnie nadszedł ten dzień, więc z ożywczym i przyjemnym pośpiechem zaczęła wsypywać do parującej kąpieli po odrobinie tego i owego, aż w końcu woda stała się zmaconym kłębowiskiem przemieszanych kolorów, a w konsystencji zaczęła niebezpiecznie zbliżać się do kleistej mazi.

Kate zakręciła kurki i oddaliła się na chwilę w poszukiwaniu torebki; wróciła, zanurzyła się w wodzie i przez bite trzy minuty leżała z zamkniętymi oczyma, oddychając powoli, a potem całą uwagę skierowała na skrawek papieru, który przywiozła ze szpitala.

Widniało na nim tylko jedno słowo, słowo wyduszone przez Kate z dziwnie opornej pielęgniarki, która przysłała rano zmierzyć jej temperaturę.

Kate wypytywała ją o postawnego mężczyznę. Tego postawnego mężczyznę, którego spotkała na lotnisku i którego ciało widziała o wczesnonocnej godzinie w separacie tuż obok.

— Ach, nie — mówiła pielęgniarka. — On żyje. Zapadł tylko w jakąś śpiączkę.

— Czy można się z nim zobaczyć? — pytała Kate. — Jak się nazywa?

Próbowała pytać od niechcienia, niejako przy okazji, a to dość trudna sztuka, kiedy w ustach trzyma się termometr, więc nie była pewna, czy jej się udało. Pielęgniarka odrzekła, że doprawdy trudno powiedzieć i że w ogóle nie powinna rozmawiać z nią o innych pacjentach. A poza tym tego pana i tak już nie ma, przenieśli go gdzie indziej. Przystali ambulans i gdzieś go przewieźli.

Dla Kate było to spore zaskoczenie.

Dokąd go zabrali? Co to za szczególne miejsce? Ale pielęgniarka nie miała ochoty powiedzieć nic więcej, a w chwilę później wezwała ją siostra oddziałowa. Jedyne, co udało się z niej wyciągnąć, to słowo, które Kate nagryzmołała na świstku i na które spoglądała w tej chwili.

Słowo to brzmiało: „Woodshead”.

Teraz, kiedy czuła się zrelaksowana, słowo wydało się jej znajome, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je słyszała.

Kiedy sobie w końcu przypomniała, nie mogła usiedzieć w kąpieli ani sekundy dłużej. Wskoczyła i popędziła wprost do telefonu, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby spłukać z siebie prysznicem całe to świństwo.

## Rozdział dziewiąty

Postawny mężczyzna, obudził się i próbował podnieść wzrok, lecz z najwyższym trudem zdołał tylko unieść nieco własną głowę. Próbował też usiąść, lecz i to mu się nie udało. Czuł się jak przyklejony do podłogi klejem „Super”, a w kilka sekund później ku swemu zdumieniu odkrył, że to właśnie jest zasadnicza przyczyna wszystkiego.

Gwałtownie poderwał głowę, wrywając przy tym kępy jasnych włosów, które pozostały boleśnie przylgnięte do podłogi, i rozejrzał się wokół. Znajdował się wewnątrz czegoś, co najwyraźniej było opuszczonym magazynem, prawdopodobnie na pięttrze, co wywnioskował z widoku zimowego nieba, jaki można było dojrzeć przez ponure, porozbijane szyby w oknach.

Wysokie sufity pokrywały pajęczyny, utkane przez pająki, którym najwyraźniej nie przeszkadzało, że łapią w nie przeważnie okruchy tynku i kurz. Sufit podparto smukłymi stalowymi filarami, na których wybrzuszała się i odpadała z nich płatami stara i brudna kremowa farba. Filary stały na zniszczonej podłodze z dębowych desek, do której mężczyzna był przyklejony. Otaczająca nierównym owalem jego nagie ciało podłoga połyskiwała ciemno i matowo. Unosiły się nad nią jakieś rozrzedzone, oczyszczające nozdrza opary. Wprost nie mógł w to wszystko uwierzyć. Zaryczał z gniewu, potem zaczął kręcić się i szarpać, ale udało mu się jedynie pokaleczyć boleśnie skórę w miejscach, gdzie przywarła mocno do podłogi.

To musi być sprawka starego.

Trzasnął głową w podłogę, aż popękały deski, a jemu samemu zadzwoniło w uszach. Zaryczał raz jeszcze i niespodziewanie sprawiło mu to coś w rodzaju wścieklej satysfakcji. Ryczał więc dalej, dopóki stalowe filary nie zaśpiewały do wtóru, a szczątki rozbitych szyb nie przybrały bardziej wyrafinowanych konturów. Potem, kiedy wściekle ciskał głową z boku na bok, dostrzegł nagle swój młot, oparty o ścianę zaledwie kilka stóp dalej. Jednym słowem poderwał go w powietrze, a potem posłał w świszczący lot wokół ogromnego pomieszczenia i kazał walić w każdy po kolei filar, aż cały budynek rozdzwonił się jak wielki, oszalały gong.

Wyrzekł Słowo, a młot powrócił posłusznie, o dłoń minął jego głowę i jednym

trzaśnięciem przebił podłogę, rozbijając deski i strop.

W ciemnościach poniżej młot okręcił się w miejscu i zawrócił ciężką parabolą, a wokół niego sypały się odłamki i grzechotały o betonową podłogę parteru. Potem przyspieszył gwałtownie i przeleciał z powrotem przez sufit, wystrzelając zeń w chmurze zaskoczonych drzazg, kiedy powtórnie przebił się przez dębowe deski podłogi o dłoń od stóp leżącego mężczyzny.

Znów wystrzelił w górę, zawisł na moment, jakby na chwilę odjęto mu ciężar, a potem, zręcznie przerzuciwszy krótki trzonek nad obuch, runął ciężko w dół przez podłogę — i znów w górę, i znów w dół — wybijał wokół swego pana najeżony drzazgami krąg, aż w końcu z długim i ciężkim jęknięciem cały owalny fragment podziurawionej podłogi poddał się i runął wirując w dół, gdzie roztraskał się o betonową podłogę parteru wśród sypiących się okruchów tynku, spośród których wyłoniła się sylwetka postawnego mężczyzny — kaszlącego, rozgarniającego ramionami zapyłone powietrze i z trudem zachowującego równowagę. Jego grzbiet, ramiona i nogi nadal pokryte były wielkimi łupkami dębowej podłogi, ale teraz przynajmniej mógł się poruszać. Oparł dłonie o ścianę i gwałtownie wykaszlał część zalegającego mu w płucach pyłu.

Kiedy się odwrócił, młot ruszył ku niemu tanecznie, w ostatniej chwili wymknął mu się jednak z ręki, skręcił radośnie i jeszcze raz grzmotnął w podłogę, krzesząc potężnym obuchem snop betonowych iskier. Poderwał się w górę i zaparkował wreszcie przy najbliższym filarze, ustawiając się pod dość zawadiackim kątem.

Tuż przed nim w opadającej z wolna chmurze pyłu ukazał się złowieszczy kształt automatu do coca-coli. Mężczyzna przyjrzał mu się z najwyższą podejrzliwością i niepokojem. Stał tam sobie połyskując głupkowato; z przodu przyklejona była kartka z wiadomością dla niego, że cokolwiek aktualnie wyprawia, winien natychmiast przestać. Podpisano ją najpierw: „Wiesz kto”, lecz napis ów skreślono i zastąpiono słowem „Odyn”, pod którym większymi literami dopisano: „Twój ojciec”. Odyn nieodmiennie jasno wyrażał swój pogląd na temat osiągnięć intelektualnych własnego syna. Postawny mężczyzna zerwał kartkę i przyjrzał się jej ze złością. Postscriptum dodawało mgliście: „Przypomnij sobie Walię. Chyba nie chciałbyś przechodzić przez to jeszcze raz”.

Zmiał kartkę i cisnął przez najbliższe okno, skąd porwał ją i uniósł wiatr. Przez chwilę zdawało mu się, że słyszy jakieś skrzeczenie, lecz był to pewnie tylko poświsł wiatru, który hulał między pobliskimi opustoszałymi budynkami.

Odwrócił się, podszedł do okna i wyjrzał przez nie, pogrążony w posępny i wojowniczy nastrój. Przyklejony do podłogi. W jego wieku. Cóż, u diabła, miałyby to oznaczać? „Nie wychylaj się” — jak mu się wydawało. Jeśli nie przestaniesz się wychylać, będę musiał przygiąć ci karku”. To chyba właściwe znaczenie: „Przylgnij do ziemi”.

Przypomniał sobie teraz, że stary powiedział mu coś takiego po tej całej nie-



przyjemnej historii z odrzutowcem typu Fantom. „Dlaczego ty nie możesz przyłgnąć do ziemi?” — powiedział wtedy. Jak można się domyślić, stary w swej głupkowatej i dobrodusznej złośliwości uznał, że tak dosłowna nauczka będzie najzabawniejsza.

Poczuł, że wściekłość zaczyna krążyć w nim groźnie, lecz wyteżywszy siły przyduśił ją. Ostatnio, kiedy tylko wpadał w gniew, zaraz przydarzały mu się same nadzwyczaj kłopotliwe sytuacje, a ponadto miał niedobre przeczucie, że ostatnia z tych kłopotliwych sytuacji — tu rzucił okiem w kierunku automatu do coca-coli — przydarzyła mu się bardzo niedawno. Strapiony, przyglądał się urządzeniu.

Czuł się chory.

Ostatnio dosyć często czuł się chóry. Odkrył, że nie jest w stanie wypełniać nawet tych kilku boskich obowiązków, jakie mu jeszcze pozostały, ponieważ stale cierpiał na coś w rodzaju chronicznego przeziębienia. Miewał bóle i zawroty głowy, wyrzuty sumienia oraz inne temu podobne dolegliwości, tak często wymieniane w reklamach medykamentów. Przytrafiały mu się nawet przerażające okresy utraty świadomości — za każdym razem, kiedy wpadał we wściekłość.

Przedtem każdy atak wściekłości był dlań źródłem cudownej rozrywki. Przez życie gnały go potężne porywy fantastycznej furii. Czuł się potężny. Pławił się w mocy, świetle i energii. Zwykle dostarczano mu przepięknych powodów do wściekłości: a to jakieś potężne prowokacje lub akty zdrady, a to znów ludzie chowający mu Atlantyka w szyszaku, zrzucający na niego całe kontynenty albo upijający się i udający, że są drzewami. O takie rzeczy naprawdę warto się było powściekać i wałnąć przy tym w to czy owo. Krótko mówiąc, rola boga piorunów pasowała mu wyśmienicie. Aż tu nagle jakieś migreny, nerwowe napięcie, bezimienne niepokoje i wyrzuty sumienia. Wszystko to było dla boga zupełną nowością, co więcej — nowością nieprzyjemną.

— Wyglądasz idiotycznie!

Czyjś głos zaskrzypiał w uszach Thora jak paznokcie drapiące po tablicy gdzieś w dalszych partiach jego umysłu. Był to głos podły, bezlitosny i szyderczy, głos przywodzący na myśl białą koszulę non-iron, błyszczące spodnie i ostre wąsiki, słowem: głos, którego Thor nie lubił. Nawet w swoich najlepszych chwilach reagował nań bardzo źle, szczególnie zaś przykro mu było słyszeć go teraz, kiedy stał nagi w samym środku opuszczonego magazynu, a z tyłu sterczały mu te wszystkie dębowe deski.

Ze złością okręcił się na pięcie. Żałował, że nie jest w stanie odwrócić się powoli, z powalającą na kolana godnością, lecz taka strategia nigdy nie odnosiła pożądanego skutku, gdy w grę wchodził ten stwór. A skoro on, Thor, i tak będzie się czuł upokorzony i ośmieszony, wszystko jedno, jaką przybierze postawę, zatem równie dobrze może przybrać tę, z którą jest mu najwygodniej.

— Toe Rag! — zaryczał. Poderwał swój młot w powietrze i cisnął nim z ogromną, oszalamiającą wprost siłą w niedużą istotę, która przycupnęła, za-

dowolona, na niedużej kupce gruzu w cieniu, prowokująco przechylona do tyłu.

Toe Rag chwycił młot i umieścił go starannie na czubku sterty thorowych ubrań. Uśmiechnął się szeroko, pozwalając, by promień słońca zaigrał na jednym z jego zębów. Takie rzeczy nie zdarzają się przypadkiem. Kiedy Thor leżał nieprzytomny, Toe Rag spędził kilka pracowitych chwil, obliczając, ile czasu zajmie mu odzyskanie świadomości, przesuując sprytnie kupkę gruzu dokładnie w to miejsce, pieczołowicie sprawdzając jej wysokość i wreszcie obliczając kąt, pod jakim powinien się przechylić. Miał się za wysoce profesjonalnego prowokatora.

— Czy ty to zrobiłeś? — grzmiał Thor. — Czy to ty... Gorączkowo zastanawiał się, w jaki sposób powiedzieć „przykleiłeś mnie do podłogi”, żeby nie zabrzmiało jak „przykleiłeś mnie do podłogi”, lecz pauza zaczęła przeciągać się ponad miarę, więc ostatecznie zmuszony był dać za wygraną.

— ...przykleiłeś mnie do podłogi? — wyrzucił z siebie w końcu. Zaraz też pożałował, że zadał tak głupie pytanie. — Nawet nie odpowiadaj! — dodał gniewnie i tego również natychmiast pożałował.

Tupnął nogą, wstrząsając przy tym posadami budynku, żeby podkreślić, o co mu chodzi. Sam nie był do końca pewien, o co mu właściwie chodzi, ale czuł, że tak właśnie powinien postąpić. Wokół niego delikatnie opadał pył.

Toe Rag obserwował go swymi błyszczącymi, rozbieganymi oczkami.

— Ja tylko wykonuję polecenia twego ojca — odparł w groteskowej parodii uniżoności.

— Wydaje mi się — rzekł Thor — że mój ojciec zaczął wydawać dość dziwaczne polecenia, odkąd ty wstąpiłeś do niego na służbę. Sądzę, że masz na niego diabelski wpływ. Nie wiem, jaki dokładnie jest ten wpływ, ale z całą pewnością jest to wpływ i z całą pewnością jest... — synonimy jakoś go opuściły — ...diabelski — zakończył swój wywód.

Toe Rag zareagował jak iguana, której ktoś poskarżył się na złą jakość wina.

— Ja? — zaprotestował. — W jaki sposób mógłbym wpływać na twój ojca? Odyn jest największym z bogów Asgardu, a ja jestem tylko jego oddanym sługą. Odyn mówi: „Zrób tak”, a ja tak właśnie robię. Odyn mówi: „Idź tam”, a ja tam idę. Odyn mówi: „Jedź do szpitala po mojego wielkiego, głupiego syna, zanim zdąży narobić dalszych kłopotów, i przyklej go do podłogi albo coś w tym stylu”, a ja robię dokładnie to, o co mnie prosi. Jestem tylko najpokorniejszym z jego funkcjonariuszy. Choćby i najędzniejszą z posług wykonuję wyłącznie na rozkaz Odyna.

Thor nie był wystarczająco subtelnym znawcą natury ludzkiej ani też — jeśli już o tym mowa — natury boskiej, ani karlej, nie mógł więc wdać się w dyskurs o tym, że jest to w istocie najsilniejszy z wpływów, jakim można kogoś poddać, szczególnie jeśli tym kimś jest stary, omylny i rozpieszczony bóg. Wiedział tylko, że coś tu nie gra.

— W takim razie — krzyknął — przekaż memu ojcu, Odynowi, taką wieść.

Powiedz mu, że ja, Thor, bóg piorunów, żądam spotkania. Ale nie w tym cholernym szpitalu! Nie mam zamiaru sterczeć tam przeglądając gazety albo gapiąc się na jakiś owoc, kiedy będą zmieniać mu pościel! Powiedz, że Thor, bóg piorunów, spotka się z Odynem, ojcem bogów Asgardu, dziś wieczorem, w Godzinie Wyzwania, na dworze Asgardu!

— Co, znowu? — skrzeknął Toe Rag, rzucając chytre spojrzenie na automat do coca-coli.

— E... tak — odpowiedział Thor. — Tak! — powtórzył z gniewem. — Znowu!

Toe Rag westchnął leciutko — gest, który mógłby wykonać ktoś, kto ma przekazać wiadomość od narwanego prostaka — i rzekł:

— Dobrze, powiem mu. Ale nie sądzę, żeby był tym specjalnie zachwycony.

— To nie twoja rzecz, czy będzie zachwycony, czy nie! — krzyknął Thor, jeszcze raz wstrząsając posadami budynku. — To sprawa między mną a moim ojcem! Może wydaje ci się, że jesteś bardzo sprytny, Toe Rag, i być może wydaje ci się, że ja nie...

Toe Rag uniósł wysoko brwi. Był przygotowany na tę chwilę. Nie odezwał się ani słowem, pozwolił za to, by zabłąkany promień światła zabłysnął w jego rozbieganych oczkach. Milczenie to świadczyło najdobitniej o jego głębokiej elokwencji.

— Być może nie wiem, co knujesz, Toe Rag, być może nie wiem o wielu sprawach, ale jedno wiem na pewno. Wiem, że jestem Thor, bóg piorunów, i że byle karzeł nie będzie ze mnie robił głupca!

— No cóż — rzucił Toe Rag z szyderycznym uśmiechem — teraz, kiedy wiesz już dwie rzeczy, jesteś dwa razy mądrzejszy. A nie zapomnij włożyć ubrania, zanim stąd wyjdiesz — dodał i od niechcienia wskazał leżącą obok stertę, po czym zniknął.

## Rozdział dziesiąty

Cały kłopot ze sklepami, w których sprzedają takie rzeczy jak lupy, polega na tym, że zwykle sprzedają przy tym całe mnóstwo innych fascynujących przedmiotów, na przykład jak ten niezwykły przyrząd, z którym Dirk wyszedł w końcu na ulicę, po długim okresie wahania między szczyrykiem z wbudowanym śrubokrętem Philipsa, wykałaczką i długopisem a tym, który miał trzynastozębową piłę i bardzo ozdobne nity.

Przez krótką chwilę trzymały go na uwięzi lupy, szczególnie jedna, model na 25 dioptrii, wielowskaźnikowy, przechowywany próżniowo, złożony, z jednolitą oprawą i rączką oraz nierowkowaną laserunkową izolacją, ale Dirkowi wpadł w oczy mały kalkulator kieszonkowy I Ching i odtąd był już stracony.

Dotąd nie podejrzewał nawet, że coś takiego może istnieć. A to, że mógł w jednej chwili przeskoczyć od absolutnej niewiedzy do absolutnego pożądanego, a potem naprawdę osiąść tę rzecz, miało dla Dirka posmak epifanii.

Elektroniczny kalkulator I Ching został wykonany byle jak. Prawdopodobnie wyprodukowano go w jednym z tych krajów Dalekiego Wschodu, które trudnią się produkowaniem dla Południowej Korei tego, co Południowa Korea wykonuje dla Japonii. Technologia produkcji kleju w owym kraju najwyraźniej nie osiągnęła jeszcze stadium, w którym dwie sklezione części trzymają się razem. Tył kalkulatora odpadł już i trzeba go było umocować za pomocą taśmy klejącej.

Wyglądał zupełnie jak zwykły kalkulator kieszonkowy, tylko że kwarcowy ekran był nieco większy niż zwykle, a to po to, żeby mógł pomieścić skrócone wyroki króla Wen dotyczące każdego z 64 heksagramów, jak również komentarze jego syna, księcia Chou, do każdego z wersów w każdym heksagramie. Były to dosyć szczególne teksty, jakich nie widuje się zwykle na ekranach kalkulatorów, zwłaszcza że zostały przetłumaczone z chińskiego za pośrednictwem japońskiego, przeżywszy po drodze wiele ciekawych przygód.

Urządzenie mogło służyć także jako zwykły kalkulator, jednak w bardzo ograniczonym zakresie. Mogło wykonać każde działanie arytmetyczne, w którym wynik nie wykraczał poza 4.

Radziło sobie z  $1+1$  (2) i  $1+2$  (3), a także  $2+2$  (4) albo  $\text{tg } 74$  (3,4874145), ale wszystko, co wykraczało poza 4, przedstawiane było po prostu jako „nagły

przyptyw żółtego”. Dirk nie był pewien, czy to wynik zwykłego błędu w programowaniu, czy przebłysk intuicji, którego nie był w stanie ogarnąć, ale i tak oszalał na punkcie tego przedmiotu, w każdym razie na tyle, żeby dać za niego dwadzieścia funtów gotówką.

— Dziękuję panu — powiedział właściciel sklepu. — To ładna rzecz. Myślę, że będzie pan z niej zadowolony.

— Jezdeb zadobolody — rzekł Dirk.

— Miło mi to słyszeć, proszę pana — stwierdził uprzejmie właściciel sklepu. — A czy pan wie, że ma pan złamany nos?

Dirk spojrział nań, odrywając na chwilę zakochany wzrok od nabytku.

— Daduraldie — odparł cierpko. — Wieb dozgodale.

Mężczyzna skinął głową.

— Rzecz w tym, że moi klienci nie zawsze zdają sobie sprawę z tego typu sytuacji — wyjaśnił.

Dirk podziękował mu cierpko i wypadł na ulicę, ściskając w dłoni nabytek. Kilka minut później ulokował się przy małym narożnym stoliku w jednej z kafejek na Islington, zamówił małą, lecz niewiarygodnie mocną kawę, po czym spróbował jakoś podsumować swój dzień. Chwila zastanowienia wystarczyła, by się zorientować, że będzie potrzebował również małego, lecz niewiarygodnie mocnego piwa, zatem spróbował uzupełnić zamówienie.

— Czeo? — zapytał kelner. Miał bardzo czarne, pełne brylantyny włosy. Był wysoki, niesłychanie wysportowany i zbyt wyniosły, by słuchać, co mówią klienci, albo wypowiadać wszystkie spółgłoski.

Dirk powtórzył zamówienie, lecz mając przeciwko sobie sprzęt nagłaśniający kawiarni, własny złamany nos i niezwykłą wyniosłość kelnera, doszedł do wniosku, że o wiele prościej będzie nabazgrać je ołówkiem na serwetce. Kelner zajrzał w nią z obrażoną miną i oddalił się.

Dirk wymienił przyjazny uśmiech z dziewczyną, która siedziała, na pozór pogrążona w lekturze, przy stoliku obok i obserwowała ze współczuciem ową wymianę zdań. Następnie jął wykladać na stolik zdobycze tego poranka — gazetę, elektroniczny kalkulator I Ching oraz kopertę, którą wydobył zza złotej płyty w łazience Geoffreya Ansteya. Następnie przez chwilę dźgał delikatnie chusteczką nos, żeby sprawdzić, czy bardzo boli, okazało się, że bardzo. Westchnął i wetknął chusteczkę z powrotem do kieszeni.

W kilka sekund później kelner powrócił, niosąc omlet ziołowy i jedną bagietkę. Dirk wyjaśnił, że tego nie zamawiał. Kelner wzruszył ramionami i oświadczył, że to nie jego wina.

Dirk nie miał pojęcia, co na to rzec, więc powiedział to właśnie. Nadal miał spore kłopoty z wysławianiem się. Kelner zapytał Dirka, czy wie, że ma złamany nos, a Dirk odrzekł, iż daduraldie, wie, ogrobdie do biło z pada strody. Kelner na to, że jego kumpel, Neil, też kiedyś miał złamany nos, a Dirk na to, iż ba dadzie-

je, że kolerdie bolało, co najwyraźniej stanowiło podsumowanie całej dyskusji. Kelner wziął omlet i odszedł, przysięgając w duchu, że więcej tu nie wróci.

Kiedy dziewczyna przy sąsiednim stoliku odwróciła się na chwilę, Dirk zwiędził jej kawę. Wiedział, że niczym nie ryzykuje, ponieważ ona nie będzie w stanie uwierzyć, że coś takiego mogło się w ogóle zdarzyć. Siedział więc, siorbiąc wystygłą kawę, i przelatywał w myślach wszystkie wydarzenia dnia.

Nie potrzebował konsultować się z I Ching, nawet w elektronicznym wydaniu, żeby wiedzieć, że musi teraz zebrać myśli i pozwolić im spokojnie się uładzić.

Ciężkie zadanie.

Za każdym razem, kiedy próbował uporządkować myśli, by bieły w spokojny i zorganizowany sposób, w jego głowie natychmiast zaczynała wirować głowa Geoffreya Ansteya. Obracała się pełna przygany, jakby chciała wskazać go oskarżycielsko palcem. A to, iż wiedział, że wcale nie miała palca, którym mogłaby oskarżycielsko wskazywać, tylko pogarszało sprawę.

Dirk przymrużył oczy i spróbował z kolei skoncentrować się na sprawie tajemniczego zniknięcia panny Pearce, ale niewiele mógł z tego pojąć. Owszem, kiedy jeszcze pracowała jako jego sekretarka, zdarzało jej się zniknąć na dzień lub dwa, ale wtedy gazety nie podnosiły o to takiej wrzawy. Zgoda, wtedy nie wybuchały też wokół niej żadne przedmioty, w każdym razie niczego takiego sobie nie przypominał. Nigdy nawet nie wspomniała o żadnym, choćby najmniejszym wybuchu.

Co więcej, kiedy tylko przywoływał w pamięci jej twarz, widzianą ostatnio w telewizorze w domu Geoffreya Ansteya, jego myśli natychmiast zaczynały wymykać się trzy piętra niżej, ku tej drugiej twarzy, która pilnie okręcała się trzydzieści trzy i jedna trzecia raza na minutę. A takie myśli nie sprzyjały spokojnemu i refleksyjnemu nastrojowi, jakiego potrzebował. Podobnie jak hałaśliwa muzyka, płynąca z kawiarnianych głośników.

Westchnął i zapatrzył się w swój elektroniczny kalkulator I Ching.

Jeśli już ma jakoś uporządkować własne myśli, równie dobrze może nadać im porządek chronologiczny. Zdecydował, że zacznie od samego początku dnia, zanim przydarzyły się te wszystkie okropności; w każdym razie zanim przydarzyły się jemu.

Zaczął się od lodówki.

Teraz, na tle wydarzeń dnia, problem, co zrobić z lodówką, skurczył się do całkiem znośnych rozmiarów. Wciąż jeszcze wywoływał paroksyzm strachu i wyrzuty sumienia, lecz jednak stał się problemem, któremu potrafiłby stawić czoło.

Nieduża książeczka z instrukcją obsługi sugerowała, że wystarczy „z całej duszy” skoncentrować się na pytaniu, które go „nurtuje”, zapisać je, a następnie dogłębnie przemyśleć, porozkoszować się ciszą, a kiedy już osiągnie wewnętrzny spokój i harmonię, powinien nacisnąć czerwony guzik.

Nie było co prawda żadnego czerwonego guzika, ale był niebieski, na którym napisano: „czerwony”.

Zatem Dirk skupiał się przez chwilę nad swym pytaniem, następnie przeszukał kieszenie w pogoni za kawałkiem papieru, którego jednak nie znalazł. W końcu nabazgrał pytanie na rogu serwetki: „Czy mam sobie kupić nową lodówkę?” W tej samej chwili powziął przekonanie, że jeśli miałby czekać, aż osiągnie wewnętrzny spokój i harmonię, to spędziłby tutaj całą noc, zatem zdecydowanie pchnął sprawy do przodu i od razu przycisnął niebieski guzik z napisem „czerwony”. W rogu ekranu zamigotał heksagram:

3:CHUN

Kalkulator I Ching przewiął następnie przez swój małeńki kwarcowy ekranik następujący tekst:

„Wyroki króla Wen

Chun symbolizuje początkowe trudności — na podobieństwo źdźbła trawy, które rozsadza skałę. Czas pełen jest nieregularności i niejasności: człowiek u władzy pozna własne granice jak wątek przeciągany przez nić osnowy. Nieugięta postawa przyniesie oczekiwany rezultat. Pierwsze kroki należy stawiać z dużą ostrożnością. Ze spotkania z wasalami może wyniknąć korzyść.

Zmiana w wersie 6:

Komentarz księcia Chou:

Rydwan wraz z końmi zmuszony do ucieczki. Popłyną strumienie krwawych łez”.

Dirk rozmyślał nad tym przez kilka chwil i doszedł do wniosku, że jest to głos optujący za kupnem nowej lodówki; nieprawdopodobnym wprost zbiegiem okoliczności taki obrót sprawy odpowiadał mu najbardziej.

Automat telefoniczny wisiał w jednym z tych ciemnych zakamarków, gdzie dotrzymują sobie towarzystwa ponuro przygarbieni kelnerzy. Przemykając pomiędzy nimi Dirk zastanawiał się, kogo mu przypominają, i doszedł do wniosku, że tłumek nagich mężczyzn stojących za Świętą Rodziną z obrazu Michała Anioła o tym właśnie tytule; stojących tam bez żadnej właściwie przyczyny poza tą, że tak się mistrzowi podobało.

Zadzwoił do znajomego, który nazywał się Nobby Paxton (w każdym razie tak twierdził), a pracował w szarej strefie dostaw artykułów gospodarstwa domowego. Dirk przeszedł od razu do sedna.

— Dobby, busze biedź dowob lodówge.

— Dirk, właśnie trzymałem jedną na wypadek, gdybyś poprosił.

Dirk nie bardzo mógł w to uwierzyć.

— Aleja kciałby dobrob lodówge, rozumiesz, Dobby?

— Najlepszą, Dirk. Japońską. Na mikroprocesorach.

— Dzo bikrobrodzesor białby do roboty w lodówdze, Dobby?

— Chłodziłby się, Dirk. Każę chłopakom zaraz ją przywieźć. Muszę z mety pozbyć się jej z własnych włości, z powodów, którymi nie chciałbym ci zawracać głowy.

— Do ładdie z twojej strody, Dobby — odrzekł Dirk. — Ale bab jeded probleb. Akurad die ba bdie w dobu.

— Uzyskiwanie dostępu do domów podczas nieobecności właścicieli to tylko jedna z całego wachlarza zalet, jakimi opatrzność obdarzyła moich chłopców. A przy okazji daj mi znać, jeśli zauważysz, że czegoś brakuje.

— Z brzyjedkościob, Dobby. Prawdę bówioddz, jeźli tfoi kłopczy sob w dastroju do zabieradia, diek zaczdob od bojej zdarej lodówgi. Sildie wybaga wyrzudzedia.

— Dopilnuję, żeby to zrobili, Dirk. Ostatnio na twojej ulicy dosyć często bywają wywrotki. No dobrze, ale czy ty w ogóle masz zamiar zapłacić, czy też mam cię od razu złapać za gardło i przydusić kolanem do ziemi, żeby oszczędzić wszystkim czasu i zachodu?

Dirk nigdy nie był na sto procent pewien, czy Nobby żartuje, czy mówi poważnie, a nie miał ochoty sprawdzać. Zapewnił go więc, że zapłaci przy następnym spotkaniu.

— No, to do bardzo rychłego zobaczenia, Dirk. A przy okazji, czy wiesz, że twój głos brzmi tak, jakbyś miał złamany nos?

Nastąpiła chwila ciszy.

— Jesteś tam, Dirk? — zaniepokoił się Nobby.

— Jazdę — odparł Dirk. — Dylgo że słukałeb jeddej płydy.

„Ziemniak parzy!” — grzmiało z kawiarnianych głośników.

„Więc nie bierz go, nie bierz, go, nie, nie bierz go.

Podaj go dalej, podaj dalej, dalej podaj go.”

— Pytałem, czy wiesz, że twój głos brzmi tak, jakbyś miał złamany nos.

Dirk odpowiedział, że wie o tym doskonale, podziękował za troskę, pożegnał się, stał przez chwilę zamyślony, następnie wykonał kilka szybkich telefonów, potem przemknął z powrotem przez grupkę malowniczo upozowanych kelnerów, by wreszcie dotrzeć do swego stolika, gdzie zastał dziewczynę, której uprzednio zwędził kawę.

— Witam — odezwała się znacząco.

Dirk okazał jej całą uprzejmość, na jaką było go stać.

Uklonił się bardzo uniżenie, nawet zdjął kapelusz, ponieważ dawało mu to dodatkową chwilę na odzyskanie rezonu, i zapytał, czy wolno mu się przysiąść.

— Proszę bardzo — odpowiedziała. — To pański stolik. — I poparła słowa wielkodusznym gestem.

Była niewysoka, miała około dwudziestu pięciu lat i gładko przyczesane czarne włosy. Wpatrywała się kpiąco w nie dopitą filiżankę kawy, stojącą na środku stolika. Dirk usiadł naprzeciwko i pochylił się ku niej konspiracyjnie.



— Zbodziewab się — szepnął — że rozglodda się padi za swojob kawob.

— Jakby pan zgadł — odrzekła.

— Kawajezd daprawde szkoddiwa, wie padi.

— Naprawdę?

— Daprawde. Kofeida. Kolesterol w biegu.

— Zatem, jak rozumiem, miał pan na względzie wyłącznie moje zdrowie.

— Białeb da wgleddzie bdózdwo zbrav — odrzekł Dirk wymijająco.

— Zobaczył pan, że siedzę przy sąsiednim stoliku, i pomyślał pan sobie: „Taka miła dziewczyna, a tak sobie zdrowie rujnuje. Trzeba ją ratować przed nią samą”.

— Dogładdie dag.

— Czy pan wie, że złamał pan sobie nos?

— Daduraldie, że wieb — rzucił Dirk nieco rozeźlony. — Dieusdad-die bi do...

— Dawno pan go złamał?

— Gdoż iddy złał go dla bdie — odparł Dirk. — Jagież dwadzieździa bidud dębu.

— Tak myślałam — rzekła dziewczyna. — Proszę na chwilę zamknąć oczy.

Dirk obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

— Bo dzo?

— Wszystko w porządku — odparła z uśmiechem. — Nie zrobię panu krzywdy. A teraz proszę zamknąć oczy.

Rzuciwszy jej zdziwione i nachmurzone spojrzenie, Dirk na chwilę zamknął oczy. I w tej właśnie chwili dziewczyna sięgnęła ręką przez stół i z całej siły chwyciła Dirka za nos, przekręcając go ostrym szarpnięciem. Dirk omal nie eksplodował z bólu, a zawył przy tym tak, że prawie mu się udało przyciągnąć uwagę kelnera.

— Dyjedzdzo! — wrzeszczał, odskakując dziko od stolika, z twarzą ukrytą w dłoniach. — Dy dwulidzowa jedzdzo!

— Och, bądźże cicho i usiądź — powiedziała. — Owszem, skłamałam, że nie będzie bolało, ale teraz przynajmniej będzie prosty, co ci oszczędzi dużo gorszych kłopotów później. Powinieneś pójść prosto do szpitala, żeby ci założyli opatrunek i łubki. Jestem pielęgniarką, wiem, co robię. W każdym razie tak mi się wydaje. Obejrzyjmy to sobie.

Dysząc ciężko i parszcząc, Dirk usiadł z powrotem przy stoliku, dłońmi nadal osłaniając nos. Po kilku długich sekundach zaczął go delikatnie poszturchiwać, aż w końcu pozwolił, żeby dziewczyna go obejrzała.

— Przy okazji, nazywam się Sally Mills — powiedziała. — Zwykle przedstawiam się, zanim dojdzie do kontaktu fizycznego, ale czasem — westchnęła — po prostu nie ma na to czasu.

Dirk jeszcze raz przebiegł palcami po obu stronach nosa.

— Byźle, że jezd prozdy — powiedział w końcu.

— Prosty — poprawiła go Sally. — Powiedz: prosty. Od razu poczujesz się lepiej.

— Prosty — powtórzył Dirk. — Rozubieć, dzo basz da byźli.

— Co takiego?

— Rozumiem, co masz na myśli.

— Dobrze — odparła z westchnieniem ulgi. — Cieszę się, że się udało. Mój dzisiejszy horoskop twierdzi, że wszystko, co dzisiaj postanowię, będzie złe.

— Chyba nie wierzysz w te wszystkie bzdury — rzucił ostro Dirk.

— Nie wierzę — odparła Sally.

— A już szczególnie Wielkiemu Zagananiu.

— O, więc ty też to czytałeś?

— Nie. To znaczy — hm — nie z tego samego powodu.

— Ja miałam następujący powód: mój pacjent chciał, żebym przeczytała mu horoskop, zanim zmarł dziś rano. A ty?

— Mój powód był dosyć skomplikowany.

— Rozumiem — odrzekła Sally sceptycznie. — A co to jest?

— To? Kalkulator — odpowiedział Dirk. — No cóż, chyba nie będę dłużej zatrzymywał. Pani, jestem ci wielce zobowiązany za delikatność twych usług i użyczenie mi kawy, lecz ach, dzień ma się ku końcowi, a pewien jestem, że przed tobą pełna lista ciężkich uszkodzeń ciała, którymi należy się zająć.

— Wcale nie. O dziewiątej rano skończyłam nocny dyżur i jedyne, co mi teraz pozostało, to próbować przez cały dzień nie zasnąć, żebym w nocy mogła normalnie spać. Nie mam nic lepszego do roboty niż wysiadywać po kawiarniach i rozmawiać z obcymi mężczyznami. Ty natomiast powinienesz jak najszybciej udać się do izby przyjęć najbliższego szpitala. To znaczy, jak tylko uregulujesz mój rachunek.

Sięgnęła ręką do stolika, przy którym siedziała wcześniej, i zabrała rachunek leżący przy jej talerzu. Przyjrzała mu się, z dezaprobatą kręcąc głową.

— Pięć filiżanek kawy, przykro mi stwierdzić. To był bardzo długi i ciężki dyżur, ciągle kogoś przywozili i odwozili w samym środku nocy. A nad ranem jeszcze jakiś pacjent w śpiączce, którego koniecznie trzeba było przewieźć do prywatnej kliniki. Bóg jeden wie, dlaczego to musiało się stać o tej właśnie porze. Tylko niepotrzebny kłopot. Na twoim miejscu nie płaciłabym za drugi rogalik. Zamówiłam, ale go nie przynieśli.

Pchnęła rachunek w stronę Dirka, który wziął go z niechętnym westchnieniem.

— Wygórowany — rzekł. — Wręcz złodziejsko wygórowany. A w tych okolicznościach piętnastoprocentowy dodatek za obsługę zakrawa na kpinę. Założę się, że nawet nie przyniosą mi noża.

Odwrócił się i spróbował — właściwie bez nadziei na sukces — przywołać kogoś ze stadka kelnerów, rozwalonych niedbale między cukierniczkami na

tyłach sali.

Sally Mills wzięła rachunek swój oraz Dirka i próbowała zsumować je za pomocą kalkulatora.

— Suma, zdaje się, dochodzi do „nagłego przypiływu żółtego” — oznajmiła.

— Dziękuję, ja to wezmę — powiedział Dirk, odwracając się ze złością i uwalniając ją od elektronicznego zestawu do I Ching, który włożył następnie do kieszeni, po czym wrócił do niezbyt fortunnego wymachiwania w kierunku kelnerów.

— A po co ci właściwie ten nóż? — zapytała Sally.

— Żeby to otworzyć — odrzekł Dirk, potrząsając wielką kopertą, obficie oblepioną taśmą klejącą.

— Zaraz jakiś zdobędę.

Młody człowiek, siedzący samotnie przy sąsiednim stoliku, odwrócił na chwilę głowę, więc Sally szybko wychyliła się i porwała jego nóż.

— Jestem ci bardzo zobowiązany — rzekł Dirk i wyciągnął rękę, żeby wziąć od niej nóż.

Sally cofnęła swoją.

— Co jest w kopercie? — zapytała.

— Bardzo wścibska i arogancka z ciebie pannica! — wykrzyknął Dirk.

— A z ciebie wielki kawał dziwaka — odparowała.

— Na tyle, na ile jest mi to potrzebne.

— Hm — mruknęła sceptycznie. — Co jest w tej kopercie?

Nadal trzymała nóż z dala od niego.

— To nie twoja koperta — oświadczył Dirk — więc jej zawartość nie powinna cię obchodzić.

— Ale wygląda bardzo interesująco. Co jest w środku?

— Nie dowiem się, póki jej nie otworzę!

Spojrzała nań podejrzliwie i błyskawicznym ruchem wyrwała mu z ręki kopertę.

— Nalegam, żebyś... — wyrzucił z siebie Dirk, lecz nie dokończył.

— Jak się nazywasz?

— Gently. Dirk Gently.

— Zatem nie Geoffrey Anstey ani żadne z pozostałych, skreślonych nazwisk?

— Patrząc na nie nachmurzyła się leciutko.

— Nie. Z całą pewnością nie.

— Czyli że ta koperta nie jest także twoja.

— Ja... To znaczy...

— Aha! Zatem ty także jesteś... Jak to szło?

— Wścibski i arogancki. Nie zaprzeczam. Ale ja jestem prywatnym detektywem. Za to, żebym był wścibski i arogancki, płacą mi. Nie tak znów często i hojnie, jakbym sobie życzył, niemniej jestem wścibski i arogancki z przyczyn ściśle profesjonalnych.

— Jakie to smutne. Moim zdaniem, zabawniej być wścibskim i aroganckim z przyczyn ściśle hobbistycznych. Tak więc ty jesteś profesjonalistą, ja zaś amatorem na olimpijskim poziomie. Nie wyglądasz na prywatnego detektywa.

— Żaden prywatny detektyw nie wygląda na prywatnego detektywa. To jedna z podstawowych zasad prywatnej detekcji.

— Ale jeśli żaden prywatny detektyw nie wygląda na prywatnego detektywa, to skąd taki prywatny detektyw wie, jak ma nie wyglądać? Zdaje się, że mamy tu niewielki problem.

— Być może, ale nie jest to problem, który spędzałby mi sen z powiek — odparł zirytowany Dirk. — W każdym razie, ja nie jestem jak inni prywatni detektywi. Stosuję metody holistyczne oraz, w dokładnym tego słowa znaczeniu, chaotyczne. Działam poprzez badanie fundamentalnej wzajemnej więzi między wszystkim, co istnieje.

Sally Mills tylko zamrugła.

— Każda molekula wszechświata — ciągnął Dirk, rozgrzewając się coraz bardziej — wywiera wpływ na wszystkie inne molekuly, choćby nie wiem jak nikły i niebezpośredni. Wszystko łączy wzajemna więź ze wszystkim. Uderzenie motylego skrzydła w Chinach może wpłynąć na bieg huraganu na Atlantyku. Jeśli potrafiłbym przesłuchać tę nogę stołową w sposób, który miałby dla mnie albo dla niej jakiś sens, to ta oto noga stołowa mogłaby przedstawić odpowiedź na pytanie o naturę wszechświata. Mógłbym zadać dowolnej osobie każde dowolne pytanie, jakie akurat przyszłoby mi na myśl, a odpowiedź — bądź też jej brak — będzie w pewien sposób związana z problemem, którego rozwiązania właśnie poszukuję. Kwestia w tym, żeby wiedzieć, jak ją interpretować. Nawet ty, którą spotkałem całkiem przypadkowo, prawdopodobnie wiesz o kilku sprawach, które mają żywotne znaczenie dla mojego śledztwa — gdybym tylko wiedział, jak cię o nie zapytać, bo nie wiem, i gdybym tylko miał na to ochotę, bo nie mam.

Przerwał na chwilę, by zaraz dodać:

— A teraz, proszę, daj mi nóż i kopertę, dobrze?

— Mówisz tak, jakby od tego zależało czyjeś życie.

Dirk spuścił wzrok.

— Wydaje mi się, że czyjeś życie rzeczywiście od tego zależało — odrzekł. Powiedział to takim tonem, że dziewczyna odniosła wrażenie, jakby przemknęła nad nimi nagła chmura.

Sally Mills zmięknęła i przekazała Dirkowi nóż i kopertę.

Nóż był tępy, a warstwy taśmy klejącej nader grube. Dirk męczył się z nimi przez kilka sekund, lecz nie był w stanie ich przeciąć. Opadł z powrotem na krzesło, zmęczony i skłonny do irytacji.

— Pójdę i spytam, czy nie mają czegoś ostrzejszego — powiedział po chwili, wstając i chwytając kurczowo kopertę.

— Powinieneś pójść i zrobić coś z tym nosem — powiedziała Sally Mills cicho.

— Dziękuję — odrzekł Dirk i leciutko się uklonił.

Zgarnął oba rachunki i udał się na zwiedzanie wystawy kelnerów, usytuowanej na tyłach kawiarni. Spotkał się tam z niejakim chłodem, gdyż nie wykazał chęci, by wzbogacić dobrowolnym dowodem uznania obowiązkowy piętnastoprocentowy dodatek za obsługę. Powiedziano mu także, że jest to, niestety, jedyny typ noża, jakim dysponują, i koniec.

Dirk podziękował i powędrował z powrotem przez kawiarnianą salę.

Na jego miejscu siedział teraz, pogrążony w rozmowie z Sally Mills, młody człowiek, któremu uprzednio podwędziła nóż. Dirk skinął dziewczynie głową, ale tak mocno wciągnęła ją rozmowa z nowym znajomym, że nie zauważyła.

— ... w śpiączce — mówiła — którego nad ranem trzeba było przewieźć do jakiejś prywatnej kliniki. Bóg jeden wie, dlaczego to musiało stać się o tej właśnie porze. Tylko stwarza niepotrzebny kłopot. Wybacz, że tak paplam, ale ten pacjent miał ze sobą własny automat do coca-coli i wielki młot — takie rzeczy mogą być na miejscu w prywatnej klinice, ale w państwowym szpitalu, przy ciągłym niedoborze personelu, to po prostu męczące. A kiedy jestem zmęczona, robię się gadatliwa. Jeśli zwalę się bez zmysłów na podłogę, daj mi znać, dobrze?

Dirk ruszył dalej, lecz zaraz zauważył, że Sally Mills zostawiła przy poprzednim stoliku książkę, którą przedtem czytała; coś, jakiś szczegół z okładki przyciągnął jego uwagę.

Był to spory tomik zatytułowany „Wiej jak wszyscy diabli”. Prawdę mówiąc, była to zadziwiająco duża i mocno podniszczona książka; wyglądała z boku jak brzeg francuskiego ciastka. Dół okładki zilustrowano zwyczajnym portretem kobiety w wieczorowej sukni na tle konturu pistoletu, górną zaś jej część zajmowało całkowicie nazwisko autora, Howarda Bella, wytłoczone wielkimi srebrnymi literami.

Dirk nie potrafił zrazu określić, co właściwie przyciągnęło jego uwagę, lecz wiedział na pewno, że pewien szczegół okładki poruszył w nim jakąś strunę. Ostrożnie obejrzał się na dziewczynę, której najpierw podwędził kawę, a za której pięć kaw i dwa rogaliki (w tym jeden nie doniesiony i nie zjedzony) następnie zapłacił. Patrzyła w inną stronę, więc podwędził także i książkę, którą wsunął szybko do kieszeni skórzanego płaszcza.

Wyszedł na ulicę, gdzie zapikował na niego przelatujący właśnie orzeł, niemal wpychając go przed nadjeżdżającego rowerzystę, który sklął go i zwymyślał z wyżyn moralnych, na jakie wspiąć się mogą jedynie rowerzyści.

## Rozdział jedenasty

Pomiędzy dobrze utrzymane posiadłości leżące na dobrze utrzymanych przedmieściach dobrze utrzymanej wsi na obrzeżach dobrze utrzymanego Cotswolds wjechał nieco gorzej utrzymany samochód.

Był to wysłużony citroen 2CV, który miał wprawdzie jednego dbałego właściciela, ale także trzech niedbałych do granic samobójstwa. Samochód włókł się podjazdem niechętnie, jakby chciał dać do zrozumienia, że jedyne, czego pragnie od życia, to to, aby porzucono go w którymś ze spokojnych rowów na jednej z okolicznych łąk, gdzie mógłby się usadowić pośród wdzięcznego zapomnienia, podczas gdy zamiast tego żąda się, by włókł się taki kawał pod górkę, po zwirowanym podjeździe, po którym bez wątplenia będzie się musiał jeszcze wlec z powrotem, a z jakiej mianowicie przyczyny, tego już zupełnie nie potrafi sobie wyobrazić.

Zatrzymał się w końcu przed eleganckim, kamiennym wejściem do głównego budynku, ale po chwili potoczył się wolno do tyłu i toczył, dopóki kierowca nie zaciągnął ręcznego hamulca, co wywołało u samochodu rodzaj zduszonego „iiiiii”.

Drzwiczki otwały się niechętnie, chwiejąc się niebezpiecznie na samotnym zawiasie, a z wnętrza wychynęła para takich nóg, jakich spece od ścieżki dźwiękowej nie są w stanie widzieć inaczej jak tylko w rozbryzgach zadymionego saksofonowego solo, z przyczyn niepojętych dla nikogo prócz nich samych. Jakkolwiek w tym akurat przypadku saksofon zostałby wyciszony przez kazoo, którym ci sami spece od ścieżki dźwiękowej niechybnie spryskaliby moment zbliżania się pojazdu.

Właścicielka nóg w ogólnie przyjęty sposób ukazała się tuż za nimi, czule zamknęła drzwiczki, po czym weszła do budynku.

Po kilku minutach z budynku wyszedł portier, obejrzał auto, przybrawszy pełną dezaprobaty minę, a następnie wobec niemożności podjęcia bardziej zdecydowanych działań wrócił, skąd wyszedł.

Niedługo potem Kate Schechter wprowadzono do gabinetu pana Ralpa Standisha, głównego konsultanta ds. psychologii, a także jednego z dyrektorów szpitala w Woodshead. Właśnie kończył rozmowę telefoniczną.

— Tak, to prawda — mówił — że czasami nadzwyczaj inteligentne i wrażliwe dzieci mogą wydać się głupie. Niemniej, pani Benson, czasem i głupie dzieci także mogą wydać się głupie. Myślę, że powinna pani to sobie rozważyć. Tak, wiem, że to bardzo bolesne. Życzę miłego dnia, pani Benson.

Odłożył telefon do szuflady biurka, a zanim podniósł wzrok, przez kilka sekund zbierał myśli.

— Nie dała mi pani zbyt wiele czasu, panno, e... Schechter — powiedział w końcu.

Prawdę mówiąc, powiedział: „Nie dała mi pani zbyt wiele czasu, panno, e...”, po czym przerwał i zajął do innej szuflady biurka, zanim dokończył: „... Schechter”.

Kate wydało się dziwne, że Standish trzyma nazwiska gości w szufladzie, lecz wyraźnie nie lubił zagrazać swego czarnego, wyrafinowanego — choć o surowej linii — jesionowego biurka, ponieważ nie było na nim dosłownie nic. Jego blat był kompletnie pusty, podobnie jak każda inna powierzchnia w gabinecie. Nic nie stało na niedużym metalowo-szklanym stoliku, który przycupnął kwadratem między dwoma fotelami „barcelona”. Nic też nie mieściły w sobie dwie, na oko kosztowne, biblioteczki, które stały w głębi pomieszczenia.

W gabinecie nie było żadnych półek — jeśli znajdowały się tu jakieś książki, to niechybnie ukryto je za białymi drzwiczkami wielkich szaf ściennych. Choć na ścianie wisiała jedna prosta, czarna rama, musiała być tylko chwilową aberracją, gdyż obrazu w jej wnętrzu nie było.

Kate rozejrzała się wokół, lekko oszołomiona.

— Czy nie ma pan tu żadnych ozdób, panie Standish? — zapytała.

Przez chwilę milczał, wstrząśnięty jej zaatlantycką bezpośredniością, lecz mimo wszystko odpowiedział.

— Owszem, mam ozdoby — rzekł i otworzył kolejną szufladę biurka. Wyjął małego porcelanowego kotka bawiącego się kłębkami wełny i zdecydowanym ruchem postawił go na blacie biurka.

— Jako psycholog doskonale zdaję sobie sprawę z tego, jak korzystny wpływ mają ozdoby na samopoczucie pacjenta — oświadczył. Włożył porcelanowego kotka z powrotem do szuflady i zasunął

— No dobrze.

Wyciągnął przed siebie splecione dłonie i patrzył na Kate nader pytającym wzrokiem.

— Bardzo to uprzejmie z pana strony, że zgodził się pan mnie przyjąć tak szybko, panie Standish... .

— Tak, tak, o tym już mówiliśmy.

— ... lecz jestem pewna, że zdaję pan sobie sprawę, jak to jest z terminami w gazetach.

— Wiem o gazetach niemal dokładnie tyle, ile miałbym ochotę wiedzieć, panno, e...

Znów otworzył szufladę.

— ... panno Schechter, lecz...

— Tak, i właśnie dlatego zdecydowałam się zwrócić do pana — skłamała Kate z czarującym uśmiechem. — Wiem, że ucierpiał pan od swego rodzaju, hm, niezbyt fortunnego rozgłosu, pomyślałam więc sobie, że byłby pan zadowolony, mając okazję przedstawić jaśniejsze aspekty waszej pracy w Woodshead.

— Tylko dlatego, że polecił panią mój znakomity kolega i przyjaciel, pan, e...

— Franklin, Alan Franklin — rzuciła pospiesznie Kate, żeby oszczędzić psychologowi ponownego otwierania szuflady. Alan Franklin był psychoterapeutą, z którym Kate odbyła kilka sesji po śmierci swego męża, Luke'a. Ostrzegł ją, że Standish, choć świetny w swoim fachu, jest także nieco osobliwy, nawet na tle innych przedstawicieli tej profesji.

— ... Franklin — dokończył Standish. — Zdecydowałem się panią przyjąć, lecz niech jednocześnie będzie mi wolno ostrzec panią, że jeśli zobaczę w gazetach jakąkolwiek wzmiankę w rodzaju: „Coś paskudnego dzieje się w Woodshead”, to...

— „...zrobię coś takiego, sam jeszcze nie wiem co — ale będzie to postrach tej ziemi” — rzuciła wdzięcznie Kate.

Standish przymrużył oczy.

— „Król Lear”, akt 2, scena 4 — rzekł. — Lecz sądzę, że znajdzie tam pani raczej: „będzie postrachem”.

— Wie pan co? Chyba ma pan rację — odparła Kate.

Dzięki, Alan — pomyślała. Uśmiechnęła się do Standisha, który rozluźnił się, pełen samozadowolenia i poczucia wyższości. To dziwne, zastanowiła się Kate, że najłatwiej podejść tych, którzy próbują cię zastraszyć.

— Zatem, co właściwe chciałaby pani wiedzieć, panno Schechter?

— Załóżmy — odrzekła Kate — że nie wiem zupełnie nic.

Standish uśmiechnął się, jakby chciał zaznaczyć, że żadne inne założenie nie mogłoby mu sprawić większej przyjemności.

— Doskonale — powiedział. — Woodshead to szpital, w którym prowadzi się szereg badań. Specjalizujemy się w studiach i opiece nad przypadkami niezwykle lub dotychczas nie znanymi, głównie w zakresie psychologii i psychiatrii. Fundusze zdobywamy na wiele różnych sposobów. Jednym z nich jest przyjmowanie pacjentów za bardzo wygórowaną opłatą, którą z zadowoleniem uiszczają lub też na którą z zadowoleniem mogą ponarzekać. W istocie zaś nie mają się na co skarżyć, gdyż wszyscy prywatni pacjenci, jakich tu przyjmujemy, mają pełną świadomość przyczyn, dla których opłaty są tak wygórowane. Rzecz jasna mają święte prawo narzekać na wysokość sum, jakie muszą płacić — prawo do



narzekań to jedno z tych praw, za które płacą. W niektórych zaś przypadkach sporządzamy umowę specjalną, w ramach której w zamian za wyłączenie prawa do rozporządzania majątkiem pacjenta zobowiązujemy się otoczyć go dożywotnią opieką.

— Zatem można powiedzieć, że zajmujecie się przyznawaniem stypendiów osobom o szczególnie błyskotliwych chorobach?

— Właśnie tak. Bardzo zgrabnie to pani ujęła. Zajmujemy się przyznawaniem stypendiów osobom o szczególnie błyskotliwych chorobach. Muszę to sobie zapisać. Panno Mayhew!

Wysunął szufladę, w której niewątpliwie znajdował się jego biurowy interkom. W odpowiedzi na wezwanie otworzyła się jedna z szaf ściennych, w taki to sposób okazując się drzwiami do znajdującego się obok pomieszczenia — pomysł ten mógł się zrodzić jedynie w głowie architekta, który cierpiał na ideologiczną nienawiść do drzwi. Wyłoniła się stamtąd chuda, raczej nieciekawa kobieta, mocno po czterdziestce.

— Panno Mayhew — odezwał się pan Standish — zajmujemy się przyznawaniem stypendiów osobom o szczególnie błyskotliwych chorobach.

— Doskonale, panie Standish — powiedziała panna Mayhew i wycofała się, zamykając za sobą drzwi. Kate zaczęła się zastanawiać, czy to jednak nie była zwykła szafa.

— A w chwili obecnej mamy tu kilku pacjentów o rzeczywiście wybitnych przypadłościach — rozentuzjasmował się psycholog. — Może ma pani ochotę obejrzeć jedną czy dwie z naszych aktualnych gwiazd?

— Istotnie, bardzo bym chciała. To mogłoby być bardzo interesujące, panie Standish, doprawdy, bardzo pan miły.

— W tym fachu człowiek musi być miły — zareplikował Standish i włączył na sekundę uśmiech.

Kate nie chciała, aby w jej zachowaniu znać było niecierpliwość, jaką odczuwała. Nie spodobał się jej pan Standish, a poza tym gnębiło ją wrażenie, że ma on w sobie coś z Marsjanina. Co więcej, była zainteresowana tylko i wyłącznie wydobyciem informacji o tym, czy we wczesnych godzinach rannych szpital przyjął jakiegoś nowego pacjenta, a jeśli tak, to gdzie on jest i czy można się z nim zobaczyć.

Z początku próbowała się tego dowiedzieć zwykłą drogą, lecz została odesłana z kwitkiem — tylko dlatego, że nie знаła nazwiska pacjenta, o którego pytała. Wyglądało na to, że najzwyczajniejsze pytanie, czy nie przyjęli dziś przypadkiem na oddział wysokiego, dobrze zbudowanego blondyna, wywołuje całkowicie mylne mniemanie o jej intencjach. W każdym razie tak sobie wmawiała — że było to całkowicie mylne mniemanie. Jeden szybki telefon do Alana Franklina pozwolił jej przestawić się na inne, o ileż bardziej wyrafinowane podejście.

— Dobrze!

Przez twarz pana Standisha przemknął cień wątpliwości; ponownie wywołał pannę Mayhew z szafy.

— Panno Mayhew, to zdanie, które ostatnio powiedziałem. . .

— Tak, panie Standish?

— Zakładam, że zorientowała się pani, iż należy je zanotować?

— Nie, panie Standish, ale uczynię to z największą przyjemnością. — Dziękuję — powiedział pan Standish, rzucając jej lekko spięte spojrzenie. — I proszę tu posprzątać. Wygląda tu jak. . .

Miał zamiar powiedzieć, że wygląda tu jak w chlewie, lecz zbiła go z tropu panująca wokół kliniczna sterylność.

— Po prostu proszę tu posprzątać — zakończył.

— Tak, panie Standish.

Psycholog skinął jej cierpko głową, strzepnął z blatu biurka jakiś nie istniejący pyłek, jeszcze raz włączył dla Kate sekundowy uśmiech, po czym wyprowadził ją z gabinetu na korytarz, wyłożony nieskazitelnym beżowym chodnikiem, który ilekroć ktoś po nim przeszedł, skrzył się iskierkami wyładowań elektrycznych.

— O tu, widzi pani — odezwał się Standish, niedbałym gestem wskazując fragment ściany, który właśnie mijali, lecz nie wyjaśniając, co właściwie powinna widzieć ani też, jakie to może mieć znaczenie.

— I jeszcze tu — dodał, wskazując na pierwszy rzut oka zawiasy drzwi.

Kate z najwyższym niepokojem zaobserwowała, że każdorazowemu otwarciu drzwi towarzyszy z jej strony leciutki dreszczyk nadziei. Nie był to tryb postępowania, jakiego można by się spodziewać po bywalej w świecie nowojorskiej dziennikarce, chociażby i nie mieszkała akurat w Nowym Jorku, a tylko pisała do gazet reportaże z podróży. Mimo wszystko zdecydowanie nie wypadało rozglądać się za postawnym, jasnowłosym mężczyzną za każdym razem, kiedy otworzą się jakieś drzwi.

Za tymi konkretnie drzwiami nie było żadnego postawnego, jasnowłosego mężczyzny. Zamiast niego znajdowała się tam złotowłosa dziewczynka, może dziesięcioletnia, obwożona w wózku inwalidzkim. Wyglądała bardzo blado i niezdrowo; doskonale wyalienowana, mamrotała coś do siebie bezgłośnie. Czymkolwiek były słowa, które mruczała, martwiły ją widać i niepokoiły, bo rzucała się niespokojnie w fotelu to w jedną, to w drugą stronę, jakby próbowała uciec przed dźwiękami, które dobywały się z jej ust. Kate bardzo poruszył ten widok, więc bez namysłu poprosiła pielęgniarkę, żeby zatrzymała wózek.

Przykucnęła, chcąc zajrzeć przyjaźnie w twarz dziecka, co wyraźnie spodobało się pielęgniarce, lecz znacznie mniej panu Standish.

Kate nie chciała przyciągać uwagi dziecka, obdarzyła je tylko szerokim, przyjaznym uśmiechem, żeby zobaczyć, jak zareaguje, ale dziewczynka nie chciała czy raczej nie mogła zareagować. Jej usta pracowały nieprzerwanie — wyglądało to prawie tak, jakby wiodły żywot niezależny od reszty twarzy.

Teraz, kiedy przyjrzała się jej dokładniej, Kate odkryła, że dziewczynka była nie tyle chora i wyalienowana, co raczej znużona, udręczona i że miała tego wszystkiego niewymownie dość. Potrzebowała chwili odpoczynku, potrzebowała odrobiny spokoju, lecz jej usta trąkotały bez ustanku.

Na jedno okamgnienie spotkały się wzrokiem, a wtedy Kate udało się odebrać przekaz, który mógłby brzmieć mniej więcej tak: „Bardzo mi przykro, ale musi mi pani wybaczyć, dopóki to się nie skończy”. Dziewczynka wzięła głęboki oddech, przymknęła z rezygnacją powieki i dalej mamrotała bezgłośnie.

Kate pochyliła się nieco, próbując uchwycić sens słów, lecz nie była w stanie nic zrozumieć. Rzuciła Standishowi pytające spojrzenie.

— Notowania giełdowe — powiedział po prostu.

Na twarz Kate wypełził powoli wyraz niestęchanego zdumienia.

— Obawiam się, że wczorajsze — dodał Standish z oschłym wzruszeniem ramion.

Kate zachnęła się na tę tak straszliwie błędną interpretację jej wrażeń, więc pospiesznie obejrzała się na dziewczynkę, żeby pokryć zmieszanie.

— Czy to znaczy — odezwała się, dość niepotrzebnie — że ona siedzi tu i cały czas recytuje wczorajsze notowania giełdowe?

Dziewczynka ominęła ją wzrokiem.

— Tak — potwierdził Standish. — Musieliśmy zatrudnić specjalistę od czytania z ruchu warg, żeby się tego dowiedzieć. Z początku, rzecz jasna, wszyscy byliśmy bardzo podekscytowani, ale po dokładniejszym zbadaniu okazało się, że są wczorajsze, co było dla nas niejakim rozczarowaniem. To niezbyt ciekawy przypadek. Zwykła aberracja zachowań. Właściwe to ciekawe, dlaczego ona to robi, ale...

— Chwileczkę — wtrąciła Kate, starając się, żeby zabrzmiało to jak wyraz ogromnego zainteresowania, nie zaś skrajnego przerażenia. — Mówi pan, że co ona cytuje? Ceny na zamknięciu czy...

— Nie. Naturalnie, jest to dosyć ciekawy szczegół. Ona przez całą sesję mniej więcej dotrzymuje kroku wszystkim ruchom na giełdzie. Tylko że dwadzieścia cztery godziny do tyłu.

— Ale to dosyć niezwykle, prawda?

— No tak. Niezła sztuczka.

— Sztuczka?!

— No cóż, jako naukowiec muszę przyjąć pogląd, że skoro są to ogólnodostępne informacje, otrzymuje je za pośrednictwem zwyczajowo stosowanych kanałów przekazu. W tym przypadku nie zaistniała potrzeba tworzenia żadnego nadprzyrodzonego czy paranormalnego wymiaru. Brzytwa Ockhama. Nie należy mnożyć bytów bez potrzeby.

— Ale czy ktoś kiedyś widział, żeby czytała jakieś gazety albo żeby spisywała to wszystko przez telefon?

Podniosła wzrok na pielęgniarkę, która potrząsnęła głową.

— Właściwie to nikt nigdy na niczym jej nie złapał — odparł Standish. — Tak jak mówiłem, to całkiem niezła sztuczka. Jestem pewien, że jakiś cyrkowy magik albo facet z absolutną pamięcią powiedziałby nam, jak ona to robi.

— A czy jakiegoś pytaliście?

— Nie. Nie współpracujemy z tego rodzaju ludźmi.

— Ale czy naprawdę sądzi pan, że ona to robi z rozmysłem?

— Proszę mi wierzyć, gdyby знаła pani ludzką naturę tak dobrze jak ja, pan-  
no, e... uwierzyłaby pani we wszystko — rzekł Standish swym najbardziej profesjonalnym z uspokajających tonów. — Musi pani zrozumieć — mówił dalej — że trzeba myśleć racjonalnie. Gdyby to były jutrzejsze notowania, rzecz wyglądałaby całkiem inaczej. Wtedy to zjawisko nabrałoby zgoła innego charakteru, stanowiąc podstawę i przedmiot najgorliwszych studiów. Pewien jestem także, iż nie mielibyśmy żadnych kłopotów z finansowaniem badań. Z tym nie byłoby najmniejszego problemu.

— Rozumiem doskonale — powiedziała Kate bardzo serio.

Podniosła się sztywno i wygładziła spódnice.

— A zatem — zagaiła i zaraz zrobiło jej się za siebie wstyd — kto jest waszym najnowszym pacjentem? Kogo przywieziono ostatnio? — Wzdrygnęła się na rażącą gruboskórność tego non seguitur, lecz od razu też upomniała siebie samą, że przecież znalazła się tutaj jako dziennikarka, zatem coś takiego nikogo nie powinno dziwić.

Standish odprawił gestem pielęgniarkę wraz z wózkiem i jego smutną zawartością. Kate jeszcze raz obejrzała się za dziewczynką, a potem ruszyła za Standishem przez wahadłowe drzwi do następnej części korytarza, która wyglądała identycznie jak poprzednia.

— O tu, widzi pani — znów powiedział Standish, tym razem najwyraźniej w związku z mijaną właśnie okienną ramą. — I jeszcze tu — dodał wskazując na oświetlenie.

Najwyraźniej nie dosłyszał jej pytania albo też rozmyślnie je zignorował. Być może, pomyślała Kate, potraktował je z taką pogardą, na jaką zasługiwało.

Nagle zaświtało jej w głowie, że wie, o co mu chodzi z tymi wszystkimi „Widzi pani” i „Jeszcze tu”. Dopraszał się w ten sposób, żeby podziwiała wystrój wnętrza. Ramy okien ozdobiono kunsztownie paciorkami, żyrandole zaś wykonane były z ciężkiego metalu, prawdopodobnie niklowanego — i tak dalej.

— Niezłe — powiedziała, żeby podtrzymać przyjazną atmosferę; potem zdała sobie sprawę, że jej amerykańska oględność mogłaby zostać źle odebrana. — Bardzo tu u was przyjemnie — dodała w nadziei, że sprawi mu tym przyjemność.

Sprawiła. Pozwolił sobie nawet na półuśmiech zadowolenia.

— Pewnie wielu ludzi chciałoby się tu znaleźć — ciągnęła Kate, zmierzając w stronę interesującego ją tematu. — Jak często przyjmujecie nowych pacjentów?

Kiedy przyjęto ostatniego?

Lewą ręką starannie przytrzymała prawą, która najwyraźniej miała ochotę ją udusić.

Drzwi, które akurat mijali, były lekko uchylone, spróbowała więc — rzecz jasna nieznacznie — zajrzeć do środka.

— Doskonale, zajrzyjmy sobie tutaj — powiedział natychmiast Standish, jednym pchnięciem otwierając na oścież drzwi wiodące do niedużego pomieszczenia. — A, tak — rzekł rozpoznając mieszkańca pokoju. Zaprosił Kate do środka.

Mieszkaniec pokoju był kolejną niepostawną i niejasnowłosą osobą. Kate zaczynała powoli odbierać tę wizytę jako doświadczenie bardzo wyczerpujące emocjonalnie; trapiło ją przy tym przeczucie, że w tym aspekcie niewiele zmieni się na lepsze.

Mężczyzna, który siedział na krześle przy łóżku czekając, aż salowe zmieni mu pościel, był najnieprawdopodobniej potarganym człowiekiem, jakiego Kate udało się w życiu zobaczyć. Prawdę mówiąc, potargane miał tylko włosy, ale za to do tak krańcowego stopnia, że cała jego pociągła twarz zdawała się być pogrążona w tym nieszczęsnym chaosie.

Usadowiony na krześle, wydawał się dosyć zadowolony, ale w tym jego zadowoleniu czegoś wyraźnie brakowało — dosłownie rzecz ujmując, wydawał się zadowolony z niczego.

Miało się także poczucie, że człowiek ten na coś czeka. Czy to coś miało się zdarzyć za chwilę, czy też w ciągu najbliższego tygodnia, czy może miało nastąpić, kiedy piekło pokryją lody, a telekomunikacja naprawi wszystkie automaty — nie sposób było dociec, gdyż mężczyźni wyraźnie nie sprawiało to żadnej różnicy. Jeśli się wydarzy — był gotów, jeśli nie — także był zadowolony.

Kate odkryła, że taki rodzaj zadowolenia wprawia ją w niezdolne przygnębienie.

— Co mu jest? — zapytała cicho i natychmiast zdała sobie sprawę, że mówi o nim tak, jakby go tu nie było, podczas gdy równie dobrze on sam mógłby mówić za siebie. I rzeczywiście, w tej właśnie chwili przemówił.

— O, hm, cześć — powiedział. — OK, tak, dzięki.

— Eee... dzień dobry — rzuciła Kate w odpowiedzi, choć słowa te zabrzmiały jak wyrwane z kontekstu. A właściwie to słowa tamtego zabrzmiały jak wyrwane z kontekstu. Standish wykonał gest, który miał zniechęcić ją do wdawania się w rozmowę.

— A, ta. Bajgiel wystarczy — stwierdził zadowolony człowiek. Wypowiedział te słowa zupełnie beznamytnym tonem, jak coś, co kazano mu wygłosić. — Ta, i może trochę soku — dodał. I zakończył: — OK, dzięki — po czym rozluźnił się i powrócił do stanu próżnego wyczekiwania.

— Bardzo niezwykły przypadek — odezwał się Standish. — Muszę przyznać, iż wypada nam wierzyć, że jedyny w swoim rodzaju. Z całą pewnością nigdy nie

słyszałem o przypadku, który choć z grubsza przypominałby ten nasz. Okazało się także, że w żadnym razie nie da się udowodnić, że to w istocie to, na co wygląda. Tak więc, przyznam z zadowoleniem, czuję się zwolniony z obowiązku nadania temu nazwy.

— Czy chce pan, abym umieściła pana Elwesa z powrotem w łóżku? — zapytała salowa. Standish skinął głową. Nie miał zamiaru marnować słów na podwładnych.

Salowa pochyliła się, żeby porozmawiać z pacjentem.

— Panie Elwes? — szepnęła.

Pan Elwes najwyraźniej wypływał z dna głębokiej zadumy.

— Mmmm? — odrzekł i niespodziewanie rozejrzał się. Wyglądał na zmieszanego. — Och! Och? Co? — rzucił słabym głosem.

— Czy chce pan, żebym umieściła pana z powrotem w łóżku?

— Och. Och, tak, dziękuję. To bardzo miło, tak.

Choć oszołomiony i zdziwiony, pan Elwes całkiem sprawnie sam wpakował się do łóżka, więc zadaniem salowej było jedynie służyć mu radą i zachętą. Kiedy pan Elwes spoczął już bezpiecznie w łóżku, salowa skinęła uprzejmie Standishowi i Kate, po czym się oddaliła.

Pan Elwes niemal natychmiast popadł w swój przypominający trans stan. Leżał wsparty na fortyfikacjach z poduszek, głowa opadła mu lekko do przodu, zapatrzył się na jedno z kolan, które sterczało kościste wśród pościeli.

— Proszę mnie połączyć z Nowym Jorkiem — odezwał się.

Kate rzuciła Standishowi zadziwione spojrzenie w próżnej nadziei, że uzyska jakieś wyjaśnienie.

— Och, OK — mówił pan Elwes. — To będzie 541 i coś tam. Proszę poczekać. — Swoim martwym, bezbarwnym głosem podał następne cztery cyfry numeru.

— Co tu się dzieje? — zapytała w końcu Kate.

— Rozwiązanie tej zagadki zajęło nam sporo czasu. W końcu ktoś wpadł na to przez czysty przypadek. W pokoju był akurat włączony telewizor — wskazał na przenośny odbiornik stojący przy łóżku — a nadawano w nim jeden z tych programów na żywo. Co najdziwniejsze, nasz pan Elwes siedział tu sobie, mruczając, jak to on nie znosi BBC — nie wiem zresztą, czy to było BBC, może to był któryś z tych nowomodnych kanałów — a także wyrażał opinię na temat gospodarza programu, z której wynikało, że ma go za coś w rodzaju pośladków, po czym uznał, że chciałby już mieć to za sobą, a potem że tak, w porządku, już idzie — i odtąd to, co działo się na ekranie, zaczęło się w dziwny sposób synchronizować.

— Nie bardzo rozumiem, co pan ma na myśli — przyznała Kate.

— Dziwiłbym się, gdyby było inaczej — oświadczył Standish. — Wszystko, co mówił pan Elwes, było po chwili powtarzane w telewizorze przez pana o nazwisku Dustin Hoffman. Wygląda na to, że nasz pan Elwes wie dokładnie,

co powie pan Hoffman na sekundę czy dwie przed nim samym. Nie sędzę, żeby coś takiego zachwyciło pana Hoffmana, gdyby się o tym dowiedział. Poczyniono pewne starania, żeby go powiadomić, jak się sprawy mają, lecz okazało się, że jest nieuchwytny.

— Co tu się dzieje, do ciężkiej cholery? — zapytał spokojnie pan Elwes.

— Pan Hoffman, o ile nam wiadomo, kręci właśnie film gdzieś na zachodnim wybrzeżu Ameryki — kontynuował Standish. Rzucił okiem na zegarek. — Przypuszczam, że właśnie się obudził i wykonuje kilka porannych telefonów — dodał.

— Od jak dawna ten biedak znajduje się w takim stanie?

— Od jakichś pięciu lat, jak mi się wydaje. To spadło zupełnie jak grom z jasnego nieba. Siedział sobie jak zwykle przy obiedzie z rodziną, gdy nagle zaczął się uskarżać na swoją przyczepę mieszkalną. A po chwili na to, że go postrzelono. Potem większość nocy spędził mówiąc przez sen, wciąż od nowa powtarzał jakieś na pozór nic nie znaczące zwroty i twierdził przy tym, że nie podoba mu się to, jak zostały napisane. Jak łatwo sobie wyobrazić, dla całej rodziny był to czas wielkiej próby, jako że mieszkali pod jednym dachem z aktorem-perfekcjonistą i nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Dziś może wydać się zaskakujące, ile czasu potrzebowali, żeby się połapać, o co chodzi. Szczególnie że pewnej nocy wszystkich obudził, żeby podziękować im, jak również producentowi i reżyserowi, za Oscara.

Kate, która jeszcze nie zorientowała się, że dzień jedynie przygotowuje ją na to, co ma dopiero nadejść, osądziła błędnie, że osiągnął właśnie szczytowy punkt.

— Biedaczysko — szepnęła. — Cóż za żaloszny stan: żyć jako cień kogoś innego.

— Nie sędzę, żeby go to bolało.

Pan Elwes pograżył się spokojnie w jakiejś gorącej sprzeczce, w której zdaje się chodziło o dokładne zdefiniowanie pojęć „punkty”, „brutto”, „zyski” oraz „limuzyna”.

— Lecz płynące stąd wnioski są istotnie niezwykle, prawda? — dorzuciła Kate. — Czy on rzeczywiście mówi to wszystko na chwilę przed Hoffmanem?

— Rzecz jasna wszystko to są jedynie przypuszczenia. Mamy najwyżej kilka przykładów doskonałej korelacji i nie widzę sposobu, żeby w trakcie badań uzyskać coś więcej. Trzeba zdać sobie sprawę, że nawet tych kilku przykładów doskonałej korelacji nie udokumentowano właściwie i że o wiele łatwiej można je wytłumaczyć jako zwykły zbieg okoliczności. Cała zaś reszta może być wyłącznie produktem czyjejś wybujałej fantazji.

— Lecz jeśli porównać ten przypadek z dziewczynką, którą przed chwilą widzieliśmy. . .

— No cóż, rozumie pani, tego nam robić nie wolno. Każdy przypadek winniśmy osądzać według jego własnych standardów.

— No tak, ale oba przecież należą do tego samego świata. . .

— Owszem, ale jako odrębne jednostki. Rzecz jasna, gdyby nasz pan Elwes potrafił zademonstrować podobną przewidywalność w zakresie — na przykład — wypowiedzi przywódcy Związku Radzieckiego albo — jeszcze lepiej — prezydenta Stanów Zjednoczonych, wtedy oczywiście należałoby brać pod uwagę ważny aspekt obronny i rzeczywiście można byłoby zająć się rozważaniami na temat tego, co jest, a co nie jest fantazją albo zbiegiem okoliczności, lecz dla zwykłego aktora filmowego — to jest aktora filmowego, który wyraźnie nie planuje objęcia jakiegos poważnego stanowiska politycznego... Cóż, musimy trzymać się, niestety, twardo rygorów naukowości.

— Tak więc — dodał odwracając się ku drzwiom i wlokąc Kate za sobą — sędzę, że zarówno w wypadku pana Elwesa, jak i tej, jak jej tam, tej czarującej dziewczynki na wózku, może się zdarzyć, że nie będąc w stanie im pomóc, zmuszeni będziemy przekazać miejsce i urządzenia techniczne przypadkom bardziej zasługującym na uwagę.

Kate nie wiedziała, co można by na to odpowiedzieć, ruszyła więc za nim. Wrzała niemym gniewem.

— A tu właśnie mamy o wiele bardziej interesujący i obiecujący przypadek — rzekł Standish, przechodząc przez kolejną parę podwójnych drzwi.

Kate z całej siły próbowała opanować swe reakcje. Lecz nawet ktoś tak szklisty i marsjański jak pan Standish nie mógł nie zauważyć, że jego audytorium jest nieobecne duchem. Zatem w jego zachowanie wkradło się trochę dodatkowego zniecierpliwienia i obcesowości, które natychmiast połączyły siły z obcesowością i zniecierpliwieniem, jakie znalazły się tam wcześniej.

W milczeniu przemierzali korytarz. Kate gorączkowo kombinowała, jak by tu jeszcze raz zahaczyć przypadkowo o temat nowo przyjętych pacjentów, lecz w końcu sama przed sobą musiała przyznać, że nie można trzykrotnie wracać do tego samego, nie ryzykując przy tym utraty owej istotnej cechy przypadkowości. Najdyskretniej jak potrafiła próbowała zajrzeć za każde mijane drzwi, lecz większość zamknięta była na głucho, reszta zaś nie ukazała jej nic godnego zainteresowania. Kiedy mijali okno, zerknęła na podwórze i zauważyła wjeżdżającą furgonetkę. Natychmiast rzuciła jej się w oczy, ponieważ z pewnością nie była to furgonetka dostawcy pieczywa ani furgonetka z pralni. Te z pralni lub piekarni zwykle reklamują rzemiosło swych właścicieli, na ogół więc widnieje na nich słowo „pralnia” albo „piekarnia”, ta zaś nie wiozła żadnego napisu. Nie miała nikomu nic do powiedzenia i mówiła o tym głośno i wyraźnie.

Była to duża, ciężka furgonetka o nader poważnym wyglądzie, której niewiele brakowało do prawdziwej ciężarówki. Pomalowana była jednolicie na metalicznie szary kolor. Przypominała Kate owe wielkie, metalicznie szare ciężarówki, które pędzą z hukiem z Albanii przez Bułgarię i Jugosławię, wioząc malowany od szablonu napis „Albania”. Zastanawiała się wtedy, co też Albańczycy mogą eksportować w tak anonimowy sposób, lecz kiedy przy jakiejś okazji zajrzała do



encyklopedii, okazało się, że jedynym towarem eksportowym jest tam elektryczność — a elektryczności, o ile dobrze pamiętała z lekcji fizyki w średniej szkole, na ogół nie przewozi się w ciężarówkach.

Wielka, poważna furgonetka skręciła i zaczęła podjeżdżać do tylnego wejścia. Cokolwiek zwykle wozi, za chwilę dostarczy to lub odbierze — pomyślała Kate i ruszyła dalej.

Kilka chwil później Standish dotarł do jakichś drzwi i zapukał w nie delikatnie, po czym zajrzał pytająco do znajdującego się za nimi pokoju. Gestem wezwał Kate, by ruszyła za nim.

Ten pokój różnił się zasadniczo od pozostałych. Zaraz za drzwiami znajdował się obszerny przedpokój z dużą szybą, za którą widać było główne pomieszczenie. Oba pomieszczenia odseparowane były widocznie dźwiękoszczelną przegrodą, ponieważ przedpokój zastawiony był komputerami i monitorami, z których każdy pomrukiwał głośno do siebie, w głównym zaś pomieszczeniu leżała na łóżku jakaś kobieta, pogrążona w głębokim śnie.

— Pani Elspeth May — powiedział Standish, a w jego głosie czuło się wielki respekt. Jej pokój z pewnością należał do najlepszych: przestronny, umeblowany kosztownie i wygodnie. Na każdym blacie stał wazon z kwiatami, a na wykonanej z mahoniu szafce nocnej leżała robótka pani May.

Ona sama była wygodnie ułożoną, srebrnowłosą panią w zaawansowanym wieku średnim. Spała wspierając się na stercie poduszek, odziana w różowy, rozpinany wełniany sweter. Po chwili Kate zorientowała się, że choć kobieta śpi, nie straciła wcale na aktywności. Głowa leżała sobie wygodnie z zamkniętymi oczyma, ale prawa ręka ścisnęła długopis i bazgrała nim zaciekle po wielkim bloku papieru. Ręka ta, podobnie jak usta dziewczynki na wózkach, zdawała się wieść niezależny i gorączkowo pracowity żywot. Do czoła pani May, tuż pod linią włosów, przytwierdzono jakieś małe, różowawe elektrody, które, jak zakładała Kate, dostarczały materiału do odczytów tańczących na ekranach monitorów w przedpokoju, gdzie ona i Standish obecnie się znajdowali. Nad sprzętem czuwało dwóch białych odzianych mężczyzn i jedna kobieta, przy szybie zaś stała dyżurująca pielęgniarka. Standish wymienił z nimi kilka uwag na temat aktualnego stanu pacjentki, który — jak ogólnie się zgodzono — był wyśmienity.

Kate nie mogła oprzeć się wrażeniu, że sama powinna wiedzieć, kim jest pani Elspeth May, ale że nie wiedziała, zmuszona była zapytać.

— Jest medium — wyjaśnił pan Standish z niejakim poirytowaniem — jak, sądziłem, doskonale pani wiadomo. Medium o kolosalnej mocy. Właśnie znajduje się w transie, pochłonięta pisaniem automatycznym. Stenografuje. Każdy zapisany tu przekaz posiada niewymierną wprost wartość. Nie słyszała pani o niej?

Kate przyznała, że nie.

— Ale słyszała pani niewątpliwie o kobiecie, która utrzymywała, że Mozart, Schubert i Beethoven dyktują jej muzykę?

— Tak, o tej słyszałam. Dużo się o niej pisało w kolorowych dodatkach parę lat temu.

— Jej supozycje były, hm, bardzo interesujące, jeśli ktoś się tym akurat interesuje. Muzyka z całą pewnością bardziej pasowała do tego, co każdy z tych panów mógłby skomponować raz-dwa przed śniadaniem, niż do tego, czego można by się spodziewać po czterdziestoletniej gospodyni domowej bez krzty uzdolnień muzycznych.

Takiego zadęcia Kate nie mogła przepuścić.

— To dość seksistowski punkt widzenia — oświadczyła. — George Eliot też była czterdziestoletnią gospodynią domową.

— Tak, tak — rzucił cierpko Standish — lecz nie stenografowała na polecenie świętej pamięci Wolfganga Amadeusza. O to właśnie mi chodzi. Proszę spróbować prześledzić logikę moich argumentów i nie wprowadzać nieistotnych komentarzy. Gdybym uznał, że przykład George Eliot może rzucić jakieś światło na zajmujący nas problem, to — może pani być pewna — sam bym go wymienił. Na czym to stanąłem?

— Nie wiem.

— Mabel. A może Doris? Jakże to ona miała na imię? Załóżmy, że Mabel. Chodzi o to, że najprościej było problem Mabel zignorować. Nie kryło się tam naprawdę nic poważnego, co najwyżej kilka koncertów. Materiał raczej pośledniego gatunku. Ale tutaj, tutaj mamy coś o zgoła odmiennej naturze.

Ostatnie słowa wyrzekł ścisłym tonem i odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się ekranowi stojącemu wśród rzędów komputerów. Ekran ukazywał zbliżenie dłoni pani May, pomykającej spiesznie przez blok papieru. Dłoń ta w znacznej mierze zasłaniała napisy, lecz można było dostrzec coś na kształt matematycznych wzorów.

— Pani May utrzymuje, iż zapisuje myśli dyktowane jej przez największych fizyków, przez Einsteina, Heisenberga i Plancka. A bardzo trudno jest podważyć prawdziwość jej twierdzenia, ponieważ wzory zapisywane tutaj przez tę... niewykształconą panią pochodzą z najbardziej skomplikowanych obszarów fizyki. Dzięki świętej pamięci Einsteinowi coraz bardziej udoskonalamy istniejący obraz współdziałania czasu i przestrzeni na poziomie makroskopowym, zaś dzięki świętej pamięci Heisenbergowi i Planckowi pogłębia się zrozumienie fundamentalnych struktur materii na poziomie kwantowym. I nie ma nawet cienia wątpliwości, że owe informacje przybliżają nas coraz bardziej ku nieuchwytnemu celowi, jakim jest Wielka Zjednoczona Terenowa Teoria Wszystkiego. Co z kolei stwarza naukowcom bardzo interesującą, żeby nie powiedzieć: kłopotliwą sytuację, ponieważ sposób, w jaki uzyskują te informacje, stoi w zasadniczej sprzeczności z ich treścią.

— To tak jak z wujkiem Henrym — wtrąciła zniecierpliwiona Kate.

Standish obrzucił ją kolejnym pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

— Musiał pan to słyszeć — mówiła dalej Kate. — „Bardzo martwimy się o wujka Henry’ego. Myśli, że jest kura”. — „To dlaczego nie wyślecie go do lekarza?” — „Wysłalibyśmy, tylko że potrzebujemy tych jajek”.

Standish gapił się na nią, jakby z czubka jej nosa wystrzeliło małe, lecz dobrze ukształtowane drzewko czarnego bzu.

— Proszę to powtórzyć — zażądał cichym, wstrząśniętym głosem.

— Co? Od początku?

— Od początku.

Kate oparła ręce na biodrach i opowiedziała od początku, tym razem nadając dialogowi więcej werwy i południowego akcentu. — To znakomite — wyszeptał Standish, kiedy skończyła.

— Z pewnością musiał pan to już kiedyś słyszeć — powiedziała, trochę zbity z tropu jego reakcją. — To stary żart.

— Nie — odrzekł — nie słyszałem. „Jajka są nam potrzebne”. „Jajka są nam potrzebne”. „Jajka są nam potrzebne”. „Nie możemy posłać go do lekarza, bo jajka są nam potrzebne”. Zaskakująco świeże wejście w podstawowe paradoksy kondycji ludzkiej i w naszą niewyczerpaną zdolność konstruowania elastycznych racji, które mają ją tłumaczyć. Dobry Boże.

Kate wzruszyła ramionami.

— A pani mi mówi, że to jest żart?! — dopytywał się Standish z niedowierzaniem.

— Tak. I to z długą brodą.

— Czy wszystkie żarty są takie? Nie zdawałem sobie sprawy.

— No cóż. . .

— Jestem oszołomiony — mówił dalej Standish — doszczętnie oszołomiony. Myślałem, że żarty to coś, co wygłaszają w telewizji różne grubasy, więc nigdy ich nie słuchałem. Mam poczucie, że do tej pory coś przede mną ukrywano. Siostrzo!

Pielęgniarka, która przez szybę pilnowała pani May, podskoczyła ze strachu, kiedy warknął na nią tak niespodziewanie.

— Tak, panie Standish? — odezwała się. Wyraźnie wprawiał ją w zdenerwowanie.

— Dlaczego pani nigdy nie opowiada mi dowcipów?

Pielęgniarka wbiła weń zdumiony wzrok, drżąc od samej niemożności pomyślenia nad tym, co mogłaby na takie pytanie odpowiedzieć.

— Hm, no cóż. . .

— Proszę to sobie natychmiast zanotować. Na przyszłość żądam, aby pani, jak również cała reszta personelu, opowiadała mi wszystkie aktualnie krążące żarty. Zrozumiano?

— Eee. . . Tak, panie Standish. . .

Standish obrzucił ją podejrzliwym i pełnym wątpliwości spojrzeniem.

— Pani zna jakieś dowcipy, prawda, siostrzo?

— Eee. . . Tak, panie Standish, zdaje mi się, że znam.

— Proszę mi jakiś opowiedzieć.

— Teraz, panie Standish?

— W tej sekundzie.

— No tak. . . hm. . . znam taki jeden o pacjencie, który jest, no cóż, to niezbyt dobry dowcip, po operacji, no więc budzi się, jest po operacji i kiedy się budzi, mówi tak do lekarza: „Panie doktorze, co się ze mną dzieje? Nic nie czuję, kiedy dotykam nóg.” A doktor na to: „Zgadza się, musieliśmy amputować panu obie ręce”. To wszystko, naprawdę. To dlatego nic nie czuł, kiedy dotykał nóg.

Przez chwilę pan Standish wpatrywał się w nią lodowatym wzrokiem.

— Podam panią do raportu, siostró — rzekł w końcu.

— Tak, panie Standish.

Zwrócił się znowu do Kate.

— A taki o kurze, która przechodzi przez ulicę czy coś w tym rodzaju?

— Rzeczywiście, jest taki — potwierdziła Kate niepewnie. Czowała, że wpakowała się w niezłą kabałę.

— I jak to idzie?

— No cóż — odpowiedziała Kate — mniej więcej tak: „Dlaczego kura przeszła przez ulicę?”

— Tak? I dlaczego?

— Odpowiedź brzmi: „Bo chciała się dostać na drugą stronę”.

— Rozumiem. — Standish rozważał coś przez chwilę. — A co ta kura robi, kiedy już się znajdzie po drugiej stronie ulicy?

— Historia już o tym nie wspomina — odrzekła natychmiast Kate. — Myślę, że wybiega to poza kontekst żartu, w którym doprawdy chodzi wyłącznie o wędrówkę kury przez ulicę i przyczyny, dla których ją odbywa. Pod tym względem żart przypomina nieco japońskie haiku.

Nagle Kate zdała sobie sprawę, że bawi ją to wszystko. Odważyła się ukradkiem puścić oko do pielęgniarki, która nie miała najmniejszego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

— Rozumiem — powtórzył Standish i nachmurzył się lekko. — A czy te, hm, żarty wymagają wstępnego użycia jakiegoś sztucznego stymulatora?

— To zależy od samego żartu, no i słuchacza.

— Hm, muszę przyznać, że odsłoniła pani przede mną obfite źródło, panno, eee. . . Wydaje mi się, że całe rozległe pole humorystyki może bardzo zyskać na bliskim i dogłębnym zbadaniu. Rzecz jasna, musimy najpierw oddzielić żarty, które posiadają prawdziwy walor psychologiczny, od tych, które tylko zachęcają do nadużywania narkotyków i których powinno się zakazać. Dobrze.

Odwrócił się, by zagadnąć badacza w białym kitlu, studiującego ekran, na którym śledzono bazgroły pani May.

— Czy mamy coś nowego od pana Einsteina?

— Pisze: „Jakie chcecie jajka? W koszulkach czy na twardo?”

Standish zamilkł na chwilę.

— Interesujące — rzekł w końcu — bardzo interesujące. Notujcie dalej wszystko, co ona pisze. Chodźmy. — To ostatnie skierował do Kate, kiedy opuszczał pomieszczenie.

— Dziwni ludzie ci fizycy — oświadczył, kiedy tylko znaleźli się na korytarzu. — Doświadczenie mówi mi, że ci, którzy nie są jeszcze martwi, są co najmniej bardzo chorzy. No cóż, popołudnia ubywa nam szybko, a pewien jestem, że niecierpliwi się pani, aby stąd wyjść i wziąć się za swój artykuł, panno, eee. Mnie samego z pewnością czeka mnóstwo spraw, które domagają się mojej uwagi, i wielu pacjentów, którzy domagają się mojej opieki. Zatem, jeśli nie ma pani więcej pytań. . .

— Jest jeszcze jedna sprawa. — Kate postanowiła, że do diabła z dyskrecją. — Trzeba podkreślić, że artykuł jest z ostatniej chwili. Może mogłabym zobaczyć osobę przyjętą tu ostatnio?

— Wydaje mi się, że to będzie trochę trudne. Ostatnią pacjentkę przyjęliśmy jakiś miesiąc temu, a po dwóch tygodniach zmarła na zapalenie płuc.

— Ach, tak. No cóż, może to rzeczywiście nic szczególnie atrakcyjnego. No, tak. Żadnych nowych przyjęć w ciągu ostatnich kilku dni. Nie przyjęliście przypadkiem kogoś szczególnie postawnego, jasnowłosego, o nordyckim wyglądzie, w kożuchu i z młotem? Pytam tak sobie. — Oświeciła ją nagła myśl. — A może ktoś wrócił z przepustki?

Standish przyglądał się jej z narastającą podejrzliwością.

— Panno, eee. . .

— Schechter.

— Panno Schechter, zaczynam odnosić wrażenie, że pani zainteresowanie naszym szpitalem nie jest. . .

Tu przerwało mu nagłe otwarcie wahadłowych drzwi tuż za nimi. Obejrzał się, żeby zobaczyć kto to, i natychmiast zmienił sposób bycia.

Ostro nakazał Kate, żeby odsunęła się pod ścianę. Przez drzwi wtoczyło się pchane przez salowego łóżko na kółkach. Za nim postępowały w gotowości siostra oddziałowa i młodsza pielęgniarka, niczym trzon odświętnej procesji, a nie dwie zwykle pielęgniarki w trakcie pełnienia obowiązków służbowych.

Na łóżku leżał subtelnie pomarszczony staruszek o skórze przypominającej delikatnie żyłkowany pergamin.

Tyłna część wózka wznosiła się pod niedużym kątem do góry, tak żeby staruszek mógł obserwować mijający go świat, zatem obserwował go ze swego rodzaju cichym, dobrotliwym przerażeniem. Kąciki ust opadły mu leciutko, głowa spoczywała na poduszce trochę bezwładnie i przy najmniejszym zakłóceniu w płynności ruchu wózka przetaczała się odrobinę z boku na bok. Lecz mimo

kruchej drętwy staruszek sprawiał nieodparte wrażenie, jakby to właśnie on, bardzo spokojnie, bardzo delikatnie, władał wszystkim dokoła.

Źródłem tego wrażenia było jego jedyne oko. Wszystko, na czym się zatrzymało — czy to był widok z okna, czy pielęgniarka, która przytrzymywała drzwi, żeby wózek mógł przejechać bez przeszkód, czy w końcu sam pan Standish, który zniemacka stał się uosobieniem charme'u i głębokiej rewerencji — wszystko natychmiast wchodziło w skład dominium, którym władał ten wzrok.

Kate zadumała się na chwilę nad tym, w jaki sposób oczy potrafią przekazać tak wiele informacji o swym właścicielu. W końcu to tylko zwykłe włókniste kulki. Prawie nie zmieniają się z wiekiem, co najwyżej stają się lekko zażawione i trochę przekrwione. Źrenica to powiększa się nieznacznie, to zmniejsza — i na tym koniec. Skąd więc płynie ta rzeka informacji? Szczególnie zaś w przypadku mężczyzny, który ma tylko jedno oko, a na miejscu drugiego zarośniętą klapkę ze skóry?

Tok jej myśli urwał się, kiedy rzeczony oko, przesunawszy się po Standishu, spoczęło w końcu na niej. Władczy uścisk tak ją zaskoczył, że omal nie jęknęła.

Gestem najlżejszym z najlżejszych staruszek dał znać salowemu, aby zatrzymał wózek. Wózek stanął, a kiedy ucichł dźwięk toczących się kółek, przez chwilę nie było słyhać nic prócz odległego buczenia windy.

Potem winda stanęła.

Kate odwzajemniła spojrzenie z leciutko nachmurzonym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: „Przepraszam, czy my się znamy?”, a potem zastanowiła się, czy rzeczywiście tak nie jest. W jego twarzy dostrzegła płochy cień czegoś znajomego, lecz nie zdołała go uchwycić. Była pod dużym wrażeniem, kiedy odkryła, że pościel na łóżku, choć był to tylko zwykły wózek do przewożenia pacjentów, była z prawdziwego lnu, świeżutko uprana i wymaglowana.

— Panno, eee, oto jeden z naszych najbardziej cenionych i, eee, najulubieńszych pacjentów, pan. . .

— Czy wygodnie panu, panie Odwiń? — pospieszyła z pomocą siostra oddziałowa. Niepotrzebnie, bo to właśnie był ten jeden jedyny pacjent, którego nazwiska pan Standish nie zapominał nigdy.

Odyn uciszył ją najlżejszym z gestów.

— Panie Odwiń — mówił dalej Standish — to jest panna, eee. . .

Kate już miała się po raz kolejny przedstawić, gdy wtem przeżyła straszne zaskoczenie.

— Wiem doskonale, kim ona jest — powiedział Odyn cicho, lecz wyraźnie, a jego oko przez chwilę przypominało środek owadobójczy, który patrzy znacząco na osę.

Kate próbowała zachować się bardzo formalnie i po angielsku.

— Obawiam się w takim razie — odezwała się wyniośle — że ma pan nade mną przewagę.

— Tak jest — potwierdził Odyn.

Kolejnym gestem przywołał salowego i wspólnie podjęli dalszą wędrówkę przez korytarz. Standish i siostra oddziałowa wymienili porozumiewawcze spojżenia, a Kate, zaskoczona, zauważyła, że w korytarzu stoi z nimi ktoś jeszcze.

Należy przypuszczać, że nie pojawił się tam za sprawą magii. Po prostu stał bez ruchu, kiedy wózek odjeżdżał, a jego wzrost — czy raczej tegoż niedostatek — sprawił, że aż do tej chwili pozostawał niezauważony.

I tak było zresztą o wiele lepiej.

Są ludzie, do których od pierwszego wejrzenia pała się sympatią, są inni, których po pewnym czasie być może da się polubić, są w końcu tacy, których ma się ochotę odepchnąć od siebie zaostrzonym kijem. Dla Kate natychmiast stało się jasne, do której kategorii powinna przypisać Toe Raga. Gapił się na nią uśmiechnięty, a raczej gapił się na jakąś niewidzialną muchę, która miotła się wokół jej głowy.

Podbiegł do niej i, zanim zdołała temu zapobiec, złapał ją za prawą rękę, potrząsając nią gwałtownie.

— Ja także mam nad panią przewagę, panno Schechter — rzucił radośnie i pomknął, utykając, korytarzem.

## Rozdział dwunasty

Wielka, poważna, szara furgonetka przemknęła gładko podjazdem, wyłoniła się po drugiej stronie kamiennej bramy i przechylając się statecznie zjechała ze zwirowanej na asfaltową drogę publiczną. Droga ta była wietrzną wiejską szosą, obramowaną zimowymi sylwetkami bezlistnych dębów i martwych wiązów. Szare chmury ułożyły się na niebie w stos poduszek. Furgonetka oddalała się statecznie wiejską szosą i wkrótce zniknęła wśród jej licznych zakrętów i skrętów.

Nieco później w bramie pojawił się znacznie mniej stateczny żółty citroen. Swoje krzywe koła zwrócił ku wygięciu drogi i rozpoczął powolny i najeżony trudnościami pochód w tym samym kierunku.

Kate była wstrząśnięta.

Ostatnie minuty upłynęły jej dość nieprzyjemnie. Standish nawet w swych najlepszych chwilach był człowiekiem o dość dziwacznych manierach, a po spotkaniu z pacjentem o nazwisku Odwiń stał się wprost niewymownie wrogi. Była to przerażająca wrogość, jaka płynie od tych, którzy sami są przestraszeni — ale czego przestraszył się Standish, tego już Kate nie wiedziała.

Kim ona właściwie jest? — dopytywał się. W jaki sposób udało jej się wyłudzić referencje od Alana Franklina, człowieka w swoim zawodzie powszechnie szanowanego? Czego tu właściwie szuka? Co — i to chyba był najważniejszy punkt — zrobiła, że wzbudziła taką dezaprobatę pana Odwiną?

Kate z ponurym zacięciem prowadziła samochód, który zakręty pokonywał z ogromnym wysiłkiem, a proste odcinki szosy z niewiele mniejszym. Samochód ten przywiódł ją pewnego razu na salę sądową, kiedy jedno z jego przednich kół udało się samopas na małą wycieczkę i omal nie spowodowało wypadku. Policyjny świadek w sądzie określał jej citroena jako „domniemany samochód” i nazwa ta przyłgnęła do niego na trwałe. Ona zaś żywiła ogromny sentyment do „domniemanego samochodu” — bo kiedy na przykład odpadły mu drzwiczki, mogła samodzielnie założyć je z powrotem, czego nie dałoby się powiedzieć o BMW.

Zastanawiała się, czy wygląda równie mizernie, jak się czuje, lecz wsteczne lusterko tłukło się hałaśliwie pod siedzeniem, zatem ten fragment wiedzy został jej oszczędzony.

Standish dosłownie zbiełał na twarzy i rozdygotał się na samą myśl o tym,



że ktoś mógłby rozzłościć pana Odwiną, więc natychmiast i nieodwołalnie uciał próbę wyjaśnienia, że Kate wcale go nie zna. Jeśli tak jest rzeczywiście, zaatakował ją, to dlaczego sam pan Odwiń nie pozostawił cienia wątpliwości, że ją zna? Czyżby oskarżała pana Odwiną o kłamstwo? Jeśli tak, to chyba powinna zacząć się leczyć.

Kate nie wiedziała, co myśleć. Spotkanie z panem Odwinem było dla niej wydarzeniem absolutnie niewytłumaczalnym. Nie mogła zaprzeczyć, że facet miał w sobie jakąś siłę. Kiedy zaczynał na kogoś patrzeć, człowiek nawet nie drgnął, póki tamten nie skończył. Lecz głębiej, poza niepokojącymi cechami wejrzenia, pobrzmiwały znacznie bardziej niepokojące tony. Były bardziej niepokojące, ponieważ były to nuty strachu i słabości.

Jeśli zaś chodzi o tę drugą istotę...

Niewątpliwie to ona właśnie była głównym bohaterem historyjek, jakie zaczęły ukazywać się w najbardziej odrażających rubrykach prasy brukowej, które donosiły, że „coś paskudnego dzieje się w Woodshead”. Artykuły te, rzecz jasna, były bardzo obelżywe i bezlitośnie grubiańskie, zatem ignorowali je wszyscy, poza tymi marnymi kilkoma milionami czytelników, którzy uwielbiają bardzo obelżywe i bezlitośnie grubiańskie historyjki.

Autorzy artykułów prasowych twierdzili zgodnie, że ludzie mieszkający w tamtej okolicy zostali „sterroryzowani” przez odrażająco zdeformowaną, „karłowatą” postać, która regularnie wydostawała się z Woodshead, a następnie popełniała niewypowiedziane ohydne czyny.

Jak większość ludzi, Kate przypuszczała — kiedy w ogóle zdarzało jej się o tym myśleć — że tak naprawdę jakiś nieszczęsny, oszołomiony pomyleniec wydostał się za ogrodzenie szpitala i nadokuczał kilku przechodzącym starszym paniom, reszty zaś dokonały niewolnicze pismaki z Wapping. Teraz jednakże była trochę bardziej roztrzęsiona i nieco mniej pewna.

Ten facet wiedział — to coś wiedziało — jak ona się nazywa.

Co to mogło oznaczać?

Na razie oznaczało tyle, że źle skrzyła. Pograżona w myślach przeoczyła zakręt, który miał ją doprowadzić do trasy na Londyn, musiała zatem coś postanowić. Mogłaby zwyczajnie zawrócić i pojechać z powrotem, lecz ponieważ od dawna nie używała wstecznego biegu, nie miała pojęcia, jak citroen mógłby zareagować. Próbowała dwóch następnych zakrętów w prawo, żeby zobaczyć, czy nie uda się w ten sposób wyjechać na prostą, lecz czyniła to bez wielkiej nadziei na sukces i — jak się okazało — słusznie. Niemniej przez jakieś dwie czy trzy mile jechała dalej, świadoma, że jest co prawda na niewłaściwej drodze, ale, sądząc po pozycji jasnoszarej plamy wśród ciemnoszarych chmur, podąża we właściwym kierunku.

Po chwili przywykła do nocnej marszruty. Kilka drogowskazów, jakie minęła, uświadomiło jej, że znalazła się na mniej uczęszczanej trasie do Londynu, czyli

dokładnie tam, gdzie pragnęła się znaleźć. Gdyby pomyślała o tym wcześniej, pewnie sama wybrałaby tę drogę zamiast zapchanej ciężarówkami autostrady.

Cały ten wypad zakończył się kolosalną porażką i zrobiłaby o wiele lepiej, gdyby została w domu, mocząc się przez całe popołudnie w wannie. Wszystko, co jej się dziś przytrafiło, było niepokojące, niemal przerażające, a w dodatku nie wniosło nic nowego, jeśli wziąć pod uwagę jej prawdziwy cel. Nie dość, że cel był taki, iż sama przed sobą za nic nie chciała się do niego przyznać, to jeszcze rozleciał się w kawałki.

Zastanowiło ją, czy przypadkiem nie zaczyna leciutko wariować. Od paru dni życie najwyraźniej wymyka jej się spod kontroli, a bardzo przygnębiała ją myśl, że krucha to musiała być władza, skoro z taką łatwością zniweczył ją jakiś podrzędny piorun czy meteoryt, czy cokolwiek to było...

Słowo „piorun” bez ostrzeżenia pojawiło się w jej myślach, a ponieważ nie wiedziała, co ma o tym sądzić, pozwoliła, by spoczęło na samym dnie umysłu, jak ręcznik porzucony na podłodze w łazience, którego nie chciało jej się podnieść.

Zapra gnęła, by przez chmury przedarł się choć promień słońca. Mile przewalały się ciężko pod kołami samochodu, nad nią przewalały się ciężko chmury, a ona sama w pewnej chwili złapała się na tym, że coraz intensywniej myśli o pingwinach. W końcu poczuła, że nie zniesie tego dłużej, i doszła do wniosku, że kilkuminutowy spacer pomoże jej otrząsnąć się z ponurego nastroju.

Zatrzymała samochód na poboczu, a leciwy jaguar, który jechał za nią przez ostatnie siedemnaście mil, wjechał prosto w tył jej citroena, dając dokładnie ten sam efekt, co planowany spacer.

## Rozdział trzynasty

Ożywiona nagle rozkosznym przyływem wściekłości Kate wyskoczyła z samochodu i pobięła zwymyślać tamtego kierowcę, który z kolei wyskoczył ze swego auta, żeby zwymyślać ją.

— Dlaczego pan nie patrzy, gdzie pan jedzie? — wrzasnęła Kate.

Pan był nieco przytęgim mężczyzną w długim, skórzanym płaszczu i paskudnym, czerwonym kapeluszu.

— Dlaczego nie patrzę, gdzie jadę? — powtórzył zapalczywie. — A pani nie patrzy w lusterko wsteczne?

— Nie — odrzekła Kate, biorąc się pod boki.

— O! — zdziwił się. — A to dlaczego?

— Bo leży pod siedzeniem.

— Rozumiem — odrzekł ponuro. — Dziękuję za szczerość. Czy ma pani adwokata?

— Mam — odparła Kate z mocą i wyższością.

— Dobry? — spytał mężczyzna w kapeluszu. — Sam będę jakiegoś potrzebował. Mojego chwilowo przymknęli.

— Z pewnością nie może pan wziąć mojego.

— Dlaczego?

— Niech pan się nie wygłupia. To byłaby oczywista sprzeczność interesów.

Jej adwersarz oparł się o maskę samochodu i bez pośpiechu rozejrzał się po okolicy. Widoczność na drodze zaczynała się pogarszać, jako że nadciągał już wczesny zimowy wieczór. Pochylił się i wsunął do wnętrza samochodu, żeby włączyć światła postojowe. Bursztynowe światelka z tyłu samochodu zamrugały ładnie na szpeciniastej trawie pobocza. Przednie, zatopione w tylnym błotniku samochodu Kate, nie były w stanie pozwalającym na mruganie.

Mężczyzna wrócił do poprzedniej pozycji i z aprobatą zlustrował Kate od stóp do głów.

— Jest pani kierowcą — oznajmił — a używam tego słowa w najszerszym z możliwych znaczeń, chodzi mi po prostu o kogoś, kto siedzi za kierownicą czegoś, co dla potrzeb chwili nazwałbym — stosując ten termin bez jakichkolwiek uprzedzeń — samochodem, podczas gdy ten ostatni sunie po szosie, jest więc pa-

ni kierowcą o oszałamiającym, powiedziałbym nawet: niemal nadludzkim braku umiejętności. Czuje pani mniej więcej, do czego zmierzam?

— Nie.

— Chcę przez to powiedzieć, że niezbyt dobrze pani prowadzi. Czy wie pani, że przez ostatnie siedemnaście mil jechała pani po niewłaściwej stronie drogi?

— Siedemnaście mil! — wykrzyknęła Kate. — Czy cały czas jechał pan za mną?

— Tylko do pewnego stopnia — odrzekł Dirk, on to był bowiem we własnej osobie — gdyż ja, starałem się trzymać po właściwej stronie.

— Rozumiem. No cóż, teraz z kolei ja dziękuję panu za szczerłość. Chyba nie muszę mówić, że to oburzające. Lepiej niech pan sobie znajdzie cholernie dobrego adwokata, bo mój będzie w niego wbijał rozgrzane do czerwoności szpikulce!

— To może lepiej wezmę sobie kebab.

— Wygląda pan, jakby już miał w swoim życiu wystarczająco kebabów. Czy mogę chociaż zapytać, dlaczego pan za mną jechał?

— Bo wyglądała pani, jakby wiedziała, dokąd zmierza. Przynajmniej na początku. Przez pierwsze sto jardów czy coś w tym rodzaju.

— A cóż pana, do cholery, obchodzi, dokąd ja zmierzam?

— To taka moja technika nawigacji.

Kate zmrużyła oczy.

Właśnie miała zażądać natychmiastowych i wyczerpujących wyjaśnień na temat tej ostatniej idiotycznej uwagi, kiedy zwolnił przy nich przejeżdżający biały ford sierra.

Kierowca opuścił szybę i wychylił się.

— Stuknęliśmy się, co? — krzyknął do nich.

— Tak.

— Ha! — powiedział i pojechał dalej.

Po upływie chwili zatrzymał się jakiś peugeot.

— Kto to był tamten? — zapytał kierowca, mając na myśli poprzednika.

— Nie wiem — odpowiedział Dirk.

— Aha — odrzekł kierowca. — Wygląda, że się stuknęliście.

— Tak — odpowiedział Dirk.

— Tak też myślałem — powiedział kierowca i pojechał dalej.

— Ci dzisiejsi mijający nie są już tacy jak dawniej, co? — powiedział Dirk do Kate.

— Stuknąć się można też z prawdziwym draniem — odrzekła Kate. — Nadal chcę wiedzieć, dlaczego pan za mną jechał. Zdaje pan sobie sprawę, że w tej sytuacji trudno mi nie przedstawić sobie pana jako osoby o obrzydliwych skłonnościach.

— To da się łatwo wyjaśnić — odparł Dirk. — Zwykle taki jestem. Jednakże tym razem zwyczajnie zgubiłem drogę. Musiałem wykonać unik w obliczu

nadjeżdżającej z przeciwka wielkiej, szarej furgonetki, która zachowywała się tak, jakby cała droga była jej własnością. Żeby uniknąć zderzenia, wskoczyłem w boczną dróżkę, w której następnie nie dałem rady zawrócić. Kilka zakrętów dalej byłem już zabłąkany z kretesem. Jedna ze szkół myślenia radzi w takich wypadkach skonsultowanie się z mapą, lecz ja takim ludziom mówię po prostu: „A co, jeśli się nie ma mapy? A co, jeśli ma się tylko mapę Dordogne?” Moja strategia wygląda tak: znajduję samochód albo najbliższy jego ekwiwalent, który wygląda tak, jakby wiedział, dokąd zmierza, i jadę za nim. Rzadko ląduję tam, gdzie zamierzałem, ale za to często ląduję tam, gdzie powinienem być. No, i co pani na to powie?

— Brednie.

— Mocna odpowiedź, gratuluję.

— Właściwie to chciałam powiedzieć, iż sama tak czasem robię, ale zdecydowałam, że na razie jeszcze się nie przyznam.

— Bardzo roztropnie — pochwalił Dirk. — Nie chce pani zdradzić zbyt wiele w tym względzie. Trzeba zgrywać enigmatyczną, oto moja rada.

— Nie chcę pańskich rad. Gdzie chciał się pan dostać, zanim doszedł pan do wniosku, że najszybciej tam trafi jadąc siedemnaście mil w przeciwnym kierunku?

— Do miejsca o nazwie Woodshead.

— A, do szpitala dla wariatów.

— Zna pani to miejsce?

— Oddalałam się od niego przez ostatnie siedemnaście mil i wołałabym, żeby ten dystans był większy. Na którym oddziale można pana znaleźć? Muszę wiedzieć, dokąd wysłać rachunek za naprawę.

— Nie mają tam oddziałów — odrzekł Dirk. — I sądzę, że byłoby im przykro, gdyby słyszeli, że nazywa ich pani szpitalem wariatów.

— Jeśli im jest przykro, to mnie jest bardzo miło.

Dirk rozejrzał się dookoła.

— Przyjemny wieczór.

— Wcale nie.

— Rozumiem — rzekł Dirk. — Sprawia pani wrażenie, jakby dzisiejszy dzień nie był dla pani źródłem radości ani duchowego wzbogacenia.

— Cholerna racja, nie był. Miałam dziś właśnie taki dzień, po jakim święty Franciszek z Asyżu zacząłby kopać niemowlęta. A szczególnie jeśli do dzisiaj doliczyć wtorek, jako że wtedy ostatni raz byłam przytomna. A teraz na dodatek widzi pan, co się stało z moim ślicznym samochodem. Jedno, co może przemawiać na korzyść tego bagna, to fakt, że przynajmniej nie jestem teraz w Oslo.

— Rozumiem, to bardzo pocieszające.

— Wcale nie twierdzę, że to mnie pocieszyło. Sprawilo jedynie, że jak dotąd się nie zabiłam. Ale widzę, że równie dobrze mogę oszczędzić sobie fatygi, bo

tacy jak pan chętnie mnie w tym wyręczą.

— Była mi pani w tym nader zdolną pomocnicą, panno Schechter.

— Proszę w tej chwili przestać!

— Przestać co?

— Wiedzieć jak się nazywam. Raptem wszyscy obcy, których spotykam, wiedzą, jak się nazywam. Może byście, chłopcy, choć na sekundę przestali znać moje imię i nazwisko? Jak w takich warunkach dziewczyna ma być enigmatyczna? Jedyną osobą, która nie wiedziała, jak się nazywam, był facet, któremu osobiście się przedstawiłam. Dobra — rzuciła, oskarżycielsko celując w Dirka palcem — nie jest pan nadprzyrodzony, więc proszę mi w tej chwili powiedzieć, skąd pan wie, jak się nazywam. Nie puszczę pańskiego krawata, dopóki się nie dowiem.

— Wcale pani nie trzyma. . .

— Teraz trzymam, łobuzie!

— Ręce przy sobie!

— Dlaczego pan za mną jechał? — nie ustępowała Kate. — Skąd pan wie, jak się nazywam?

— Jechałem za panią z powodów, które już wyłuszczyłem. Jeśli zaś chodzi o to, jak się pani nazywa, to sama mi pani powiedziała, moja droga.

— Nie powiedziała.

— Zapewniam panią, że tak.

— Nadal trzymam pański krawat.

— Jeśli miała pani być teraz w Oslo i była pani nieprzytomna od wtorku, w takim razie znajdowała się pani na drugim terminalu lotniska Heathrow podczas niewiarygodnego wybuchu na stanowisku odpraw lotów. Prasa szeroko opisywała ten wypadek. Przypuszczam, że skoro była pani nieprzytomna, musiało to pani umknąć. Mnie zaś umknęło, ponieważ byłem pogrążony w nieokiełznanej apatii i dopiero dzisiejsze wydarzenia sprawiły, że zwróciłem na to uwagę.

Kate niechętnie puściła krawat, lecz nie przestawała mierzyć mężczyzny podejrzliwym wzrokiem.

— Czy tak? — rzuciła. — Jakie wydarzenia?

— Bardzo przygnębiające — odparł Dirk i otrzepał ubranie z niewidocznych pyłków. — A gdyby nawet to, co mi pani powiedziała, nie wystarczyło do identyfikacji, to rozstrzygnąłby o wszystkim fakt, że była pani dziś w Woodshead. Z nastroju wojowniczego przygnębienia wnioskuję, że nie było tam mężczyzny, którego pani szuka.

— Co?!

— Proszę, niech pani trzyma — rzucił Dirk, błyskawicznie wręczając jej krawat. — Przez przypadek natknąłem się dziś na pielęgniarkę z tamtego szpitala. Moje pierwsze z nią spotkanie, z różnych przyczyn, pragnąłem zakończyć szybko i obcesowo. Dopiero kiedy później stałem na chodniku, broniąc się przed naporem lokalnej fauny, jedno z potoku słów, które wypowiedziała, uderzyło mnie,

rzec można, jak piorun. Myśl ta była fantastyczna i skrajnie nieprawdopodobna. Lecz, jak większość fantastycznych i skrajnie nieprawdopodobnych myśli, była równie warta rozważenia jak te bardziej doczesne, do których z takim wysiłkiem nagina się fakty. Wróciłem więc, żeby zadać jej kilka pytań, a ona potwierdziła, że pewien trochę niezwykły pacjent został wywieziony nad ranem z tamtejszego szpitala, prawdopodobnie do Woodshead. Zeznała także, że inny z pacjentów był niemal nieprzyzwoicie ciekaw, co się z tamtym stało. Pacjentem tym była niejaka panna Kate Schechter, więc sądzę, że przyzna pani teraz, panno Schechter, że moja metoda nawigacji ma swoje plusy. Być może nie jestem tam, gdzie zamierzałem być, ale za to jestem tam, gdzie być powinienem.

## Rozdział czternasty

Po jakiejś półgodzinie zjawił się facet z pobliskiego warsztatu z samochodem, liną holowniczą i synem. Rozejrzawszy się w sytuacji, odesłał syna z samochodem do innej roboty, sam zaś wziął na hol niesprawny obecnie samochód Kate i osobiście zaciągnął go do warsztatu.

Kate pomilczała nad tym nieco, a potem stwierdziła:

— Nie postąpiłby tak, gdybym nie była Amerykanką.

Mężczyzna polecił im miejscowy pub, do którego przyjdzie ich poszukać, kiedy tylko postawi diagnozę citroenowi. Ponieważ jaguar Dirka stracił jedynie prawy przedni kierunkowskaz, a Dirk upierał się, że i tak rzadko kiedy skręca w prawo, postanowili przejechać tę niewielką odległość jaguarem. Kiedy Kate z niejakim ociąganiem wgramoliła się do środka, znalazła tam książkę Howarda Bella, którą Dirk w kawiarni podwędził Sally Mills, i od razu się do niej dorwała. Kilka minut później, wkraczając do pubu, nadal usiłowała sobie przypomnieć, czy już ją kiedyś czytała, czy nie.

Pub łączył wszystkie tradycyjnie angielskie wartości: uprzęż końską, sztuczne tworzywo i zgryźliwość. Śpiew Michaela Jacksona przy drugim kontuarze mieszał się z żalonymi przerywnikami w wykonaniu zmywarki do naczyń przy pierwszym, co razem tworzyło akustyczne tło doskonale współgrające ze starą i obскую farbą na ścianach.

Dirk kupił po drinku dla siebie i Kate, a potem dołączył do niej przy małym stoliku w rogu, z dala od otyłego, wbitego w podkoszulek uosobienia wrogości, które stało za barem.

— Już to czytałam — oznajmiła, przekartkowawszy większą część „Wiej jak wszyscy diabli”. — A przynajmniej zaczęłam i przebrnęłam przez kilka pierwszych rozdziałów. Dokładnie parę miesięcy temu. Sama nie wiem, dlaczego jeszcze czytam jego książki. Bo jest absolutnie jasne, że nie robi tego wydawca. — Spojrzała na Dirka. — Nie przyszłoby mi do głowy, że lubi pan takie rzeczy, choć tak krótko się znamy.

— Nie lubię — odrzekł Dirk. — Wziąłem to, eee... przez pomyłkę.

— Każdy tak mówi — odparła Kate. — Kiedyś był całkiem niezły — dodała. — Jeśli ktoś lubi takie rzeczy. Mój brat pracuje w wydawnictwie w Nowym Jorku.



Mówi, że Howard Bell zrobił się ostatnio bardzo dziwny. Mam wrażenie, że oni wszyscy trochę się go boją, a jemu się to podoba. A z całą pewnością nikt nie ma dość odwagi, żeby mu powiedzieć, że mógłby sobie darować rozdziały od dziesiątego do dwudziestego siódmego włącznie. A także tę historię z kozą. Istnieje teoria, że on tylko dlatego sprzedaje swoje książki w milionach egzemplarzy, że nikt ich nigdy nie czyta. Gdyby każdy, kto kupi jego książkę, naprawdę ją przeczytał, za żadne skarby nie pofatygowaliby się, żeby kupić następną, i to byłby koniec jego kariery.

Odsunęła od siebie książkę.

— A tak przy okazji — powiedziała — bardzo sprytnie wyjaśnił mi pan, po co pojechałam do Woodsheda, ale nie powiedział mi pan, po co sam tam jechał.

Dirk wzruszył ramionami.

— Żeby zobaczyć, jak tam jest — odparł wymijająco.

— Ach tak? No, to oszczędzę panu fatygi. Miejsce jest obrzydliwe.

— Proszę je opisać. Najlepiej zaczynając od lotniska. Kate pociągnęła tęgi łyk Krwawej Mary i przez chwilę dumiała w milczeniu, podczas gdy wódka spływała w głąb jej wnętrza.

— Chce pan usłyszeć i o lotnisku? — powiedziała w końcu.

— Tak.

Kate osuszyła szklankę do dna.

— W takim razie będę potrzebowała następnego — orzekła i pchnęła ku niemu pustą szklankę.

Dirk zaryzykował kolejne spojrzenie wylupiastych oczu barmana i po chwili wrócił z dolewką.

— OK — oświadczyła Kate. — Zacznę od kota.

— Jakiego kota?

— Tego, którym w czasie mojej nieobecności miała się opiekować sąsiadka z przeciwka.

— Jaka sąsiadka z przeciwka?

— Ta, która umarła.

— Rozumiem — powiedział Dirk. — Wie pani co, a gdybym tak po prostu się zamknął i pozwolił pani dokończyć?

— To niezła myśl.

Kate zrelacjonowała mu wydarzenia ostatnich kilku dni, a w każdym razie te, przy których zachowała przytomność, po czym przeszła do wrażeń z Woodsheda.

Jeśli pominąć obrzydzenie, z jakim Kate opowiadała o tym miejscu, dla Dirka brzmiało to jak opis instytucji, w której chciałby się znaleźć po przejściu na emeryturę, i jeśli to możliwe — od jutra. Łączyła bowiem w sobie umiłowanie tego, co niewytłumaczalne, a była to najbardziej uparta z jego wad (mógł myśleć o niej tylko w taki sposób, a czasem burzył się przeciwko niej z gwałtownością nałó-

gowca), z rozpieszczonym samopobłażaniem, którą to wadę z rozkoszą uznałby za własną, gdyby tylko mógł sobie na nią pozwolić.

Kate zrelacjonowała niepokojące spotkanie z panem Odwinem i jego odpychającym służką, w wyniku czego Dirk pograżył się na kilka minut w zasepionym milczeniu. Prawdę mówiąc, większa część tego czasu upłynęła mu na wewnętrznej walce o to, czy zapalić papierosa. Rzucił niedawno palenie, zatem taka walka zdarzała mu się dość regularnie i równie regularnie ją przegrywał, często nawet tego nie zauważając.

Zdecydował triumfalnie, że nie zapali, po czym wyjął papierosa z paczki. Łowiąc po przestronnych kieszeniach zapalniczkę, natknął się na kopertę zabraną z łazienki Geoffreya Ansteya. Wyjął ją i położył na stoliku obok książki, po czym zapalił papierosa.

— Ta urzędniczka na lotnisku... — napomknął.

— Doprowadzała mnie do szału — podjęła natychmiast Kate. — Wszystkie swoje służbowe ruchy wykonywała tak, jakby była jakąś tępą maszyną. Nie słucha, nie myśli. Nie mam pojęcia, jak oni znajdują takich ludzi.

— Prawdę mówiąc, była kiedyś moją sekretarką — powiedział Dirk. — A oni najwyraźniej i teraz nie mają pojęcia, jak ją znaleźć.

— O, przepraszam — odrzekła natychmiast Kate, a potem zastanawiała się przez chwilę. — Jak się spodziewam, pan zaraz powie, że wcale taka nie była — ciągnęła. — No cóż, możliwe. Przypuszczam, że postępując w ten sposób broniła się przed stresami tego zawodu. Praca na lotnisku z pewnością odziera człowieka z wszelkiej wrażliwości. Myślę, że nawet bym jej współczuła, gdybym sama nie była tak cholernie sfrustrowana. Przepraszam, nie miałam pojęcia. Zatem tego się pan próbuje dowiedzieć.

Dirk wymijająco pokiwał głową.

— Między innymi — rzekł i dodał: — Jestem prywatnym detektywem.

— O? — powiedziała Kate, zaskoczona. Wyglądała na zbitą z tropu.

— Czy to pani przeszkadza?

— Chodzi o to, że mam kolegę, który gra na kontrabasie.

— Rozumiem.

— Za każdym razem, kiedy ludzie widzą, jak się z nim zмага, mówią zawsze to samo, czym doprowadzają go do szału. Wszyscy mówią: „Założę się, że wolałbyś teraz grać na piccolo”. Nikt jeszcze nie wpadł na to, że wszyscy tak mówią. Zatem próbowałam wymyślić, czy jest coś takiego, co wszyscy mówią prywatnemu detektywowi, bo chciałam tego uniknąć.

— Nie. Po prostu każdy przez chwilę przygląda mi się chytrze i tu utrafiła pani wyśmienicie.

— Rozumiem. — Kate wyglądała na rozczarowaną. — No tak. Czy ma pan jakieś poszlaki... to jest, chciałam powiedzieć: jakieś pojęcie o tym, co mogło się przydarzyć pańskiej sekretarce?

— Nie — odrzekł Dirk — żadnego pojęcia. Tylko coś jak mgliste przecucie, z którym sam nie wiem, co począć. — Bawił się w zamyśleniu papierosem, potem omiół wzrokiem stół i powrócił do książki.

Podniósł ją i dokładnie obejrzał, zastanawiając się, co za impuls nakazał mu ją zwędzić.

— Tak naprawdę to nic nie wiem o Howardzie Bellu — rzekł.

Kate zdumiało, że tak nieoczekiwanie zmienił temat, ale zarazem poczuła dużą ulgę.

— Wiem tylko — mówił dalej Dirk — że sprzedaje mnóstwo książek i że wszystkie wyglądają mniej więcej tak jak ta.

— No cóż, krąży o nim bardzo wiele dziwnych opowieści.

— Na przykład?

— Na przykład o tym, co zamawia sobie do hotelowych apartamentów we wszystkich zakątkach Ameryki. Nikt nie zna szczegółów, po prostu dostają rachunki i płacą, ponieważ nikt nie ma ochoty pytać. Czują, że bezpieczniej jest nie wiedzieć. Szczególnie jeśli chodzi o kurczęta.

— Kurczęta? — zdziwił się Dirk. — Jakie kurczęta?

— No cóż, wygląda na to — mówiła Kate zniżając głos i pochylając się ku niemu — że zawsze każe sobie dostarczać do pokoju żywe kurczęta.

Dirk zasępił się.

— Na litość boską, po co? — spytał.

— Nikt nie wie. Nikt nie ma pojęcia, co się z nimi dzieje. Potem nikt nigdy już ich nie ogląda. Nawet — dodała pochylając się jeszcze mocniej i jeszcze bardziej zniżając głos — najmniejszego piórka.

Dirk zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest beznadziejnie niewinny i naiwny.

— A jak myśłą, co on z nimi robi? — zapytał.

— Nikt nie ma najmniejszego pojęcia. Nawet nie życzą sobie go mieć. Po prostu: nie wiedzą.

Wzruszyła ramionami i sama z kolei podniosła książkę.

— David — to znaczy mój brat — opowiada jeszcze, że facet ma doskonałe, bestsellerowe nazwisko.

— Naprawdę? — zdziwił się Dirk. — Dlaczego?

— David twierdzi, że to pierwsza rzecz, na jaką zwraca uwagę wydawca. Nie pyta: „Czy to jest w ogóle coś warte?”, ani: „Czy to będzie coś warte, kiedy pousuwamy te wszystkie przymiotniki?”, ale: „Czy jego nazwisko jest krótkie i dźwięczne, a imię odrobinę dłuższe?” Widzi pan? Bell jest napisane wielkimi, srebrnymi literami, a Howard mieści się idealnie nad nimi, wypisane nieco węższym krojem pisma. Gotowy znak firmowy. Magiczna sztuczka wydawców. Kiedy ma się takie nazwisko, wtedy nie ma znaczenia, czy się potrafi pisać, czy

nie. W przypadku Howarda Bella to znaczący atut. Ale kiedy napisać je zwyczajnie, nazwisko niczym się nie wyróżnia, tak jak tu, widzi pan.

— Co? — zdumiał się Dirk.

— Tutaj, na pańskiej kopercie.

— Gdzie? Proszę pokazać.

— To jego nazwisko, prawda? To przekreślone.

— Wielki Boże, ma pani rację! — krzyknął Dirk, spojrzawszy na kopertę.

— Z pewnością nie rozpoznałem go dlatego, że nie miało tego kształtu znaku firmowego.

— W takim razie, czy to coś jakoś się z nim łączy? — zapytała Kate podnosząc kopertę i oglądając ją uważnie.

— Sam jeszcze nie wiem, co to właściwie jest — odrzekł Dirk. — To coś łączy się z jakimś kontraktem i chyba z jakąś płytą.

— Mnie też się wydaje, że to może mieć coś wspólnego z płytą.

— Dlaczego pani się tak wydaje? — spytał ostro Dirk.

— No cóż, to nazwisko tutaj to Dennis Hutch, nieprawdaż?

— Ach tak. Widzę — odrzekł Dirk, sprawdzivszy na własne oczy. — Czy... eee... czy powinienem znać to nazwisko?

— No cóż, wydaje mi się — odpowiedziała powoli Kate — że to zależy od tego, czy pan jest żywy, czy martwy. To szef Aries Rising Record Group. Mniej sławny niż papież, gwarantuję, ale... Zakładam, że wie pan, kto to papież?

— Tak, tak — rzucił niecierpliwie Dirk. — Ten siwiuteńki gość.

— No właśnie. Wygląda na to, że jest nieomal jedyną osobą, do której swego czasu nie zaadresowano tej koperty. Jest tu Stan Dubcek, szef „Dubcek, Danton, Heidegger, Draycott”. O ile mi wiadomo, prowadzą kampanie reklamowe AR-RGH!

— Czego?

— ARRGH! Aries Rising Record Group Holdings. Te kampanie przyniosły agencji fortunę.

Spojrzała na Dirka.

— Sprawia pan wrażenie — oznajmiła — jakby niewiele pan wiedział o przemyśle rozrywkowym czy reklamowym.

— Mam ten zaszczyt — odrzekł Dirk, wdzięcznie kłoniąc głowę.

— No to co ma pan zamiar z tym zrobić?

— Będę wiedział, kiedy wreszcie zdołam to otworzyć. Ma pani przy sobie jakiś nóż?

Kate potrząsnęła przecząco głową.

— Kim w takim razie jest ten Geoffrey Anstey? — zapytała. — Tylko jego nazwisko nie zostało wykreślone. Jakiś pana przyjaciel?

Dirk pobladł nieznacznie i nie spieszył się z odpowiedzią. Potem rzekł:

— Ten dziwny osobnik, o którym pani wspominała, to „coś paskudnego w Woodshead”. Niech mi pani powtórzy, co powiedział.

— Powiedział: „Ja także mam nad panią przewagę, panno Schechter”.

Dirk przez chwilę ważył własne myśli.

— Wydaje mi się, że może grozić pani niebezpieczeństwo — powiedział w końcu.

— Chce pan powiedzieć, że jakiś przejeżdżający wariat może stuknąć we mnie na drodze? Ten rodzaj niebezpieczeństwa?

— Może nawet coś gorszego.

— Naprawdę?

— Tak.

— I cóż pana o tym przekonuje?

— Dla mnie samego nie jest to jeszcze całkiem jasne — odrzekł Dirk, nachmurzywszy się nieco. — Większość z tego, co aktualnie przychodzi mi do głowy, opiera się na założeniach, które są absolutnie niemożliwe, nie chcę się więc z nimi zdradzać. Jednakże nic innego nie przychodzi mi na myśl.

— Mnie za to przychodzi coś skrajnie odmiennego. Jak brzmiała zasada Sherlocka Holmesa? „Kiedy odrzuci się wszystko, co niemożliwe, wtedy to, co pozostaje, choćby nie wiem jak nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

— Odrzucam tę zasadę w zupełności — rzucił ostro Dirk. — To co niemożliwe nieraz posiada pewien rodzaj integralności, której zazwyczaj nie ma w sobie to, co jest zaledwie nieprawdopodobne. Jak często spotykała się pani z na pozór całkowicie racjonalnym wytłumaczeniem, które sprawdza się pod każdym możliwym względem prócz tego jednego — że jest rozpaczliwie nieprawdopodobne? Instynkt podpowiada: „No tak, ale on czy też ona zwyczajnie by tak nie postąpili”.

— No cóż, prawdę mówiąc, coś takiego przydarzyło mi się właśnie dzisiaj — przyznała Kate.

— Ach tak — rzucił Dirk, uderzając dłonią w stół, aż podskoczyły szklanki — ta pani dziewczynka na wózku inwalidzkim: idealny przykład. Pomysł, że jakimś sposobem uzyskuje ot tak, z powietrza, wczorajsze notowania giełdowe, jest zaledwie niemożliwy, zatem tak właśnie musi być, bo myśl, że przez tyle czasu ciągnie tak skomplikowany i pracochłonny żart, z którego nie ma żadnego pożytku, jest rozpaczliwie nieprawdopodobna. Pierwsza myśl zakłada co najwyżej, że istnieje coś, czego nie wiemy — sam Bóg przyzna, że jest tego dosyć. Ta druga natomiast sprzeciwia się czemuś fundamentalnie ludzkiemu, co znamy doskonale. Dlatego powinniśmy potraktować bardzo podejrzliwie jej zwodniczą racjonalność.

— Ale nie powie mi pan, o czym myśli.

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo zabrzmi to śmiesznie. Ale myślę, że grozi pani potworne niebezpieczeństwo.

— Świetnie. Co zatem pan radzi? — zapytała Kate, pociągając łyk drugiego drinka, którego do tej pory praktycznie nie tknęła.

— Sugeruję — odpowiedział poważnie Dirk — żeby wróciła pani do Londynu i przenocowała u mnie.

Kate ryknęła śmiechem, po czym natychmiast wydobyła chusteczkę, żeby powycierać się z soku pomidorowego.

— Bardzo przepraszam, cóż w tym nadzwyczajnego? — dopytywał się Dirk, dosyć wstrząśnięty.

— W życiu się nie zetknęłam z tak cudownie niedbale przygotowaną linią podrywu. — Uśmiechnęła się do niego. — Obawiam się, że odpowiedź będzie brzmiała twardo: nie.

Jest interesujący, myślała, nawet zabawny w dość ekscentryczny sposób, lecz straszliwie mało pociągający.

Dirk poczuł się bardzo niezręcznie.

— Mniemam, że zaszło tu jakieś okropne nieporozumienie — rzekł. — Proszę pozwolić mi wyjaśnić. . .

Tu przerwało mu nagłe zjawienie się mechanika z warsztatu, który przyniósł wieści o samochodzie Kate.

— Naprawiony — oznajmił. — Prawdę mówiąc, poza zderzakiem nie było tam nic do roboty. To znaczy — nic nowego. Ten dziwny dźwięk, o którym pani wspominała, to po prostu silnik. Ale będzie chodził. Musi go pani tylko trochę rozruszać, wcisnąć sprzęgło, a potem poczekać kapkę dłużej niż zwykle.

Kate ciut oschle podziękowała mu za radę, a potem uparła się, że pozwala Dirкови uiścić należne za naprawę 25 funtów.

Przed barem, na parkingu, Dirk znowu zaczął nalegać, by Kate jechała razem z nim. Lecz ona nieugięcie twierdziła, że potrzeba jej tylko dobrze przespanej nocy, po której rano wszystko wyda się jasne, przejrzyste i znacznie łatwiej będzie sobie z tym radzić.

Dirk upierał się, że powinni przynajmniej wymienić numery telefonów. Kate zgodziła się pod warunkiem, że Dirk znajdzie sobie inną drogę do Londynu i nie będzie siedział jej na ogonie.

— Niech pani będzie bardzo ostrożna — zawołał, kiedy jej citroen gramolił się na szosę.

— Będę — odrzyknęła Kate — a jeśli zdarzy mi się coś niemożliwego, pan dowie się o tym pierwszy.

Przez krótki moment żółte, chwiejne światła samochodu przesunęły się mato-wo w strugach światła płynących z okien pubu i zarysowały się ostro na tle ciężko zgarbionej szarości nocnego nieba, która wkrótce je pochłonęła.

Dirk miał ochotę pojechać za nią, ale wóz nie chciał zapalić.

## Rozdział piętnasty

Chmury zawisły nad ziemią jeszcze ciężiej, zbijając się w wielkie, posępne wieże, kiedy Dirk w nagłym przypiływie niepokoju poczuł się zmuszony jeszcze raz wezwać mechanika. Tym razem przyjechał swą furgonetką znacznie później i w znacznie gorszym, po drinku, humorze.

Wydał z siebie kilka nieopanowanych szczęknięć, które miały być szyderczym śmiechem z kłopotliwego położenia Dirka, potem niezgrabnie otworzył maskę jego samochodu i poddał go serii wszelkiego rodzaju mruknięć na temat kolektorów, pomp, alternatorów i szpaków. Zdecydowanie nie miał ochoty określić bliżej, czy da radę naprawić go jeszcze tego wieczoru, czy nie.

Dirk nie zdołał uzyskać żadnej znaczącej odpowiedzi — w każdym razie takiej, która mogła coś znaczyć dla niego — na pytania, co dolega pompie paliwowej, co mogłoby być przyczyną owych głośnych awantur w alternatorze, co blokuje rozrusznik oraz dlaczego zawodzi synchronizacja.

Zrozumiał w każdym razie, że mechanik utrzymuje, jakoby swego czasu jakaś rodzina szpaków uwiła sobie gniazdo w najbardziej newralgicznym miejscu silnika, po czym zginęła w potworny sposób wraz z najbardziej newralgicznymi jego częściami — i tu właśnie Dirk zaczął miotać się rozpaczliwie w poszukiwaniu wyjścia z tak fatalnej sytuacji.

Zauważył, że niedaleko stoi kombi mechanika z włączonym silnikiem, więc zdecydował, że nim odjedzie. Będąc odrobinę mniej powolnym i ociążałym biegaczem niż mechanik, zdołał urzeczywistnić swój plan przy minimalnym wysiłku.

Wjechał ostro w boczną drogę, po czym odjechał w noc i zaparkował trzy mile dalej. Zostawił włączone światła, spuścił powietrze z kół i ukrył się za drzewem. Po jakichś dziesięciu minutach zza rogu wystrzelił rozpędzony jaguar, minął furgonetkę, zatrzymał się gwałtownie i zawrócił. Mechanik pchnął na oścież drzwi i popędził odzyskiwać swoją własność, dając Dirkowi konieczną sposobność, aby ten mógł wyskoczyć zza drzewa i odzyskać swoją.

Dirk ruszył z wizgiem opon i odjechał ze swego rodzaju ponurym triumfem, nadal trawiony niepokojami, którym nie potrafił nadać imienia ani kształtu.

W tym czasie Kate włączyła się w niewyraźnie połyskujący, żółty strumień samochodowych świateł, który powiódł ją w końcu przez zachodnie przedmieścia

Acton oraz Ealing w samo serce Londynu. Przepelzła przez estakadę na Westway i wkrótce skręciła na północ, w kierunku Primrose Hill i swojego domu.

Lubiła przejeżdżać wzdłuż ogrodzenia parku, bo nocne zarysy drzew kołły ją i wzbudzały tęsknotę za cichym spokojem własnego łóżka.

Znalazła miejsce na parkingu niedaleko bramy swego domu. Wygramoliła się z samochodu i starannie go nie pozamykała. Nigdy nie zostawiała w środku nic wartościowego, uznała zatem, że wypadnie dla niej znacznie taniej, jeśli ludzie nie będą musieli się włamywać, żeby się o tym przekonać. Sam samochód kradziono już dwukrotnie, lecz za każdym razem odnajdywano porzucony w pobliżu.

Nie poszła prosto do domu, lecz ruszyła w przeciwnym kierunku, żeby w małym sklepiku na rogu kupić mleko i worki na śmieci. Zgodziła się z Pakistanką o miłej twarzy, że rzeczywiście wygląda na zmęczoną i że powinna się wcześniej położyć, lecz kiedy wracała, znów uczyniła drobne odstępstwo — podeszła do ogrodzenia parku i oparłszy się o kraty przez kilka chwil wpatrywała się w panujący za nimi mrok, wdychając ciężkie, zimne powietrze nocy.

W końcu ruszyła w kierunku domu. Skręciła w swoją ulicę, a kiedy mijała pierwszą latarnię, ta nagle zgasła, pozostawiając ją w kręgu ciemności.

Coś takiego zawsze wytrąci człowieka z równowagi.

Mówi się, że nie ma nic niezwykłego w tym, że ktoś, przypuśćmy, pomyśli nagle o osobie, o której nie myślał już od wielu lat, a następnego ranka dowiaduje się, że osoba ta właśnie zmarła. Mnóstwo ludzi przypomina sobie nagle kogoś, o kim nie myślało od wieków, mnóstwo też ludzi umiera. Prawa statystyki wykazują, że wśród populacji o liczebności, powiedzmy, Ameryki taki zbieg okoliczności musi zachodzić przynajmniej dziesięć razy dziennie, lecz nie jest on przez to ani trochę mniej straszny dla kogoś, komu właśnie się zdarzył.

Skoro zatem na ulicy przez cały czas pali się tak wiele żarówek w latarniach, co najmniej kilka z nich musi przepalić się dokładnie wtedy, kiedy ktoś pod nimi przechodzi. Lecz nawet jeśli tak jest, to i tak ten przypadek może rzeczonoego przechodnia wytrącić z równowagi, szczególnie kiedy następna latarnia, pod którą przechodzi, robi dokładnie to samo.

Kate stanęła jak wryta.

Jeśli może zaistnieć jeden zbieg okoliczności, powiedziała sobie, to może zaistnieć i drugi. A jeśli dwa zbiegi okoliczności zaistnieją jeden po drugim, to wciąż jeszcze mamy do czynienia ze zbiegiem okoliczności. Absolutnie nie ma się czym niepokoić, nawet jeśli wypali się tych kilka żarówek w latarniach. Znajdowała się na zupełnie normalnej, przyjaznej ulicy, otoczona domami, w których palą się światła. Spojrzała na najbliższy dom, lecz pech chciał, że akurat wtedy wszystkie światła w oknach od ulicy pogasły. Stało się tak najpewniej dlatego, że mieszkańcy wybrali ten właśnie moment, żeby przejść do innego pokoju, lecz choć świadczyło to jedynie o tym, jak zadziwiający potrafi być zbieg okoliczności, nie przyczyniło się do poprawy samopoczucia Kate.



Reszta ulicy nadal skąpana była w zamglonym, żółtym świetle. Tylko mały jej odcinek w najbliższym sąsiedztwie Kate został nieoczekiwanie pogrążony w ciemnościach. Następny krąg światła znajdował się zaledwie kilka kroków przed nią. Wzięła się w garść i pomaszerowała naprzód; dotarła w sam środek kręgu dokładnie wtedy, kiedy żarówka zgasła.

Mieszkańcy dwóch kolejnych domów, które mijala, także wybrali ten akurat moment, żeby opuścić frontowe pokoje — podobnie jak ich sąsiedzi po drugiej stronie ulicy.

Możliwe, że właśnie skończył się popularny program telewizyjny. O, właśnie. Wszyscy wstawali z foteli i wyłączali jednocześnie telewizory i światła, a wynikający stąd wzrost mocy przepalał niektóre żarówki. To pewnie coś w tym rodzaju. Wynikający stąd wzrost mocy przyprawiał i ją o lekko przyśpieszone bicie serca. Szła dalej, próbując zachować spokój. Kiedy tylko dotrze do domu, zaraz sprawdzi w programie, co też nadawali takiego, że przepaliło żarówki w trzech latarniach.

W czterech.

Zatrzymała się pod ciemną latarnią i stała zupełnie nieruchomo. Pociemniało kilka kolejnych domów. Szczególnie niepokoiło ją to, że ciemniały dokładnie w chwili, kiedy na nie spozrzała.

Rzut oka — pyk.

Spróbowała jeszcze raz.

Rzut oka — pyk.

Na który dom spozrzała, tam zaraz robiło się ciemno.

Rzut oka — pyk.

W paroksyzmie strachu pojęła, że musi powstrzymać się od zerkania w okna, w których jeszcze się świeci. Wszystkie racjonalne wytłumaczenia, jakie próbowała skonstruować, tłukły się teraz po jej głowie wrzeszcząc, żeby puściła je wolno. Puściła je więc. W obawie, że wygasi całą ulicę, próbowała przykuć wzrok do chodnika, lecz nie mogła od czasu do czasu nie spojrzeć, żeby sprawdzić, czy to działa.

Rzut oka — pyk.

Przykuła spojrzenie do wąskiego szlaku prowadzącego naprzód. Większa część ulicy pogrążona była w ciemnościach.

Między nią a jej bramą znajdowały się trzy ostatnie działające latarnie. Choć odwróciła wzrok, wydawało jej się, że kątem oka dostrzega światła w mieszkaniu na parterze.

Mieszkał tam Neil. Nie pamiętała nazwiska, pamiętała tylko, że jest basistą na pół etatu oraz sprzedawcą antyków i że od zawsze nie proszony udzielał jej rad na temat urządzenia mieszkania, a także podkradał jej mleko — tak więc ich wzajemne stosunki utrzymywały się na poziomie dosyć mroźnym. Lecz w tej chwili modliła się, żeby trwał na posterunku, by jej powiedzieć, co nie gra z jej kanapą,

żeby światła u niego nie zgasły, kiedy tylko zbłądzi ku nim wzrokiem oderwanym od chodnika, na którym pozostały już tylko trzy kręgi jasności, rozłożone równomiernie wzdłuż odcinka, jaki musiała przebyć.

Przez chwilę miała ochotę zawrócić, obejrzała się więc. Z tyłu była tylko ciemność, przechodząca w czerń tam, gdzie zaczynał się park — już nie kojący, ale groźny, pełen wyimaginowanych, ohydnie powykręcanych korzeni i ciemnej, zdradzieckiej, gnijącej ściółki.

Odwróciła się, opuszczając wzrok ku ziemi.

Trzy kręgi światła.

Latarnie nie gasły, kiedy na nie patrzyła; gasły — kiedy je mijała.

Zacisnęła powieki i wyobraziła sobie dokładnie, gdzie znajduje się następna latarnia. Podniosła głowę i ostrożnie otworzyła oczy, patrząc wprost w pomarańczowy blask przeświecający przez grube szkło.

Latarnia świeciła niewzruszenie.

Z oczyma utkwionymi w latarni tak, że światło wypalało jej zawijasy w siatkówce, posuwała się ostrożnie naprzód, krok po kroku, mocą woli próbując zmusić ją, by świeciła. Jak dotąd świeciła nieprzerwanie.

Postąpiła jeszcze krok. Nadal świeciła. Postąpiła kolejny krok, a lampa nie przestawała świecić. Teraz Kate znajdowała się niemal dokładnie pod nią, musiała wyciągnąć szyję, żeby mieć ją w polu widzenia.

Postąpiła jeszcze krok i zobaczyła, jak włókno w szkle zamigotało i natychmiast zagasło, pozostawiając pod jej powiekami swój rozedrgany obraz. Próbowała patrzeć niewzruszenie przed siebie, lecz przed oczyma skakały jej teraz jakieś rozszalałe kształty; poczuła, że traci panowanie nad sobą. Następna latarnia, do której rzuciła się biegiem, przywitała ją wszechogarniającą ciemnością. Stała zdyszana, oslepiła, próbując opanować się i odzyskać wzrok. Spojrzawszy w kierunku ostatniej latarni zobaczyła, że stoi pod nią jakaś postać. Rysowała się potężną sylwetką na tle skaczących pomarańczowych poblasków. Nad jej głową wznosiła się ogromna para rogów.

Z oszalałą intensywnością Kate wpatrywała się czas jakiś w rozfalowaną ciemność, wreszcie krzyknęła:

— Kto tam?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem czyjś głęboki głos powiedział:

— Czy masz coś, czym dałoby się usunąć te deski z moich pleców?

## Rozdział szesnasty

Tu nastąpiła jeszcze jedna pauza, tym razem o odmiennym, jakby nieco zmieszonym charakterze.

Trwała długo. Zawisła nad nimi nerwowo, zastanawiając się, z której strony zostanie przerwana. Zaciemniona ulica przybrała defensywny i zamknięty w sobie wygląd.

— Co?! — wrzasnęła w końcu Kate. — Pytam się: co?

Potężna sylwetka poruszyła się niespokojnie. Kate nie widziała jej dokładnie, ponieważ przed oczyma nadal skakały jej niebieskie cienie, wypalone pomarańczowym światłem.

— Zostałem — odrzekła postać — przyklejony do podłogi. Mój ojciec. . .

— Czy to pan. . . czy to ty — Kate trzęsła się z nieopanowanego gniewu — czy to ty odpowiadasz za to wszystko? — Odwróciła się i zamaszystym, gniewnym ruchem ręki omiotła ulicę, żeby ukazać ogrom koszmaru, przez jaki musiała przejść.

— Najważniejsze, żebyś wiedziała, kim jestem.

— Ach tak? — złościła się Kate. — Dobrze więc, ustalmy od razu nazwisko, żebym mogła z mety pobiec z nim na policję i zaskarżyć cię o umyślne przekroczenie tego czy tamtego, zastraszenie albo zakłócenie. . .

— Jestem Thor, bóg piorunów. Bóg deszczu. Bóg wysoko spiętrzonych chmur. Bóg błyskawic. Bóg prądów morskich. Bóg cząsteczek. Bóg sił wiążących i nadających kształt. Bóg wiatru. Bóg dojrzewających upraw. Bóg młota Mjollnira.

— Doprawdy?! — wrzała Kate. — No cóż, gdybyś wybrał sobie stosowniejszą chwilę, żeby o tym wspomnieć, bez wątpienia mogłoby mnie to zainteresować, ale teraz doprowadzasz mnie do szału. Włącz te cholerne światła.

— Jestem. . .

— Powiedziałam: włącz te cholerne światła!

Z czymś w rodzaju zawstydzonego poblasku latarnie zapłonęły z powrotem, a we wszystkich domach na nowo rozświectliły się okna. Żarówka nad głową Kate rozbłysła i niemal natychmiast trzasnęła. Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

— To była stara, słaba żarówka — wyjaśnił.

Ona zaś ani na chwilę nie spuszczała z niego roziskrzonego gniewem wzroku.

— Widzisz — mówił — mam twój adres. — Wyciągnął przed siebie świstek, który dała mu na lotnisku, tak jakby w ten sposób miał wszystko wyjaśnić i przywrócić na świecie prawa.

— Ja...

— Cofnij się! — krzyknął, zasłaniając ramionami twarz.

Wzniesając silny podmuch, wprost z nocnego nieba spadł nań nagle pikujący orzeł z bojowo rozczapierzonymi szponami. Thor okładał go i grzmocił, dopóki ogromny ptak nie odskoczył; omal nie rąbnął o ziemię, pozbierał się jednak, a następnie wolnymi uderzeniami skrzydeł wznosił się w powietrze, by usiąść w końcu na szczycie latarni. Zaciśnął na niej szpony i sadowił się przez chwilę, wprawiając cały słup w leciutkie drzenie.

— Wynoś się! — wrzasnął Thor.

Orzeł dalej siedział na latarni i wytrzeszczał na niego oczy. Potwornych rozmiarów stworzenie wyglądało jeszcze potworniej podświetlone od dołu pomarańczowym światłem. Na skrzydłach miało niezwykle, koliste znaki. Były to znaki, które, jak zdawało się Kate, musiała widywać już w nocnych koszmarach, lecz z drugiej strony wcale nie była pewna, czy nie śni właśnie teraz.

Nie ulegało wątpliwości, że znalazła wreszcie mężczyznę, którego szukała. Ta sama potężna sylwetka, te same lodowe oczy, to samo spojrzenie, pełne arogancji i leciutko zamglone; to był on, tylko że teraz na nogach miał potężne futrzane bucior, z jego ramion zwisały jakieś skóry, postronki i rzemienie, na głowie sterczał ogromny stalowy hełm z rogami, a swoją irytację kierował tym razem nie ku pracownicy lotniska, a ku potężnemu orłu, usadowionemu na latarni przy Primrose Hill.

— Wynoś się! — krzyknął do niego powtórnie. — To już nie leży w mojej mocy! Zrobiłem wszystko, co mogłem! Zadbalem o twoją rodzinę. Dla ciebie nic już nie mogę zrobić! Sam teraz jestem bezsilny i chory.

Kate, zaszokowana, dostrzegła nagle, że na lewym ramieniu, w które orzeł wbił szpony, mężczyzna ma wydarte potężne rowy. Krew przelewała się przez ich krawędzie jak ciasto przez brzegi formy.

— Wynoś się! — krzyknął jeszcze raz. Grzbietem dłoni otarł krew z ramienia i prysnął ciężkimi kroplami w kierunku orła, który z łoskotem skrzydeł szarpnął się w tył, lecz nie zwolnił uchwytu. Znienacka mężczyzna wyskoczył w górę i chwycił szczyt latarnianego słupa, który jął chwiać się niebezpiecznie pod ich połączonym ciężarem. Skrzecząc głośno, orzeł zaczął wściekle dziobać mężczyznę, podczas gdy ten próbował wolną ręką zrzucić go ze słupa.

Otworzyły się jakieś drzwi. Były to frontowe drzwi domu Kate, a wyjrzał zza nich mężczyzna ze schludnym wąsikiem i szarymi oprawkami okularów. To był Neil, sąsiad z dołu, we właściwym sobie nastroju.

— Słuchaj, naprawdę sędzę... — zaczął, lecz rychło się wydało, że nie ma pojęcia, co o tym sądzić, więc szybko wycofał się za drzwi, zabierając swój nastrój

ze sobą.

Postawny mężczyzna zebrał siły, potężnym skokiem frunął w powietrzu, by wylądować z lekkim, kontrolowanym zachwianiem na szczycie następnej latarni, która przygięła się trochę pod jego ciężarem. Przycupnięty, wbił wzrok w orła, który nieugięcie odwzajemniał mu spojrzenie.

— Wynoś się! — krzyknął Thor ponownie i pogroził mu pięścią.

— Gaarr! — odskrzeknął orzeł.

Zamaszystym ruchem ręki Thor wciągnął spod futer wielki, ciężki młot o krótkim trzonku i zaczął go znacząco przerzucać z ręki do ręki. Obuchem młota był z grubsza obrobiony kawał żelaza, rozmiarem i kształtem przypominający duży kufel do piwa, trzonkiem zaś krótki i gruby kawałek bardzo starego dębu z przytwierdzoną na końcu pętlą z rzemienia.

— Gaaarr! — skrzeknął jeszcze raz orzeł, lecz łypnął przy tym w stronę młota bystro i podejrzliwie. Ponieważ zaś Thor jął nim z wolna kołysać, ptak w napięciu przerzucał ciężar ciała z jednej nogi na drugą, w rytm kołysania.

— Wynoś się! — powtórzył jeszcze raz Thor, tym razem ciszej i o wiele groźniej. Wyprostował się na całą wysokość i zaczął zataczać młotem coraz większe kręgi. Znienacka cisnął nim prosto w orła. W tej samej chwili z lampy, na której siedział ptak, wystrzelił piorun wysokiego napięcia, zmuszając go do dzikiego, okraszonego wrzaskiem skoku. Młot przeleciał nieszkodliwie pod lampą, zawrócił w górę i pomknął w dal ponad parkiem, podczas gdy Thor, uwolniony nagle od jego ciężaru, zachwiał się i zakołysał niebezpiecznie na szczycie swej latarni, lecz zaraz okręcił się i odzyskał równowagę. Młóćąc wściekle ogromnymi skrzydłami, orzeł także zdołał odzyskać panowanie nad sobą, cofnął się w powietrzu, wykonał finalne pikowanie na Thora, którego bóg zdołał jednak uniknąć zeskakując tyłem na ziemię, po czym wzbił się wysoko w nocne niebo, na którym rychło stał się małym, ciemnym punktem, aż wreszcie zniknął zupełnie.

Młot powracał długimi susami, krzesząc przy tym obuchem chmury iskier z płyt chodnikowych, zakręcił się dwa razy w powietrzu, po czym opuścił obuch na chodnik tuż obok Kate i łagodnie oparł trzonek o jej nogę.

Starsza pani, która czekała cierpliwie ze swym pieskiem kryjąc się w cieniu zepsutej lampy, wyczuła słusznie, że nieporozumienie zostało już zażegnane, przeszła więc w milczeniu dalej. Thor poczekał uprzejmie, aż się oddali, a potem podszedł do Kate, która stała, przyglądając mu się, z założonymi rękami. Kiedy minął zgiełk ostatnich minut, okazało się niespodziewanie, że mężczyzna nie ma najmniejszego pojęcia, co powiedzieć, więc na razie zapatrzył się, zamyślony, w niezbyt odległą dal.

W Kate zaś poczęło formować się mgliste odczucie, że myślenie jest dlań czynnością zupełnie odrębną, zadaniem, które wymaga swej własnej, wyłącznej przestrzeni. Nie dawało się łatwo pogodzić z innymi czynnościami: chodzeniem, mówieniem czy kupowaniem biletów lotniczych.

— Lepiej zajmijmy się twoim ramieniem — orzekła i powiodła go na schody prowadzące do jej mieszkania. Potulnie ruszył za nią.

Kiedy otworzyła frontowe drzwi, odkryła, że w korytarzu czeka oparty o ścianę Neil, który gapi się ponuro i znacząco na automat do coca-coli, stojący przy przeciwległej ścianie i zajmujący nieumiarkowanie dużo miejsca.

— Nie mam pojęcia, co z tym zrobimy, naprawdę nie mam — odezwał się.

— Skąd to się tutaj wzięło? — zapytała Kate.

— No cóż, obawiam się, że to ja muszę zadać to pytanie tobie — odrzekł Neil. — Nie mam pojęcia, w jaki sposób chcesz to przetransportować na górę. Jeśli mam być szczery, nie widzę sposobu. I powiedzmy sobie otwarcie: nie przypuszczam, żeby ci to odpowiadało, kiedy już zdołasz to wtaszczyć. Wiem, że to bardzo nowoczesnie i po amerykańsku, ale pomyśl tylko: masz taki ładny francuski stolicek z czereśniowego drewna, sofę, która może być bardzo ładna, kiedy zdejmiesz z niej tę paskudną kapę Colliera Campbella, tak jak ci to od wieków powtarzam, tylko ty nigdy nie słuchasz, więc nie sędzę, żeby to-to tam pasowało. A nawet nie jestem pewien, czy powinienem na to pozwolić, rozumiesz, to bardzo ciężki przedmiot, pamiętasz, co ci mówiłem o podłogach w tym domu. Na twoim miejscu przemyślałbym to sobie jeszcze raz, naprawdę bym przemyślał, wiesz?

— Tak, Neil, ale jak to się tutaj znalazło?

— No cóż, dostarczył to twój przyjaciel, godzinę czy dwie temu. Nie wiem, gdzie on się tak wyćwiczył, ale przyznam, że sam chętnie zajrzałbym do tej siłowni. Mówiłem, że mam na ten temat sporo wątpliwości, ale on się uparł i w końcu nawet musiałem mu pomóc. Ale całą tę sprawę trzeba bardzo poważnie przemyśleć. Spytałem twego przyjaciela, czy lubi Wagnera, ale nie zareagował zbyt entuzjastycznie. Tak więc sam już nie wiem, co masz zamiar z tym zrobić?

Kate wzięła głęboki oddech. Zaproponowała swemu postawnemu gościowi, żeby sam udał się na piętro, a ona zaraz do niego dołączy. Thor minął ich ciężkim krokiem.

Neil intensywnie wpatrywał się w oczy Kate, żeby wyczytać z nich jakąś wskazówkę na temat tego, co właściwie się dzieje, lecz one pozostały nieprzeniknione.

— Przykro mi, Neil — odezwała się Kate rzeczowym tonem. — Ten automat stąd zniknie. To nieporozumienie. Do jutra wszystko wyjaśnię.

— To bardzo pięknie — mówił Neil — ale w jakiej znalazłem się sytuacji? To znaczy, rozumiesz chyba mój problem.

— Nie, Neil, nie rozumiem.

— No cóż, mam tę... rzecz tu na dole, ty masz tę... osobę tam na górze. A cała ta sprawa to jedno wielkie zamieszanie.

— Co mogłabym więc zrobić, żeby było lepiej?

— No cóż, to nie takie znowu proste, prawda? To znaczy, uważam, że powinnaś to sobie trochę przemyśleć i tyle. To znaczy: to wszystko. Mówiłaś mi,

że wyjeżdżasz. A dziś po południu słyszałem, jak ktoś puszcza wodę w łazience. Co miałem sobie pomyśleć? I to po tym, jak uparłaś się, żeby mieć kota, chociaż wiesz, że nie lubię kotów.

— Wiem, Neil. Dlatego właśnie poprosiłam panią Grey z przeciwka, żeby się nim zajęła.

— Tak, i sama widzisz, co się jej przytrafiło. Zmarła na zawał. Pan Grey bardzo to przeżył, wiesz?

— Nie sądzę, aby to stało się wskutek tego, że poprosiłam ją, żeby zajęła się moim kotem.

— No dobrze, mówię tylko, że on bardzo to przeżył.

— Oczywiście, Neil. Przecież to była jego żona.

— No dobrze, przecież ja nic nie mówię. Mówię tylko, że moim zdaniem powinnaś to sobie przemyśleć. A co, na litość boską, zrobimy z tym? — dodał, przenosząc uwagę z powrotem na automat do coca-coli.

— Powiedziałam, że przypilnuję, żeby stąd zniknął, Neil — rzekła Kate. — Z rozkoszą stanę tu i zacznę wrzeszczeć, jeśli uznasz, że to w czymś pomoże, ale...

— Słuchaj, skarbie, ja tylko mówię, jak jest. I mam nadzieję, że nie będziecie tam na górze zbyt hałasować, bo dziś wieczorem muszę poćwiczyć, a wiesz, że kiedy się koncentruję, potrzeba mi spokoju. — Rzucił Kate znaczące spojrzenie znad okularów i zniknął w swoim mieszkaniu.

Kate stała w milczeniu i próbowała — na ile potrafiła sobie przypomnieć — policzyć do dziesięciu, a potem ruszyła po schodach, wierna wyznawczyni, śladami boga grzmotu, czując, że nie ma ochoty ani na teologię, ani na meteorologię. Dom począł drgać i trząść się w takt motywu przewodniego z „Pieśni Walkirii”, granej na gitarze basowej.

## Rozdział siedemnasty

Kiedy w godzinie szczytu Dirk tkwił na skraju Kuston Road, złapany w korek, który zaczął się gdzieś w późnych latach siedemdziesiątych i który za kwadrans dziesiąta owego czwartku nie wykazywał żadnych oznak spadku nasilenia, uświadomił sobie nagle, że właśnie wpadło mu w oko coś znajomego.

Powiedziała mu o tym jego podświadomość — ta doprowadzająca człowieka do pasji część ludzkiego mózgu, która nigdy nie odpowiada na żadne pytania, a tylko trąca znacząco, potem siada w kącie i nic nie mówiąc pogwizduje sobie.

No jasne, że właśnie widziałem coś znajomego — mamrotał Dirk w myślach do swej podświadomości. — Przejeżdżam tą zapyziałą przelotową przynajmniej dwadzieścia razy w miesiącu. Przypuszczam, że jest mi tu znana każda pojedyncza zapałka w rynsztoku. Nie mogłabyś podać trochę więcej szczegółów?

Podświadomość jednakże nie miała zamiaru dać się zastraszyć i pozostała niema. Nie miała nic do dodania. To miasto i tak pełne jest szarych furgonetek. To nic szczególnego.

— Gdzie?! — mruknął do siebie dziko, wykręcając się w fotelu to w jedną, to w drugą stronę. — Gdzie ja widziałem szarą furgonetkę?

Nic.

Utkwił w korku na dobre, więc i tak nie mógł wykonać żadnego manewru. Wyskoczył z samochodu i zaczął przepychać się wśród stłoczonych pojazdów, podskakując raz za razem, żeby zobaczyć, gdzie — jeśli w ogóle — mógł dojrzeć szarą furgonetkę. Jeżeli rzeczywiście ją widział, to w jednej chwili zdołała gdzieś zniknąć. Podświadomość siedziała w milczeniu.

Samochody nadal stały, więc próbował się przemknąć jeszcze bardziej do tyłu, lecz drogę zagroził mu posłaniec na brudnym kawasaki, sunący skrajem szosy. Dirk wdał się z motocyklistą w krótką sprzeczkę, którą przegrał, ponieważ jeździec na kawasaki nie słyszał jego kwestii. Dirk wycofał się w końcu wraz z odpływem morza aut, które właśnie zaczęły sunąć powolutku do przodu wszystkimi pasmami jezdni z wyjątkiem tego, gdzie stał jego pozbawiony kierowcy jaguar, a za nim sznur trąbiących samochodów.

Buczenie klaksonów nagle dodało mu skrzydeł, kiedy tak kołysząc się i podskakując przedzierał się przez kolumny aut. Niespodziewanie odkrył, iż same-



mu sobie przypomina pomyleńców, których widywał na ulicach Nowego Jorku, a którzy wyskakiwali z nienacka z samochodów, żeby uświadomić nadjeżdżającym sznurom pojazdów, że oto nadchodzi Dzień Sądu, w powietrzu wisi inwazja obcych, a w Pentagonie pleni się korupcja i niekompetencja. Wzniósł więc ręce i zaczął wykrzykiwać:

— Bogowie chodzą po ziemi! Bogowie chodzą po ziemi!

W rezultacie udało mu się rozplomienić uczucia tych, którzy przyciskali klaksony przeciwko unieruchomionemu jaguarowi, więc wkrótce całość wzniosła się crescendo w majestatyczną kakofonię, nad którą pobrzmiwał dźwięcznie głos Dirka.

— Bogowie chodzą po ziemi! Bogowie chodzą po ziemi! — darł się. — Bogowie chodzą po ziemi! Dziękuję państwu! — dodał znikając we wnętrzu samochodu, który natychmiast uruchomił i zjechał na bok, by przepuścić całą tę stłoczoną masę, nareszcie swobodną, przodem.

Zastanawiał się, dlaczego przemawiał z takim przekonaniem. „Akt Boży”. Zwyczajny przypadek, niedbały zwrot, za pomocą którego ludzie mogą wygodnie kwalifikować niewygodne zjawiska, nie dopuszczające żadnych racjonalnych wyjaśnień. Lecz właśnie owa przypadkowa niedbałość przemawiała do Dirka szczególnie mocno, ponieważ często słowa użyte od niechcienia, jakby nie miały właściwie znaczenia, uwalniały pewne głęboko ukryte i dobrze strzeżone prawdy.

Niewytłumaczalne zniknięcie. Oslo i młot: maciupęńki, maleńki zbieg okoliczności, który poruszył leciutko, leciuteńko jakąś strunę. Jednakże struna ta zaśpiewała dźwięcznie w samym środku codziennego zgiełku, a za nią odezwały się inne cichutkie struny. „Akt Boży”. Oslo i młot. Mężczyzna z młotem, który próbuje dostać się do Norwegii, napotyka przeszkody, ponosi go i w rezultacie mamy „Akt Boży”.

A gdyby, myślał Dirk, gdyby był nieśmiertelny, to nadal by żył. Przecież to właśnie oznacza, że ktoś jest nieśmiertelny.

Skąd nieśmiertelna istota miałaby wziąć paszport?

Całkiem po prostu: skąd?

Dirk usiłował wyobrazić sobie, co by się działo, gdyby — weźmy pierwsze z brzegu imię — taki bóg Thor, ten z norweskim pochodzeniem i młotem, przybył przypadkiem do biura paszportowego i próbował wyjaśnić, kim jest i jak to się stało, że nie ma metryki urodzenia. Nie spotkałby się z oburzeniem, przerażeniem ani głośnymi okrzykami zdumienia, co najwyżej z tępym, biurokratycznym: „Niemożliwe”. I nie chodziłoby wcale o to, czy mu ktoś wierzy, czy nie — cała sprawa rozbiłaby się o urzędową metrykę urodzenia. Mógłby tam stać cały dzień czyniąc cud za cudem, gdyby miał taką ochotę, lecz wraz z godziną zamknięcia, jeśli nadal nie posiadałby ważnej metryki urodzenia, poproszono by go, aby wyszedł.

No i karty kredytowe.

Gdyby — by podtrzymać tę wysoce bezpodstawną hipotezę — bóg Thor istniał rzeczywiście i z nieznanych przyczyn przebywał na swobodzie akurat w Anglii, to w takim razie byłby chyba jedyną w tym kraju osobą nie bombardowaną nieustannie zaproszeniami do skorzystania z usług American Express i darmowymi katalogami, pełnymi nieprzyjemnie okazałych przedmiotów, hojnie obłożonych brązowym plastikiem.

Na tę myśl Dirkowi aż dech zaparło z zachwytu.

To znaczy, gdyby był jedynym bogiem biegającym na swobodzie — to zaś, kiedy już przyjęło się pierwszą ekstrawagancką hipotezę, wydaje się mało prawdopodobne.

Lecz wyobraźmy sobie przez chwilę, jak taka osoba usiłuje wyjechać z kraju — nie wyposażona ani w paszport, ani w karty kredytowe, a jedynie w moc ciskania gromów i kto wie co jeszcze. Bardzo możliwe, że trzeba by wyobrazić sobie scenkę bardzo podobną do tej, która naprawdę miała miejsce na drugim terminalu lotniska Heathrow.

Ale też po co, jeśli się jest staronorweskim bogiem, opuszczać kraj akurat według rozkładu linii lotniczych? Przecież mają chyba jakieś swoje sposoby? Dirk sądził dotąd, że jeśli jest się nieśmiertelnym bogiem, to jednym z ubocznych tego skutków jest właśnie zdolność latania o własnych siłach. Z tego, co zapamiętał z młodzieńczej lektury norweskich legend, bogowie nieustannie latali z miejsca na miejsce, nigdzie natomiast nie było wzmianki o tym, żeby pałętali się po hali odpraw, wcinając czerstwe bułki. Zgoda, świat wtedy nie był najeżony kontrolerami lotów, radarami, antyrakietowymi systemami ostrzegania ani tym podobnymi. Mimo to jeden szybki przeskok nad Morzem Północnym nie powinien stanowić dla boga większego problemu, szczególnie kiedy sprzyja pogoda, czego, będąc bogiem piorunów, należałoby od niej oczekiwać, w przeciwnym zaś wypadku żądać natychmiastowych wyjaśnień. Nieprawdaż?

W umyśle Dirka zagrała jeszcze jedna cicha nuta i od razu rozplynęła się w ogólnym rozgardiaszu.

Przez chwilę zastanawiał się, jak to jest być wielorybem. Fizycznie, myślał sobie, jest chyba dobrze umiejscowiony, by wczuć się w sytuację, choć wieloryby są z pewnością lepiej przystosowane do swego trybu życia, który polega głównie na prześlizgiwaniu się przez rozległe połacie pelagicznego błękitu, niż on do swego, który polega na przedzieraniu się przez strumienie samochodów na Pentomdille Road w znużonym, starym jaguarze — ale naprawdę myślał tylko o wielorybim śpiewie. W przeszłości wieloryby umiały śpiewać do siebie rozdzielone ogromnymi połaciami oceanu, a nawet z jednego oceanu do drugiego, dlatego że dźwięki pod wodą mogą pokonywać bardzo wielkie odległości. Ale teraz w każdym zakątku oceanu słyhać nieustanny jazgot silników łodzi motorowych, przez który śpiewy i wieści wielorybów w żaden sposób nie mogą się przebić.

I co z tego, do nagłej cholery — w ten mniej więcej sposób traktuje się zwykle

ten problem i całkiem to zrozumiałe, myślał Dirk. W końcu, kto ma ochotę wysłuchiwać bandy tłustych ryb, no dobra — ssaków, burczących jeden do drugiego?

Tymczasem opanowało go poczucie przeogromnej straty i żalu, bo wydało mu się, że gdzieś wśród gorączkowego szumu informacyjnego, który rozdzwaniał się codziennie w życiu ludzi, usłyszał kilka nutek, które oznaczają postęпки bogów.

Kiedy skręcił na północ, w Islington, i rozpoczął długi przejazd wzdłuż pizzerii i agentów nieruchomości, poczuł, że dostaje białej gorączki na myśl, jak nędzny muszą wieść teraz żywot.

## Rozdział osiemnasty

Cienkie zygzaki błyskawic rozbiegły się pod ciężkim pułapem nieba. Ściszony trzask pioruna ponaglił chmury i wycisnął z nich kilka paskudnych kropeł tłustawej mżawki.

Pod sklepieniem nieba ciągnęło się rozległe zbiorowisko cudaczych wieżyczek, poskręcanych wież oraz iglic, które nieustannie kłuły, bodły i jątrzyły niebo, aż zdawało się, że zaraz pęknie i zaleje je powodzią ropiejących obrzydlistw.

Wysoko wśród połyskującej od świateł ciemności stały nieme postacie, trzymające straż za długimi tarczami, obok przykucnęły zapatrzone we wraże niebios smoki, do wielkich zaś żelaznych wrót, przez które wiodła droga do jego królestwa i wysoko sklepionych sal Walhalli, zbliżał się Odyn, ojciec bogów Asgardu. W powietrzu kłębiły się ciche poszczekiwanie ogromnych uskrzydłonych psów, witających pana w siedlisku władzy. Między wieżami i pinaklami przeleciała błyskawica.

Wielki, starożytny i nieśmiertelny bóg Asgardu wracał do stolicy swego królestwa w stylu, którym sam by się zdumiał zaledwie kilka wieków wcześniej, w kwiecie wieku — bo nawet bogowie mają swoje kwiecie wieku, kiedy ich siły są nieokiełznane, kiedy żywią świat ludzi i zarazem nim trzęsą, świat, który swą potrzebą powołał ich do życia — Odyn wracał wielką, nieoznakowaną, szarą furgonetką.

Furgonetka zatrzymała się na ogrodzonym placu.

Drzwi kabiny kierowcy otworzyły się i pojawił się w nich mężczyzna o tępym wyrazie twarzy, odziany w szary uniform. Wybrano go do tej pracy, ponieważ nigdy nie zadawał pytań; nie powodowała nim bynajmniej wrodzona dyskrecja — po prostu żadne pytania nigdy nie przychodziły mu na myśl. Poruszając się niemrawym, rozkołysanym krokiem, jak wiosło przedzierające się przez owsiankę, podszedł do tylnych drzwi pojazdu i otworzył je — a była to skomplikowana procedura, wymagająca manipulowania wieloma naraz dźwigniami i suwakami.

Drzwi otworzyły się na oścież, a gdyby była przy tym Kate, pewnie wstrząsnęłaby nią myśl, że być może ta furgonetka przewozi jednak albańską elektryczność. Hillowa — facet nazywał się Hillow — przywitała bowiem jasna poświata, lecz nie uznał tego za coś nadzwyczajnego. Albowiem jasnej poświaty spodziewał się

zawsze, ilekroć otwierał tylne drzwi furgonetki. Za pierwszym razem pomyślał tylko: „O, jasna poświata. No dobra”, i więcej nie zawracał sobie tym głowy, dzięki czemu zyskał stałe zatrudnienie na tak długo, jak długo zechce mu się żyć.

Jasna poświata zaczęła ustępować, aż w końcu wsiąkła w postać starego, bardzo starego mężczyzny na szpitalnym wózku, dogładanego przez niedużą postać, którą Hillow uznałby prawdopodobnie za najbardziej złowieszczą wyglądającą osobę, jaką w życiu widział, gdyby miał dość inteligencji, żeby przypomnieć sobie wszystkich ludzi, jakich widział, i jeszcze dokonać porównania. Czynność ta jednakże wymagała nieco więcej wysiłku, niż Hillow skłonny był w nią włożyć. Aktualnie zaś myślał tylko o tym, że ma pomóc niedużej osobie ściągnąć wózek starego na ziemię.

Operację przeprowadzono bez zakłóceń. Nogi i kółka wózka były wszak najnowszym cudem gładko działającej, stalowonierdzewnej technologii. Odblokowywały się, toczyły i obracały w skomplikowanym systemie wzajemnych połączeń, dzięki któremu pokonywanie stopni odbywało się płynnym ślizgiem.

Na prawo znajdował się obszerny przedpokój, wyłożony pięknie rzeźbioną boazerią; z jego ścian sterczały wielkie marmurowe uchwyty na łuczywa. Przedpokój ów prowadził do ogromnego holu o kolebkowym sklepieniu. Po lewej zaś stronie znajdowało się wejście do komnat i tam skierował się Odyn, żeby przygotować się do wieczornego spotkania.

Jakże tego nie znośli! „Wygнали człowieka z własnego łóżka” — mamrotał, choć wziął przecież łóżko ze sobą. Znów będzie musiał wysłuchiwać samochwalczych frazesów z ust własnego twarogłowego, burzliwego syna, który nie chce zaakceptować, nie może czy po prostu nie ma dość inteligencji, by zaakceptować realia. Jeśli nie zechce ich w końcu przyjąć do wiadomości, dziś w nocy Asgard będzie oglądał unicestwienie nieśmiertelnego boga. Wszystko to, zrzędził w myślach Odyn, to za wiele jak dla osoby w jego wieku, bardzo zaawansowanym, choć w żadnym konkretnym kierunku. A przecież chciał tylko siedzieć sobie spokojnie w swoim uwielbianym szpitalu. Ugoda, dzięki której trafił do tego miejsca, była najlepsza z możliwych, a choć nie obyło się bez kosztów, koszty te należało po prostu ponieść i tyle. Nastaly nowe porządki, a on nauczył się w nich żyć. Ci, którzy tego nie potrafią, będą musieli ponieść konsekwencje. Z próżnego i bóg nie należy.

Po dzisiejszej nocy będzie mógł na zawsze powrócić do swego życia w Woodshad, co będzie nadzwyczaj przyjemne. Coś w tym rodzaju powiedział nawet do Hillowa:

— Czysta biała pościel — mówił, a tamten tępo kiwnął głową. — Lniana pościel. Czysta pościel, codziennie.

Hillow wmanewrował wózek na stopień.

— Być bogiem, Hillow — ciągnął Odyn — było bardzo, bardzo niehigienicznie. Słuchasz mnie? Nie było komu zadbać o pościel. To znaczy: rzeczywiście

o nią zadbać. Czy przypuściłbyś coś podobnego? W mojej sytuacji? Ojca wszystkich bogów? Nie było nikogo, absolutnie nikogo, kto podszedłby i powiedział: „Panie Odwiń” — zachichotał. — Nazywają mnie panem Odwinem, wiesz? Nie bardzo zdają sobie sprawę, z kim mają do czynienia. Nie wydaje mi się, żeby mogli dać sobie radę z tą świadomością, co Hillow? No, ale wtedy nie było nikogo, kto by przyszedł i powiedział: „Panie Odwiń, przesłałam pańskie łóżko i ma pan teraz czystą pościel”. Nikogo. Wciąż tylko gadali o rąbaniu, plądrowaniu, o rozłupywaniu na dwoje. Bez przerwy gadali o czymś potężnym, o czymś roztrzaskiwanym, o czymś jęczącym pod jarzmem, lecz bardzo niewiele uwagi poświęcano, jak sobie teraz uświadamiam, sprawom prania. Pozwól, że podam ci przykład. . .

W tej jednak chwili jego reminiscencje zostały na krótko zakłócone, ponieważ pojazd dotarł do potężnych wrót, strzeżonych przez wielkiego, spoconego, rozlanego stwora, który, wzięwszy się pod boki, stał chwiejnie na ich drodze. Toe Rag, zachowujący do tej pory pełne napięcia milczenie, wysunął się przed łóżko, popędził naprzód i szybko zamienił słówko ze spoconym stworem, który, żeby go dosłyszeć, musiał schylić się tak nisko, że twarz nabiegła mu krwią. Potem, służalczy i połyskujący, wycofał się natychmiast w swe żółte leże, a wózek wtoczył się pomiędzy wielkie hale, komnaty i korytarze, po których błąkały się potężne echa i gdzie buchały cuchnące odory.

— Pozwól, że podam ci przykład, Hillow — ciągnął Odyn. — Weźmy taką Walhallę. . .

## Rozdział dziewiętnasty

Skrećanie na północ to manewr, który w zwykłych okolicznościach przywracał Dirkowi poczucie rozsądku i zdrowe zmysły, lecz tym razem i on nie mógł zrównoważyć złych przeczuć.

Potem zaczęło padać, co zwykle też przynosiło pewnego rodzaju ulgę, lecz jak na tak ciężko zachmurzone niebo deszcz był wyjątkowo żaloszny i nędzny, więc w rezultacie wzmocnił tylko poczucie klaustrofobii i frustracji, które trzymały noc w mocnym uścisku. Dirk włączył wycieraczki — zapiszczały niechętnie, bo nie miały dość wody do wycierania, więc je wyłączył. Krople deszczu szybko upstrzyły szybę.

Jeszcze raz włączył wycieraczki, lecz one nadal upierały się, że nie warto się trudzić, drapiąc i piszcząc w proteście. Ulice stały się zdradziecko śliskie.

Dirk potrząsnął głową. Zachowujesz się dość absurdalnie — mówił sobie — i to w najgorszy z możliwych sposób. Pozwolił sobie na cudaczne fantazje, jakimi w gruncie rzeczy pogardzał. Sam siebie zadziwiał najdzikszymi rojeniami, które osnuł na najbardziej bezpodstawnym z... No cóż, trudno to nawet nazwać dowodem, co najwyżej domniemaniem.

Jakiś wypadek na lotnisku. Prawdopodobnie całkiem zwyczajna rzecz. Człowiek z młotem. I co z tego?

Jakaś szara furgonetka, którą Kate Schechter widziała w szpitalu. Nic nadzwyczajnego. Dirk prawie się z nią zderzył, ale i tym razem było to wydarzenie najzwyczajniejsze w świecie.

Automat do coca-coli; tego nie wziął pod uwagę.

W jaki sposób automat do coca-coli mógłby pasować do dzikich rojeń na temat starożytnych bóstw? Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodzi mu do głowy, jest zbyt śmieszne, żeby je werbalizować, więc nie chce go nawet przyjąć do wiadomości.

W tym momencie Dirk odkrył, że przejeżdża właśnie obok domu, w którym dzisiejszego poranka miał spotkać się ze swym klientem, którego głowę jakiś zielonooki, wymachujący kosą i podpisanym krwią cyrografem czart umieścił na obracającym się talerzu gramofonowym, a następnie rozpułynał się w powietrzu.

Mijając dom, Dirk zerknął w jego kierunku, a kiedy tuż przed nim oderwało

się od krawężnika wielkie, ciemnoniebieskie BMW, wpakował się prosto w jego tylny błotnik i po raz drugi tego dnia musiał wyskakiwać z auta wrzeszcząc.

— Na litość boską, nie mógłbyś patrzeć, gdzie jedziesz? — wykrzyknął w nadziei, że ukradnie przeciwnikowi najlepszy wstęp. — Co za durni ludzie! — ciągnął na jednym oddechu. — Gonia tam i z powrotem, jeżdżą niedbale i nieuważnie! Bezczelna napaść!

Trzeba zmieszać przeciwnika — myślał. To trochę tak, jakby dzwonić do kogoś i rzucać cierpkie: „Tak? Słucham?”, kiedy tamten podniesie słuchawkę. Była to ulubiona rozrywka Dirka na długie, upalne letnie popołudnia. Pochylił się i obejrzał namacalne wgłębienie w karoserii BMW, które — jedno i drugie, to znaczy i BMW, i wgniecenie — niech je jasna cholera, było w najoczywistszy sposób nowiusieńkie.

A niech to zaraza, a niech to jasny szlag trafi! — pomyślał.

— Patrz, co zrobiłeś z moim zderzakiem! — wrzasnął. — Mam nadzieję, że masz dobrego adwokata!

— Sam jestem dobrym adwokatem — odpowiedział cichy, spokojny głos, któremu towarzyszył cichy, spokojny pstryk.

Ogarnięty chwilowym lękiem Dirk podniósł wzrok. Ten cichy pstryk to był tylko dźwięk zamykanych drzwiczek samochodu.

Mężczyzna miał na sobie włoski garnitur, także cichy i spokojny. Miał ciche, spokojne okulary, cicho i spokojnie przystrzyżone włosy, a choć muszka z natury swej nie bywa cicha i spokojna, ta akurat muszka była mimo wszystko bardzo cicho i spokojnie nakrapianym przedstawicielem gatunku. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni wąski portfel i cienki, srebrny długopis. Bez zbędnego hałasu podszedł do tylnego zderzaka jaguara i zanotował numer rejestracyjny.

— Czy ma pan wizytówkę? — zapytał nie podnosząc wzroku. — Oto moja — dodał, wyjmując jedną z portfela. Zanotował coś na odwrocie. — Mój numer rejestracyjny — rzekł — i nazwa towarzystwa ubezpieczeniowego. Zechce pan podać mi nazwę pańskiego. Jeśli nie ma pan jej przy sobie, moja sekretarka zadzwoni do pana w tej sprawie.

Dirk westchnął, doszedłszy do wniosku, że awanturą nic tu nie wskóra. Wyłowił z kieszeni portfel i przebiegł palcami przez rozmaite wizytówki, które nie wiedzieć jak się tam nagromadziły. Przez sekundę igrał z myślą, czy nie wcielić się w Wesleya Arlotta, konsultanta do spraw transoceanicznej żeglugi jachtowej z, jak się wydaje, Arkansas, lecz odrzucił ją. W końcu facet ma jego numery rejestracyjne, a choć Dirk nie przypominał sobie raczej, żeby płacił ostatnio jakąś składkę ubezpieczeniową, nie przypominał sobie także, żeby jej nie płacił, co mogło stanowić dobrą wróżbę — rzecz jasna, w granicach rozsądku. Z bolesnym skurczem twarzy podał prawdziwą wizytówkę. Mężczyzna rzucił okiem.

— Pan Gently — rzekł. — Prywatny detektyw. O, przepraszam, prywatny holistyczny detektyw. OK.



Schował wizytówkę, nie interesując się nią dalej.

Nigdy dotąd Dirka nie potraktowano tak protekcjonalnie. W tej chwili dał się słyszeć jeszcze jeden cichy trzask z drugiej strony samochodu. Dirk zerknął w tę stronę i zobaczył, że stoi tam kobieta w okularach w czerwonej oprawce, która obdarza go lodowatym półuśmiechem. To właśnie z nią rozmawiał tego ranka przez mur w ogrodzie Geoffreya Ansteya, a więc mężczyzna, jak wnioskował Dirk, jest zapewne jej mężem. Przez moment zastanawiał się, czy nie powinien powalić tych dwoje na chodnik, a następnie gwałtownie i z wigorem przesłuchać, lecz niespodziewanie poczuł się nadzwyczaj znużony i wyczerpany.

Odkłonił się kobiecie ledwo dostrzegalnym skinieniem głowy.

— Już po wszystkim, Cynthio — odezwał się mężczyzna i strzelił ku niej swym suchym uśmiechem. — Wszystko załatwione.

Leciutko skinęła głową, po czym oboje wsiedli do BMW, a po chwili bezszelestnie odjechali i zniknęli za rogiem. Dirk rzucił okiem na otrzymaną wizytówkę. Clive Draycott. Pracował w dobrej firmie adwokackiej w City. Dirk wepchnął wizytówkę do portfela, wsiadł do swego jaguara i pojechał do domu, gdzie na schodach znalazł wielkiego złocistego orła, który czekał na niego cierpliwie.

## Rozdział dwudziesty

Kate naskoczyła na swego gościa natychmiast, kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi jej mieszkania i mogła być mniej więcej pewna, że Neil nie wyśliźnie się z powrotem na korytarz i nie przyczai się, pełen dezaprobaty, na schodach. Nieustający łomot gitary basowej dawał jej przynajmniej jakąś gwarancję prywatności.

— No dobra — cisnęła się wściekle — więc o co chodzi z tym orłem? O co szło z tymi latarniami? No?

Skandynawski bóg piorunów popatrzył na nią zmieszany. Musiał zdjąć wielki hełm z rogami, bo zawadzał nim o sufit i rysował tynk. Wepchnął hełm pod pachę.

— O co chodzi — nie ustępowała Kate — z tym automatem do coca-coli? O co chodzi z tym młotem? Krótko mówiąc: o co w ogóle chodzi? No?

Thor milczał. Na moment nachmurzył się, pełen aroganckiej irytacji, potem nachmurzył się pełen czegoś, co wyglądało zupełnie jak zakłopotanie, a na koniec po prostu stanął i bezczelnie krwawił.

Przez kilka sekund Kate zmagą się z przemożnym upadkiem ducha, a potem zdała sobie sprawę, że i tak w końcu diabli wezmą jej ducha, więc równie dobrze mogą wziąć i całą resztę.

— OK — mruknęła — trzeba to przemyć. Znajdę coś do dezynfekcji.

Udała się do kuchni, żeby pobuszować z hałasem w jednej z szafek, a kiedy wróciła stamtąd z buteleczką, Thor powitał ją stanowczym:

— Nie.

— Co nie? — rzuciła rozeźlona i postawiła buteleczkę na stole, ciut za głośno.

— To — odpowiedział Thor i pchnął ku niej buteleczkę. — Nie.

— Czy coś z nią nie w porządku?

Thor tylko wzruszył ramionami i zapatrzył się melancholijnie w kąt pokoju. W kącie tym nie było nic, co mogłoby wzbudzić choć cień zainteresowania, najwyraźniej więc patrzył tam z czystej wredoty.

— Słuchaj no, łobuzie — rzuciła Kate — jeśli mogę cię nazywać łobuzem, co...

— Jestem Thor — przerwał jej — bóg...

— Tak — wtrąciła Kate — już mi wymieniałeś wszystko, czego jesteś bogiem.

Chcę tylko przemyć ci ranę.

— Cedr — obwieścił Thor, wyciągając krwawiące ramię, lecz z dala od niej. Przyglądał mu się z niepokojem.

— Co?

— Pokruszone liście cedru. Olejek z pestek moreli. Napar z kwiatu gorzkiej pomarańczy. Olejek migdałowy. Szałwia i żywokost. To — nie.

Zepchnął buteleczkę ze stołu i znowu pogrążył się w ponurym milczeniu.

— Dobra! — wrzasnęła Kate, podniosła buteleczkę i cisnęła mu prosto w twarz. Buteleczka odbiła się od kości policzkowej, zostawiając czerwony znak. Thor rzucił się, wściekły, do przodu, lecz Kate stała niezłomnie z wycelowanym weń palcem.

— Zostań tam, gdzie jesteś, łobuzie! — krzyknęła, więc się zatrzymał. — A czego będziesz potrzebował na to?

Thor nie zrozumiał.

— Na to! — krzyknęła Kate, wskazując czerwieniejący ślad na policzku.

— Zemsty — odpowiedział.

— Zobaczę, co się da zrobić — oznajmiła Kate. Obróciła się na pięcie i wymaszerowała z pokoju.

Po dłuższej chwili wróciła, wlokąc za sobą smużki pary.

— No dobrze — odezwała się. — Chodź za mną.

Poprowadziła go do łazienki. Poszedł za nią, z popisową wręcz niechęcią i oporami, ale jednak poszedł. Kate przywlokła za sobą smużki pary, ponieważ łazienka była jej pełna, wanna zaś nieomal przelewała się od piany i rozmaitych paskudztw.

Thor zobaczył tam wiele słoiczków i buteleczek, na ogół pustych. Stały rzędem na małej półeczce nad wanną. Kate podnosiła jedno po drugim i podstawiała mu pod nos.

— Olejek z pestek moreli — oznajmiła i obróciła słoik do góry dnem, żeby podkreślić, jak bardzo jest pusty. — Wszystko jest tam — dodała, wskazując na pełną piany wannę.

— Olejek neroli — oznajmiła chwytając następny słoiczek — destylowany z kwiatów gorzkiej pomarańczy. Wszystko jest tam.

Chwyciła dwa następne słoiczki.

— Szałwia i żywokost — określiła pierwszy. — Olejek z liści cedru. Jedno to krem do rąk, drugie — odżywka do włosów; w całości są tam, razem z tubką aloesowej maści ochronnej do warg, odrobiną ogórkowego mleczka do twarzy, śmietanką kosmetyczną z miodem, woskiem i olejkiem jojoby, borowiną, szamponem brzoźowo-wodorostowym, pelnotłustym kremem na noc z dodatkiem witaminy C oraz sporą porcją tranu. Obawiam się, że nie mam nic, co zwałoby się „Zemsta”, ale oto odrobina „Obsesji” Calvina Kleina.

Wyjęła zatyczkę z buteleczki perfum, a następnie wrzuciła buteleczkę do wanny.

— Kiedy skończysz, będę w pokoju obok.

Powiedziawszy to wymaszerowała z łazienki i trzasnęła za sobą drzwiami. Czekwała w sąsiednim pokoju, z determinacją czytając książkę.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Przez jakąś minutę Dirk pozostawał nieruchomy na siedzeniu jaguara, nieopodal własnych drzwi. Zastanawiał się, jaki powinien być jego następny ruch. Nieduży i ostrożny — myślał. Stanowczo najmniej potrzebował teraz spotkania z przestraszonym orłem.

Obserwował ptaka w napięciu. Tamten zaś całą postawą wyrażał swego rodzaju impertynencką świetność, stał ściskając mocno szponami krawędź kamiennego stopnia. Od czasu do czasu przyglądał dziobem pióra, po czym spoglądał byстрыm wzrokiem najpierw w dół, potem w górę ulicy, w ogromnie denerwujący sposób przesuwając przy tym szponem po kamieniu. Dirk podziwiał ptaka głównie z powodu niezwyklej rozmiarów, upierzenia, no i ogólnego wrażenia wspaniałej górnołotności, niemniej, zapytując sam siebie, czy podoba mu się odbłysek światła latarni w jego szklistych oczach albo na potężnym haku jego dzioba, musiał przyznać, że jednak nie.

Ten dziób stanowił potężną broń.

Był to dziób, który napędziłby strachu każdej istocie na ziemi, nawet takiej, która już była martwa i w puszcze. Szpony zaś sprawiały wrażenie, jakby bez wysiłku mogły porwać małe volvo. A ptak siedział w oczekiwaniu u progu domu Dirka, rozglądając się po ulicy zarazem znacząco i wrednie.

Dirk zaczął się zastanawiać, czy nie należałoby raczej natychmiast stąd odjechać i opuścić ten kraj. Czy ma przy sobie paszport? Nie, został w domu. Za drzwiami, które były za orłem, w którejś z szuflad albo, co bardziej prawdopodobne, dawno zagubiony.

Mógłby to wszystko sprzedać. Stosunek agentów nieruchomości do rzeczywistej liczby domów w okolicy wynosi już prawie jeden do jednego. Któryś z nich mógłby przyjechać i zająć się tym domem. On sam miał go już serdecznie dosyć, z wszystkimi jego lodówkami, dziką fauną i nieusuwalną pozycją w spisach pocztowych American Express.

Mógłby także, przypuścić na chwilę z lekkim dreszczem, pójść sprawdzić, czego ten orzeł chce.

To była myśl. Pewnie szczura lub niedużego teriera. Dirk miał w domu, o ile pamiętał, tylko chrupki ryżowe i stary pączek, a nie wydawało mu się, żeby takie

menu mogło przemówić do zwierzchnika przestworzy. Przez chwilę wyobrażał sobie, że dostrzega na szponach ptaka świeżo zakrzepłą krew, lecz powiedział do siebie stanowczo, że ma się nie wygłupiać.

Po prostu musi wyjść i stawić czoło okolicznościom, wyjaśnić, że właśnie skończył mu się szczury, i ponieść wszelkie tego konsekwencje.

Cicho, niewyobrażalnie wprost cicho otworzył drzwi samochodu i nisko pochylony wysliznął się ukradkiem na ulicę. Przyjrzał się ptakowi znad maski samochodu. Stworzenie nawet nie drgnęło. A raczej: nie ruszyło się z miejsca. Ciągłe natomiast rozglądało się wokół, za to z większą, chyba, czujnością. Dirk nie miał pojęcia, w którym z odległych górskich gniazd mógł się nauczyć jak nasłuchiwać odgłosów obracających się zawiasów w drzwiczkach jaguara, lecz dźwięk ten najwyraźniej nie umknął jego uwagi.

Nadzwyczaj ostrożnie Dirk przemykał wzdłuż długiego sznura samochodów, które uchroniły go od zaparkowania tuż przed własnymi drzwiami.

Po kilku sekundach od niezwykłego stworzenia dzieliło go już tylko małe, niebieskie renault.

I co dalej?

Mógłby zwyczajnie wyprostować się i w ten sposób zadeklarować swoją obecność. Jakby oświadczył mniej więcej tak: „Oto jestem, rób, co chcesz”. Cokolwiek miałyby z tego wyniknąć, to renault przyjęłoby na siebie cały impet ataku.

Istniało także pewne prawdopodobieństwo, że orzeł ucieszy się na jego widok, że wszystkie poprzednie pikujące ataki to tylko taki orli sposób okazywania przyjaźni. Zakładając, rzecz jasna, że to ten sam orzeł, co nie było znów tak bardzo nieprawdopodobne. Liczebność złocistych orłów latających na swobodzie po północnym Londynie była, jak sądził Dirk, dość niska.

A może on tylko przypadkiem odpoczywa sobie akurat przed drzwiami Dirka; zażywa chwili oddechu, zanim poszybuje w niebo w pościgu za tym, za czym zwykle orły szybują w pościgu po niebie.

Cokolwiek się za tym kryło, Dirk wiedział, że po prostu musi zaryzykować. Uzbroidł się w odwagę, wziął głęboki oddech i wychynął zza renault, jak duch z mroków nocy.

Orzeł patrzył właśnie w drugą stronę, minęła zatem chwila, zanim spojrzął przed siebie i go dostrzegł; natychmiast wydał gromki skrzek i cofnął się nieco. Dirk poczuł się lekko zbity z tropu. Orzeł zamrugał gwałtownie kilka razy, po czym przybrał postawę raczej zuchwałą, której jednak Dirk nie był w stanie zinterpretować jednoznacznie.

Odczekał więc na wszelki wypadek, aż poczuł, że sytuacja ustabilizowała się, a emocje opadły, i ostrożnie postąpił kilka kroków, okrążając renault. W powietrzu zaczęły płynąć ciche, pytające poskrzekiwania, lecz po chwili Dirk zorientował się, że to on sam wydaje te dźwięki, i nakazał sobie natychmiast przestać. Miał do czynienia z orłem, a nie z papuzką falistą.

I wtedy właśnie popełnił błąd.

Mając umysł całkowicie pochłonięty kwestią orłów, ich potencjalnymi zamiarami oraz wieloma cechami, jakimi orły różnią się od, powiedzmy, kociąt, nie skupił się dostatecznie na tym, co robi, kiedy przechodził z jezdni na chodnik, śliski po niedawnej mżawce. Przenosząc nogę w przód, zaczepił o zderzak samochodu; zachwiał się, pośliznął, a następnie zrobił coś, czego nigdy nie należy robić w obliczu orła o nie znanym usposobieniu: runął jak długi z wyciągniętymi przed siebie ramionami.

Orzeł zareagował natychmiast.

Nie zwlekając ni sekundy uskoczył zgrabnie na bok, ustępując Dirkowi miejsca, którego ten potrzebował, by zwalić się ciężko u swego własnego progu. Potem obrzucił leżącego spojrzeniem tak szyderczym, że człowiek mniejszego ducha szczęśliwy pod nim natychmiast — a już na pewno człowiek, który nie leżałby akurat twarzą do ziemi.

Dirk jęknął głucho.

Krawędź schodów zadała mu mocny cios w skroń, a w jego własnym mniemaniu był to cios, bez którego mógłby się dzisiejszego wieczoru świetnie obejść. Leżał czas jakiś dysząc ciężko, a potem przetoczył się niezgrabnie na plecy, jedną ręką trzymając się za czoło, drugą za nos, i popatrzył z obawą na wielkiego ptaka, który spozierał na niego kpiącym wzrokiem, powątpiewająco przy tym mrugając. Dirk usiadł, a potem powoli wspiął się do pozycji stojącej, w końcu niespiesznie otrząsnął płaszcz. Po krótkim poszukiwaniu wydobył klucze i otworzył drzwi wejściowe; wydały mu się trochę rozechwiane. Odczekał chwilę, żeby zobaczyć, jak zachowa się orzeł.

Z cichym szelestem piór ptak przeskoczył przez próg i w podskokach ruszył w głąb sieni. Rozejrzał się dookoła i najwyraźniej to, co zobaczył, wzbudziło w nim lekki niesmak. Dirk nie miał pojęcia, czego orły spodziewają się po ludzkich korytarzach, lecz musiał przyznać, że w jego mieszkaniu nie tylko orzeł reagował w ten sposób. Korytarz nie był nawet tak bardzo zabałaganiony, ale panował w nim pewien rodzaj posępności, która zwykle kładła się cieniem na samopoczuciu nowo przybyłych. Orzeł też widać nie był na nią odporny.

Dirk podniósł z wycieraczki wielką, płaską kopertę, zajrzał do środka, aby się upewnić, że zawierała dokładnie to, czego się spodziewał, po czym zauważył, że ze ściany zniknął obrazek. Nie był to żaden szczególnie piękny obraz, lecz tylko zwykła, mała grafika japońska, na którą natknął się kiedyś w Camden Passage i którą dosyć lubił; najważniejsze jednak było to, że zniknęła. Na ścianie pozostał tylko haczyk. Jak zauważył, zniknęło również jedno krzesło.

Uderzyła go nagła myśl, iż może to coś oznaczać, pognał więc natychmiast do kuchni. Brakowało większości jego starannie dobranych sprzętów kuchennych. Zniknął też stojak z nożami Sabatiera, na ogół nie używanymi, robot kuchenny i radiomagnetofon kasetowy; za to miał teraz nową lodówkę. Z pewnością do-

starczyły ją tu złodziejaszki Nobbiego Paxtona, trzeba więc będzie sporządzić zwyczajowy niewielki spisik.

W każdym razie miał nową lodówkę i zarazem poważny kłopot z głowy. Atmosfera w kuchni jakby się oczyściła. Napięcie zelżało. W powietrzu wyczuwało się jakąś lekkość i sprężystość, która udzieliła się nawet stercie starych kartonów, chylącej się teraz pod beztróskim, a nie, jak dotychczas, deprymującym kątem.

Radosnym szarpnięciem Dirk otworzył na oścież drzwi nowej lodówki i ku swojemu zachwytowi przekonał się, że jest ona absolutnie, doskonale pusta. Lampka we wnętrzu oświetlała doskonale czyste, białobłękitne ściany i błyszczące, chromowane półeczki. Tak bardzo mu się spodobała, że natychmiast postanowił, iż zachowa ją w tym stanie. Nie włożył nic do środka. Całą żywność będzie musiał spożywać z miejsca, na pniu.

Dobrze. Zamknął lodówkę.

Skrzeknięcie i trzepot za plecami przypomniały mu, że gości u siebie orła. Odwrócił się i ujrzał, że ten wpatruje się w niego, siedząc na kuchennym stole.

Teraz, kiedy Dirk już trochę przywykł i wbrew spodziewaniom nie został dra pieżnie zaatakowany, orzeł wydał mu się nieco mniej przerażający niż na początku. Nadal był to okazały kawałek orła, lecz być może orzeł jako taki był bardziej znośną propozycją, niż mu się z początku wdawało. Odprężył się nieco, zdjął kapelusz i płaszcz i cisnął je na krzesło.

Wobec takiego obrotu sprawy orzeł poczuł, że Dirk mógł nabrać błędnego o nim mniemania, wyciągnął więc ku niemu jeden ze szponów. Z nagłym dreszczem niepokoju Dirk dostrzegł, iż rzeczywiście jest na ptasich pazurach coś, co do złudzenia przypomina świeżo zakrzepłą krew. Pospiesznie odskoczył do tyłu. Orzeł wyprostował się na całą wysokość i jął rozpościerać ogromne skrzydła, coraz szerzej i szerzej, uderzając nimi powoli i pochylając się w przód dla zachowania równowagi. Dirk zrobił jedyną rzecz, jaka w tych okolicznościach przyszła mu do głowy, to jest wypadł jak strzała za drzwi, zatrzasnął je za sobą i zaparł stojącym w holu stolikiem.

Za drzwiami natychmiast podniosła się potworna kakofonia skrzeków, drapania i łomotania. Dirk usiadł; oparty o stolik dyszał ciężko, nie mogąc złapać oddechu.

Odniośł wrażenie, że ptak lotem koszącym rzuca się na drzwi. Co parę sekund powtarzał się ten sam schemat: najpierw szum bijących skrzydeł, świst, a potem łomot zderzenia. Dirk nie sądził, żeby ptak zdołał sforsować drzwi, lecz niepokoiła go myśl, że w trakcie prób może zamęczyć się na śmierć.

Stworzenie najwyraźniej oszalało na jakimś punkcie, ale na jakim, tego Dirk w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić. Próbował się uspokoić, żeby móc rzeczowo przemyśleć, co ma teraz począć.

Powinien zadzwonić do Kate, żeby się upewnić, że jest cała i zdrowa.

Szum, świst, łup!



Powinien w końcu otworzyć kopertę, którą nosi przy sobie przez cały dzień, i zbadać jej zawartość.

Szum, świst, łup!

Do tego potrzebny jest ostry nóż.

Szum, świst, łup!

Jedna po drugiej naszły go trzy niespokojne myśli.

Szum, świst, łup!

Po pierwsze — ostre noże, o ile jakieś zostały po wizycie chłopców Nobbiego, znajdują się w kuchni. . .

Szum, świst, łup!

. . . co samo w sobie nie ma aż tak wielkiego znaczenia, bo pewnie znajdzie w domu coś, co się nada.

Szum, świst, łup!

Po drugie — sama koperta znajduje się w kieszeni płaszcza, który przewiesił przez oparcie krzesła stojącego w kuchni.

Szum, świst, łup!

Trzecia myśl była bardzo podobna do drugiej, a dotyczyła lokalizacji kartki z numerem telefonu Kate.

Szum, świst, łup!

O Boże.

Szum, świst, łup!

Dirk poczuł się bardzo, bardzo zmęczony tym, co wyprawia z nim dzisiejszy dzień. Trapiło go przecucie wiszącej nad głową katastrofy, lecz nadal nie potrafił się domyślić, co leży u źródła tych przecuć.

Szum, świst, łup!

No cóż, wiedział już, co należy zrobić. . .

Szum, świst, łup!

. . . nie ma zatem sensu dłużej tego odwlekać. Cicho odsunął stolik od drzwi.

Szum, świst. . .

Schylił się i gwałtownie otworzył drzwi, przemykając gładko pod orłem — ten zaś wypadł na korytarz i uderzył w przeciwległą ścianę. Dirk zatrzasnął za sobą drzwi, porwał z krzesła płaszcz, a samym krzesłem podparł drzwi.

Szum, świst, łup!

Szkoda, poczyniona drzwiom, była znaczna i robiła wrażenie. Dirk zaczął się poważnie martwić, jak podobne zachowanie świadczy o stanie psychiki ptaka albo też jaki będzie stan psychiki ptaka, jeśli ów będzie zachowywał się podobnie jeszcze przez dłuższy czas.

Szum, świst. . . zgrzyt. . .

Ta sama myśl w tej samej chwili musiała najść i ptaka, gdyż po kilkusekundowym miotaniu się, poskrzekiwaniu i drapaniu szponami drzwi zapadł w przygnę-

bione i pogębione milczenie, które po minucie stało się prawie tak samo męczące jak poprzednie łomotanie.

Dirk zachodził w głowę, co też on może knuć.

Ostrożnie podszedł do drzwi i cicho odsunął nieco oparcie krzesła tak, żeby spojrzeć przez dziurkę od klucza. Przykucnął i zajrzał. Z początku wydawało mu się, że nic przez nią nie widać, że jest zapchana. Lecz po chwili leciutkie drgnienie i nagły błysk tuż przy oku zniecka odkryły przed nim szokującą prawdę: orzeł także przyłożył oko do dziurki od klucza i podglądał Dirka! Szok był tak potężny, że Dirk omal nie wywrócił się na plecy. Lekko przestraszony i zbulwersowany odsunął się od drzwi.

Nadzwyczaj inteligentny postępek, jak na orła, nieprawdaż? A może nie? Jak by się tu upewnić? Nie mógł sobie przypomnieć żadnego ornitologa, do którego mógłby zadzwonić w tej sprawie. Wszystkie kompendia leżały stertą w pokoju, a Dirk nie sądził, by dało się bez końca bezkarnie wykonywać wciąż tę samą kaskaderską sztuczkę, szczególnie zaś kiedy ma się do czynienia z orłem, który zdołał wykombinować, do czego służą dziurki od klucza.

Udał się w pobliże zlewu i odszukał ścierkę. Złożył ją w tampon i, namoczywszy, przyłożył najpierw do ciemienia, które prześlicznie napuchło, a potem do nosa, który nadal sprawiał mu ból, a poważne rozmiary osiągnął już na długo przedtem. A jeśli ten orzeł był orłem o subtelnej wrażliwości i po prostu stracił głowę na widok twarzy Dirka w jej obecnym, mocno sponiewieranym stanie? Dirk westchnął i usiadł.

Telefon, któremu w następnej kolejności poświęcił uwagę, odpowiedział mu, owszem, głosem Kate, ale z automatycznej sekretarki. Głos ten powiedział, bardzo uprzejmie, że po sygnale może, proszę bardzo, nagrać dla niej wiadomość, lecz ostrzegł jednocześnie, że Kate prawie nigdy nie przesłuchuje taśmy, w związku z czym lepiej rozmawiać z nią bezpośrednio, co na razie jest niemożliwe, bo nie ma jej w domu, najlepiej więc niech zadzwoni jeszcze raz.

Dziękuję bardzo — pomyślał i odłożył słuchawkę.

Zdał sobie sprawę, że prawda przedstawia się następująco: przez cały dzień odkładał otwarcie koperty, ponieważ bał się tego, co spodziewał się tam znaleźć. I nie chodziło wcale o to, że sama myśl wydała mu się przerażająca — choć myśl, że ktoś mógł sprzedać duszę zielonookiemu facetowi z kosą, jest przerażająca, a za taką właśnie interpretacją wszystkie okoliczności przemawiały bardzo, bardzo stanowczo. Jednak silniej przygnębiała go myśl, że tamten sprzedał duszę zielonookiemu facetowi z kosą za udział w honorariach od przebojowego singla.

Gdyż tak właśnie to wszystko wyglądało. A może nie?

Dirk wziął ze stołu drugą kopertę — tę, która czekała na niego na wycieraczkę, a którą przyniósł posłaniec z jednej z wielkich londyńskich księgarni. Wyjął zawartość: arkusz ze słowami piosenki „Ziemniak parzy”, napisanej przez Colina Paingtona, Phila Mulville’a i Geoffa Ansteya.

Słowa te były, hm, niezbyt skomplikowane — stanowiły podstawową repetycyjną frazę w rytmie funk, budowały proste poczucie zagrożenia i miały w sobie rodzaj radosnego grubiaństwa, które tak świetnie utrafiły w klimat zeszłego lata. Brzmiało to tak:

Ziemniak parzy.

Więc nie bierz, go, nie bierz go, nie, nie bierz go.

Podaj go dalej, podaj dalej, dalej podaj go.

Spiesz się, bo złapią, o, złapią, złapią zaraz cie.

Podrzuc go. Komu? Komu? A komu chcesz.

Lepiej go nie mieć, kiedy przyjdzie wielki gość.

Mówię ci: lepiej go nie mieć, kiedy przyjdzie wielki gość.

Bo ziemniak parzy.

I tak dalej. Powtarzane wciąż frazy miotały się tam i z powrotem między poszczególnymi członkami zespołu, elektroniczna perkusja wybijała coraz cięższy rytm, a do tego wszystkiego był jeszcze teledysk.

I to wszystko? Wielka mi rzecz. Przyjemny dom przy Lupton Road, podłogi kryte poliuretanem i rozbite małżeństwo?

Niewątpliwie, nisko upadliśmy od czasów Fausta i Mefistofelesa, kiedy człowiek za cenę własnej duszy mógł osiąść całą wiedzę wszechświata, spełnić wszelkie ambicje umysłu i wszystkie zachcianki ciała. A teraz? Trochę tantem z płyty, trochę modnych mebli, błyskotka do powieszenia w łazience i pac! Spada ci głowa.

No, to o co właściwie chodzi? Czym jest ten ziemniaczany kontrakt? Kto i co właściwie dostaje i dlaczego?

Dirk poszperał w szufladzie, szukając noża do chleba, który po chwili znalazł, usiadł, wyjął z kieszeni płaszcz kopertę i przeciął zrośnięte warstwy taśmy klejącej.

Ze środka wypadł gruby plik papierów.

## Rozdział dwudziesty drugi

Dokładnie wtedy, kiedy zadzwonił telefon, drzwi do salonu Kate otworzyły się wreszcie. Bóg piorunów miał chyba zamiar z mocą przekroczyć próg, lecz w rzeczywistości przefrunął nad nim. Bardzo starannie wymoczył się we wszystkim, co Kate wrzuciła do wanny, potem ubrał się i podarł koszulę nocną Kate, żeby obwiązać sobie ramię. Cisnął od niechcienia w kąt wiązkę namokniętych dębowych desek. Kate zdecydowała, że na razie lepiej będzie, jeśli zignoruje zarówno te prowokacje, jak i dzwoniący telefon. Z tymi pierwszymi jakoś sobie poradzi, z tym drugim poradzi sobie jej automatyczna sekretarka.

— Czytałam o tobie — rzuciła wyzywająco w stronę boga grzmotu. — Gdzie masz brode?

Wziął od niej jednotomową encyklopedię i obrzucił krótkim spojrzeniem, za nim pogardliwie cisnął w kąt.

— Ha! — rzekł. — Zgoliłem. Kiedy byłem w Walii. — Zawył na samo wspomnienie.

— Na litość boską, cóż robiłeś w Walii?

— Liczyłem kamienie. — Wzruszył ramionami i twardo zapatrzył się w okno.

Całą swoją postawą wyrażał jeden wielki osowiały niepokój. Nagle, z dreszczem, który dość mocno przypominał lęk, Kate przypomniała sobie, że w taki nastrój niektórzy ludzie wpadają pod wpływem złej pogody. W przypadku boga grzmotu najwyraźniej było na odwrót: niebo za oknem bez wątpienia przybrało niespokojny i niezadowolony wygląd.

Niespodziewanie zaczęła na wszystko reagować zmieszaniem.

— Przepraszam, jeśli to głupie pytanie — zaczęła — ale trochę się w tym wszystkim pogubiłam. Nie przywykłam spędzać wieczorów z kimś, od czyjego imienia nazwano dzień tygodnia. Jakie kamienie liczyłeś w Walii?

— Wszystkie — odrzekł Thor z głuchym pomrukiem. — Wszystkie, od takich... — rozstawił kciuk i palec wskazujący na jakiś cal — ...do takich — rozłożył szeroko ramiona.

Kate przyglądała mu się w osłupieniu.

— Hm... A ile ich było? — zapytała z czystej uprzejmości.

Odwrócił się ku niej z gniewem.

— Sama sobie policz, jeśli chcesz wiedzieć! — krzyknął. — Jaki byłby sens w tym, że spędziłem na liczeniu dziesiątki lat, tak że nikt poza mną tego nie wie i nie będzie wiedział, gdybym wziął i tak po prostu komuś powiedział? No?

Znów odwrócił się w stronę okna.

— A zresztą — dodał — sam się o to trochę martwiłem. Chyba straciłem rachubę gdzieś w okolicach Mid-Glamorgan. Ale nie mam zamiaru — krzyknął — liczyć od nowa!

— Ale po co w ogóle robiłeś coś tak dziwnego?

— To było brzemię, które narzucił na mnie mój ojciec. Kara. Pokuta. — Popatrzył na nią groźnie.

— Twój ojciec? — zdziwiła się. — To znaczy Odyn?

— Ojciec Wszechrzeczy — odrzekł Thor. — Ojciec bogów Asgardu.

— I twierdzisz, że on żyje?

Thor odwrócił się i popatrzył jak na głupia. — Jesteśmy nieśmiertelni — powiedział po prostu.

Piętro niżej Neil wybrał sobie akurat ten moment, by zakończyć swe grzmiące popisy, w następstwie czego dom rozdzwonił się niesamowitą ciszą.

— Chcieliście nieśmiertelnych — dodał Thor cichym i spokojnym głosem — no to ich macie. Trochę nam z tym ciężko. Chcieliście, żebyśmy żyli wiecznie, więc żyjemy wiecznie. Potem o nas zapomnieliście. Ale my w dalszym ciągu żyjemy wiecznie. Teraz wreszcie — dodał cicho — wielu z nas już nie żyje, a wielu innych kona, ale to wymaga szczególnego wysiłku.

— Nie potrafię nawet zacząć rozumieć, o czym mówisz — odezwała się Kate. — Powiadasz, że ja... że my...

— Potrafisz zacząć rozumieć — odparł ze złością Thor — i dlatego właśnie tu jestem. Czy wiesz, że większość ludzi właściwie mnie nie zauważa? Prawie mnie nie widzi? Nie w tym rzecz, że się chowamy. Jesteśmy tu, wśród was. Między naszym ludem. Wasi bogowie. To wy daliście nam życie. To wy sprawiliście, że jesteśmy tacy, jakimi wy nigdy nie ośmielilibyście się być. A teraz nie uznajecie naszej obecności. Gdybym przeszedł jedną z waszych ulic w tym świecie, który stworzyliście sobie bez nas, nie spoczęłoby na mnie ani jedno spojrzenie.

— Nawet kiedy nosisz ten hełm?

— Zwłaszcza kiedy noszę hełm!

— No cóż...

— Kpisz sobie ze mnie! — ryknął Thor.

— Nietrudno dziewczynie z ciebie zakpić — odparła Kate. — Nie wiem, co...

Nagle zdało jej się, że pokój zadrżał potężnie, a po chwili odzyskał równowagę. Wszystkie wnętrza Kate zatrzęsły się gwałtownie i znieruchomiały. W nagłej, potwornej ciszy błękitna porcelanowa lampka stoczyła się powoli ze stołu, uderzyła o podłogę i odczołgała się powolutku w najciemniejszy kąt pod stołem, gdzie przycupnęła zwinięta w mały, zmartwiony, defensywny kłębuszek.

Kate gapiła się na nią szeroko otwartymi oczyma i próbowała zachować spokój. Miała uczucie, że po jej skórze spływa zimna, miękka galaretka.

— Czy to twoja robota? — spytała w końcu drżącym głosem.

Thor wyglądał na wściekłego i zakłopotanego zarazem.

— Nie próbuj mnie więcej rozzłościć. Miałaś wielkie szczęście — wymamrotał, unikając jej spojrzenia.

— Co powiedziałaś?!

— Myślę, że chciałbym, żebyś ze mną gdzieś poszła.

— Co? A co będzie z tym?! — wskazała na malutkiego, zamroczonego kotka w kącie pod stołem, który tak niedawno był jej własną lampką z błękitnej porcelany.

— Nic nie mogę na to poradzić.

Kate poczuła się raptem tak zmęczona, zakłopotana i przestraszona, że omal się nie rozpląkała. Stała przygryzając wargę i z całej siły próbując się rozzłościć.

— Tak? — rzuciła. — Podobno jesteś bogiem! Mam nadzieję, że nie wdarłeś się do mojego domu pod fałszywym pretekstem, ja... — zająknęła się, urwała i dokończyła innym zgoła tonem: — Chcesz powiedzieć, że byliście tu, na świecie, przez cały czas?

— Tu i w Asgardzie — odparł.

— W Asgardzie, siedzibie bogów?

Thor zamilkł. Milczenie było ponure i pełne dogłębnego zmartwienia.

— Gdzie jest Asgard? — dopytywała się Kate.

I tym razem Thor się nie odezwał. Był widać osobą, która używa niewielu słów, za to przeraźliwie długich pauz. Kiedy w końcu odpowiedział, nie bardzo dało się wyczuć, czy przez cały ten czas rozmyślał, czy tylko sobie stał.

— Asgard jest także tutaj — rzekł. — Wszystkie światy są tutaj.

Spod okrywających go skór wyjął swój wielki młot i uważnie, z niezwykle wprost zainteresowaniem, przyjrzał się obuchowi, jakby nagle dostrzegł w nim coś nadzwyczajnego. Kate zastanawiała się, skąd taki gest mógł wydać jej się znajomy. Odkryła, że instynktownie ma ochotę się uchylić. Cofnęła się lekko i stanęła w czujnej gotowości.

Kiedy znowu podniósł wzrok, w oczach miał zupełnie nowy cel i świeży zapas energii, jak gdyby zbierał się w sobie, zanim skoczy komuś do gardła.

— Dziś wieczorem muszę być w Asgardzie — powiedział. — Muszę stawić czoło memu ojcu Odynowi w wielkiej sali Walhalli i zmusić go, żeby zdał sprawę ze swoich postępów.

— To znaczy z tego, że kazał ci liczyć kamienie w Walii? — Nie! — odparł Thor. — Z tego, że sprawił, iż liczenie kamieni w Walii straciło cały sens!

Kate, pełna irytacji, potrząsnęła głową.

— Sama nie wiem, co z tobą począć — powiedziała. — Chyba jestem zbyt zmęczona. Przyjdź jutro. Wyjaśnisz mi wszystko jutro rano.

— Nie — sprzeciwił się Thor. — Musisz sama zobaczyć Asgard, wtedy wszystko zrozumiesz. Musisz zobaczyć to miejsce dziś wieczorem.

Złapał ją mocno za ramię.

— Nie chcę iść do Asgardu — upierała się. — Nie chadzam z nieznanymi w mityczne miejsca. Idź już. Zadzwoń rano i powiedz mi, jak było. Zrób mi piekło o te kamienie.

Wywinęła ramię z jego uścisku. Miała przy tym całkowitą świadomość, iż stało się tak tylko dlatego, że na to pozwolił.

— A teraz proszę: idź już i daj mi się wyspać!

W tej sekundzie wydało im się, że dom zaraz wybuchnie — to Neil podłączył się pod dudniącą, basową transkrypcję arii Zygfyryda z I aktu „Die Gotterdammerung” tylko po to, żeby udowodnić, że to możliwe. Spod stołu dało się słyszeć przeraźliwe miauczenie porcelanowej lampki.

Kate usiłowała utrzymać wściekłość spojrzenia, lecz w zaistniałych okolicznościach okazało się to ponad jej siły.

— OK — powiedziała w końcu. — Jak się tam dostaniemy? — Jest tyle dróg, ile maleńkich kawałeczków.

— Co proszę?

— Tych maciupieńkich. — Jeszcze raz wyciągnął ku niej palec wskazujący i kciuk, żeby pokazać coś bardzo małego. — Molekuły — dodał, wyraźnie nie oswojony z tym słowem. — Ale najpierw musimy stąd wyjść.

— Czy w Asgardzie będę potrzebowała płaszcz? — Jak sobie zażyczysz.

— Na wszelki wypadek wezmę. Poczekaaj chwilę.

Doszła do wniosku, że najlepiej podejść rzeczowo do tego zdumiewającego chaosu, jakim było aktualnie jej życie. Znalazła płaszcz, przyczesła włosy, nagrała nową wiadomość na sekretarce i stanowczym ruchem wstawiła pod stół spodeczek z mlekiem.

— W porządku — oznajmiła i ruszyła przodem ku drzwiom wyjściowym; kiedy wyszli, zamknęła je starannie na klucz, a kiedy mijali drzwi Neila, psyknęła uspokajająco. Mimo całego hałasu, jaki czynił, niemal na pewno łowił każdy najlżejszy dźwięk i słysząc, że idą, wyskoczyłyby natychmiast, żeby ponarzekać na automat do coca-coli, na późną godzinę, brak ludzkich uczuć w stosunkach między ludźmi, na pogodę, na hałas i na kolor płaszczu Kate — ten odcień błękitu, którego, z niewiadomych przyczyn, najbardziej nie znosił. Na szczęście udało im się jakoś przekraść i zamknąć za sobą drzwi z najcichszym z trzasków.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Złożone razem arkusze, leżące na kuchennym stole Dirka, były z grubego, ciężkiego papieru, który z pewnością przeszedł już przez wiele rąk.

Posortował je, oddzielając jeden od drugiego, wygładzając każdy grzbietem dłoni i układając w równych rzędkach na stole, z konieczności oczyściwszy go wprzód ze stert starych gazet, popielniczek i brudnych talerzy po płatkach kukurydzianych, które sprzątaczką niezmiennie zostawiała tam, gdzie były, a kiedy jej to wypominał, utrzymywała, iż myślała, że położył je tam specjalnie.

Przez kilka minut ślęczał nad kartkami, wędrując od jednej do drugiej, porównując i studiując z uwagą linijkę po linijce, akapit za akapitem.

Nie rozumiał ani słowa.

Pomyślał, że powinno mu było jednak przyjść do głowy, iż zielonooki, włochaty, wymachujący kosą olbrzym może różnić się od niego nie tylko pod względem aparycji i obyczajów, ale i w takich kwestiach, jak choćby wybór ulubionego alfabetu.

Niezadowolony i zawiedziony, sięgnął po papierosa, lecz paczka tkwiąca w kieszeni płaszcza okazała się pusta. Chwycił więc ołówek, wetknął go w usta jak papieros, lecz nie osiągnął oczekiwanego efektu.

Po chwili uświadomił sobie ostro i wyraźnie, że orzeł prawdopodobnie nadal obserwuje go przez dziurkę od klucza, co niesłychanie utrudniało mu koncentrację, zwłaszcza że nie miał papierosa. Zawył cicho. Wiedział, że na górze przy łóżku leży jeszcze jedna paczka, ale nie sądził, żeby udało mu się przebrnąć przez wszystkie ornitologiczne problemy związane z jej przyniesieniem.

Przez następną chwilę jeszcze raz próbował wypatrzeć coś w papierach. Nie dość, że pokryto je drobnym i niewyraźnym, niemożliwym do odcyfrowania pismem runicznym, to jeszcze większość tekstu zepchnięto na lewą stronę kartek, jakby litery zabrał ze sobą odpływ. Prawa strona pozostawała na ogół pusta, wyjąwszy występujące tu i ówdzie niewielkie skupiska znaków, ustawione jedno pod drugim. Całość była dlań kompletnie niezrozumiała; budziła jedynie nikłe poczucie bliżej nieokreślonej swojskości.

Ponownie zwrócił więc uwagę na kopertę i jeszcze raz zbadał niektóre z tak zamasyście przekreślonych nazwisk.



Howard Bell, niewiarygodnie bogaty autor bestsellerów, pisujący nędzne książki, które jednakowoż sprzedawały się do ostatniego egzemplarza, pomimo — a może właśnie dlatego — że nikt ich nie czytał.

Dennis Hutch, magnat fonograficzny. Teraz, kiedy już uzyskał właściwy kontekst dla tego nazwiska, Dirk świetnie wiedział, o kogo chodzi. Aries Rising Record Group, zbudowane na ideałach lat sześćdziesiątych — w każdym razie na tym, co wówczas za ideały uchodziło — w latach siedemdziesiątych znacznie się rozrosło, a następnie bez pudła utrafiło we wszechobecny materializm lat osiemdziesiątych. Obecnie było potężnym konglomeratem przemysłu rozrywkowego po obu stronach Atlantyku. Dennis Hutch zajął naczelny stołek, kiedy założyciel wytwórni zmarł w wyniku śmiertelnego przedawkowania ceglanoego muru, który zażył pod zgubnym wpływem nowego ferrari i butelki tequili. ARRGH! to zarazem wytwórnia, która wydała płytę „Ziemniak parzy”.

Stan Dubcek, główny udziałowiec firmy reklamowej o idiotycznej nazwie, która zdołała opanować większość brytyjskich i amerykańskich firm reklamowych (ich nazwy nie były nawet w połowie tak idiotyczne, musiały zatem zostać wchłonięte w całości).

A tu — niespodzianka! — kolejne nazwisko, które Dirk natychmiast rozpoznał, skoro wiedział już, jakich nazwisk ma szukać. Roderick Mercer, największy w świecie wydawca najpodlejszych brukowców. Dirkowi nie od razu wpadł w oko z powodu nieznanego „erick” zaraz po „Rod”. No, no, no...

Tu oto są ludzie — niespodziewanie pomyślał Dirk — którzy naprawdę coś posiadają. Bez wątpienia więcej niż tylko przyjemny domek przy Lupton Road z rozrzuconymi tu i ówdzie bukietami suszonych kwiatków. Mieli także i tę przewagę, że ich głowy nadal spoczywały na karkach, chyba że Dirkowi znów umknęła jakaś dramatyczna wieść. Co to wszystko ma znaczyć? Co to za kontrakt? Jak to się stało, że wszyscy, którzy mieli go w rękach, osiągnęli oszałamiające sukcesy, ze smutnym wyjątkiem Geoffreya Ansteya? Każdy, komu ta umowa przeszła przez ręce, bardzo na niej skorzystał. Z wyjątkiem tego, kto dostał ją ostatni; tego, kto nadal ją miał.

To właśnie jest ziemniak, który parzy...

Lepiej go nie mieć, kiedy przyjdzie wielki gość.

Dirkowi przyszło nagle na myśl, że to właśnie sam Geoffrey Anstey podsłuchał rozmowę o ziemniaku, o tym, że trzeba się go pozbyć, podać dalej. Jeśli dobrze pamiętał tamten wywiad z Painem, to on wcale nie twierdził, że sam słyszał tę rozmowę.

Lepiej go nie mieć, kiedy przyjdzie wielki gość.

Myśl — potworna — brzmiała mniej więcej tak: Geoffrey Anstey był rozbijającym naiwny. Podsłuchał rozmowę — czyją? (Dirk wziął kopertę i przebiegł wzrokiem listę nazwisk) — i pomyślał, że ma dobry, taneczny rytm. Ani przez chwilę nie zdawał sobie sprawy, że to, czego właśnie słucha, przyniesie mu w koń-

cu tak ohydną śmierć. Zrobił z tego przebojową piosenkę, a kiedy naprawdę wręczono mu ziemniak, który parzy, po prostu go wziął.

Więc nie bierz go, nie bierz go, nie, nie bierz go.

I zamiast wziąć sobie do serca radę, którą uwiecznił w słowach. . .

Podaj go dalej, podaj dalej, dalej podaj go.

. . . wepchnął go za złotą płytę na ścianie własnej łazienki.

Lepiej go nie mieć, kiedy przyjdzie wielki gość.

Dirk zmarszczył czoło i w zamyśleniu zaciągnął się głęboko ołówkiem.

Przecież to śmieszne.

Musi zdobyć jakieś papierosy, jeśli ma przemyśleć sprawę przy jakim takim rygorze intelektualnym. Naciągnął płaszcz, wepchnął na głowę kapelusz i ruszył w stronę okna.

Okna nie otwierano od. . . W każdym razie nie za jego tu bytności, piszczało więc i opierało się temu niezwykłemu atakowi na swoją niezawisłość. Kiedy wyszarpał już wystarczająco szeroki otwór, wspiął się na parapet, wlokąc za sobą poły skózanego płaszcza. Miał do wykonania całkiem niezły sus, ponieważ dom posiadał wysokie sutereny, do których od frontu wiodły wąziutkie stopnie. Od chodnika oddzielała je cienka barierka, a Dirk musiał wylądować za nią.

Bez chwili wahania skoczył; w trakcie skoku przypomniał sobie, że kluczyki od samochodu zostały na stole.

Zaczął się zastanawiać, kiedy tak leciał niezgrabnie w powietrzu, czy nie wykonać nagłego zwrotu i nie sięgnąć desperacko w stronę okna w nadziei, że zdoła uchwycić się parapetu, lecz po dojrzałym namyśle doszedł do wniosku, że w tej sytuacji nawet najmniejszy błąd może go zabić, podczas gdy krótki spacer z pewnością mu nie zaszkodzi.

Wylądował ciężko po drugiej stronie barierki, lecz poły płaszcz wplątały się między sztachety, skąd musiał je wyrwać na siłę, wydzierając przy okazji kawałek podszewki. Kiedy ustąpiło poudzerzeniowe dzwonięcie w kolanach i Dirk odzyskał już tę resztkę hartu ducha, jaka mu jeszcze pozostała po wszystkich dzisiejszych przejściach, zorientował się, że jest dobrze po jedenastej, więc wszystkie puby będą raczej zamknięte, w związku z czym spacer po papierosy może okazać się dłuższy, niż mu się początkowo zdawało.

Zastanowił się, co robić dalej.

Przede wszystkim należało wziąć pod uwagę aktualną lokalizację i stan ducha orła. Jedyne bowiem drzewo do kluczyków wiodła przez drzwi wejściowe i opanywany przez orła korytarz.

Ostrożnie, na palcach, Dirk wspiął się po schodkach do frontowych drzwi, przykucnął i pełen nadziei, że draństwo nie zacznie skrzypieć, delikatnie uniósł klapkę okienka na listy i zajrzał do środka.

W ułamku sekundy w grzbiet dłoni wbił mu się wielki szpon, a ogromny skrzeczący dziób świsnął tuż przy jego oku; w oko nie trafił, lecz za to wyrwał

paskudną szramę na i tak już sponiewieranym nosie.

Dirk zawył z bólu i odskoczył, niezbyt jednak daleko, gdyż szpon nadal tkwił w jego dłoni. Zamachnął się rozpaczliwie i z całej siły walnął w szpon, wywołując tym jeszcze silniejszy ból dłoni, gdyż ostry pazur wbił się głębiej. Wywołał także ogromne, rozsierzone poruszenie po drugiej stronie drzwi, przy którym najłżejszy ruch oznaczał potężne szarpnięcie obolałej dłoni.

Dirk wolną ręką złapał za potężny pazur i próbował go wyszarpnąć. Szpon okazał się jednak nieprawdopodobnie silny, a ponadto trząśł się cały od furii ptaka, który czuł się schwytyany w pułapkę. W końcu Dirk zdołał jakoś uwolnić rękę i zaczął ją masować i rozcierać.

Orzeł także szarpnął się gwałtownie w tył i Dirk usłyszał, jak ucieka w głąb korytarza, zahaczając o meble i rysując po ścianach ogromnymi skrzydłami, skrzeczając i pokrzykując przeraźliwe.

Dirk przez chwilę igrał z myślą, czy nie spalić budynku do samych fundamentów, lecz gdy pulsujący ból w dłoni nieco zelżał, uspokoił się i postanowił sprawdzić, czy nie zdoła spojrzeć na sprawy z punktu widzenia orła.

Nie zdołał.

Nie miał najmniejszego pojęcia, w jaki sposób rzeczywistość jawi się orłom, a zwłaszcza temu konkretnemu orłowi, który wydawał się mocno zdegenerowanym przedstawicielem gatunku.

Po minucie zabiegów wokół obolałej ręki ciekawość — wsparta przemożnym poczuciem, że orzeł wycofał się na drugi koniec korytarza — wzięła górę i Dirk jeszcze raz pochylił się ku okienku na listy. Tym razem przy podnoszeniu klapki skorzystał z ołówka i zlustrował korytarz z bezpiecznej odległości kilku cali.

Orzeł był doskonale widoczny; usadowiony na poręczy schodów spoglądał na Dirka z urazą i potępieniem, które ten uznał za lekką przesadę u stworzenia, które przed chwilą usilnie starało się pozbawić go ręki.

Kiedy orzeł uzyskał już pewność, że znajduje się w centrum uwagi Dirka, wyprostował się na całą wysokość i powoli rozpostarł ogromne skrzydła, bijąc nimi lekko dla utrzymania równowagi. Był to ten sam ruch, przez który Dirk tak przeźornie wyskoczył przedtem z kuchni. Tym razem jednak czuł się bezpieczny za kilkoma calami litego drewna, stał więc, a raczej kucał niewzruszenie w miejscu. Orzeł wyciągnął w górę szyję i bodąc językiem powietrze, poskrzekiwał żałośnie.

Po krótkiej obserwacji Dirk zauważył kolejną zaskakującą cechę orła, mianowicie dziwne, zupełnie nieorle znaki na skrzydłach. Były to wielkie, koncentryczne koła.

Różnica kolorów, która wyznaczała obwody kół, była nieznaczna i tylko doskonale geometryczna regularność sprawiała, iż były one tak dobrze widoczne. Dirk czuł bardzo wyraźnie, że orzeł pokazuje mu te koła, że to właśnie na nie próbował mu przez cały czas zwrócić uwagę. Za każdym razem, kiedy na niego spadał — przypomniał sobie Dirk — zatrzymywał się nagle i w tej samej trzepo-

czącej rutynie rozkładał na całą szerokość wielkie skrzydła. Niestety, kiedy tylko coś takiego miało miejsce, Dirk był zbyt pochłonięty obracaniem się na pięcie i zmykaniem, żeby zwrócić na ów pokaz należyłą uwagę.

— Masz trochę forsy na herbatę, koleś?

— A tak, dziękuję — odrzekł Dirk. — W porządku. — Jego uwagę bez reszty pochłaniał orzeł, zatem nie od razu się odwrócił.

— Pytałem, czy nie masz wolnych paru groszy, tak na jedną herbatkę?

— Co? — tym razem Dirk obejrzał się, poirytowany.

— Albo fajkę, koleś. Nie masz wolnej fajki?

— Nie, sam miałem po jakieś iść — odrzekł Dirk.

Na chodniku stał włóczęga w bliżej nieokreślonym wieku. Stał nieco chwiejnie i patrzył na Dirka oczyma, w których chybotąło niesłychane i nieustanne rozczarowanie.

Ponieważ Dirk nie zareagował, mężczyzna odwrócił wzrok i przechylił się nieco do przodu, a potem do tyłu. Trzymał ramiona lekko rozłożone na boki i chwiały się. Niespodziewanie spojrzął ponuro pod nogi. Przesunął nachmurzonym spojrzeniem po ziemi. Potem, starając się zachować równowagę podczas zaawansowanego manewru głową, obejrzał się na drugi koniec ulicy.

— Coś panu zginęło? — zapytał Dirk.

Głowa mężczyzny powróciła ku niemu chwiejnie.

— Czy coś mi zginęło? — powtórzył głosem pełnym zaczepnego zdumienia. — Czy mnie coś zginęło?

Najwyraźniej było to najbardziej zdumiewające pytanie, jakie w życiu słyszał. Znów na chwilę odwrócił wzrok i zdawał się ważyć tę kwestię na generalnej szali wszechrzeczy. Wiązało się to z dalszym chybotaniem i kolejną serią ponurych spojrzeń. W końcu jednak doszedł do czegoś, co mogło posłużyć jako swego rodzaju odpowiedź.

— Może niebo? — zapytał wyzywająco, jakby spodziewał się, że to wystarczy Dirkowi za całą odpowiedź. Spojrzął w górę, ostrożnie, żeby nie stracić równowagi. Chyba nie spodobało mu się to, co zobaczył wśród podświetlonej pomarańczowymi światłami latarń bladeści chmur, bo z wolna opuszczał wzrok, póki nie trafił w punkt tuż przed własnymi stopami.

— Może ziemia? — rzucił, ewidentnie niezadowolony. — A może żaby? — mruknął z nagłym ożywieniem, spoglądając wprost na zaskoczonego Dirka. — Kiedyś lubiłem. . . żaby — zakończył i nie spuszczał z niego wzroku, jakby chciał dać do zrozumienia, że sam nie ma nic do dodania, więc teraz jego kolej.

Dirk czuł się kompletnie skołowany. Wzdychał w duchu do czasów, kiedy życie było łatwe i niefrasobliwe, do owych cudownych czasów, kiedy miał do czynienia ze zwykłym ludobójczym orłem, który teraz wydał mu się nadzwyczaj spokojnym i przyjaznym towarzystwem. Mógł sobie poradzić z atakiem z powietrza, ale nie z tym bezimiennym, głuchym poczuciem winy, które właśnie opadło

go z wyciem, nie wiadomo skąd.

— Czego pan chce? — spytał zduszonym głosem.

— Tylko fajkę, koleś — odpowiedział włóczęga — albo trochę drobnych na herbatę.

Dirk wcisnął mu do ręki funta i zdjęty paniką rzucił się w dół ulicy, mijając w biegu wywrotkę, z której błysnął ku niemu groźnie złowieszczy kształt starej lodówki.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Kiedy Kate schodziła ze schodków przed domem, zauważyła, że temperatura znacznie spadła. Nad ziemią gromadziły się ciężkie chmury i przyglądały się jej groźnie. Thor ruszył żwawo w stronę parku, a Kate dreptała pospiesznie za nim jak orszak.

Kiedy tak szedł sprężystym krokiem, postać dość niezwykła na uliczkach Primrose Hill, Kate nie mogła nie zauważyć, że miał przedtem rację. Minęli po drodze troje ludzi, widziała więc wyraźnie, jak ich oczy starannie go omijają, nawet kiedy musieli ustąpić mu z drogi. Nie żeby był niewidoczny, wprost przeciwnie. Zwyczajnie — nie pasował.

Park na noc zamykano, lecz Thor bez namysłu przeskoczył nad ostrymi prętami ogrodzenia, a potem przeniósł Kate górą tak lekko, jakby była bukietem kwiatków.

Trawa, mimo że lepka i wilgotna, dla stóp mieszczucha nadal miała tę samą magiczną moc. Kate robiła to, co zwykle robiła po wejściu do parku, to jest przykucnęła i przycisnęła na chwilę dłoń do ziemi. Nigdy do końca nie rozstrzygnęła, dlaczego właściwie to robi, i często dla niepoznaki poprawiała coś przy bucie albo podnosiła jakiś śmieć, ale tak naprawdę chodziło jej o to, by poczuć pod rękami dotyk trawy i mokrej ziemi.

Wspięli się na pagórek i stanęli na szczycie, spoglądając przez ciemność spowijającą park tam, gdzie zaczynała rozmywać się w mglistych światłach serca Londynu, trochę dalej na południe. Brzydkie wieże i wysokościowce sterczały w niebo butnie jak banda młodych chuliganów, dominowały nad parkiem, miastem i niebem.

Od czasu do czasu przez park przelatywał zimny, wilgotny podmuch wiatru, smagając ich z nagłą jak ogon karego konia. Podmuchy były jakby niespokojne i trochę rozdrażnione. W rzeczy samej, całe niebo wydało się Kate długim zaprzęgiem niespokojnych i rozdrażnionych koni, których uprząż trzeszczała i furkotała na wietrze. I wydało jej się jeszcze, że wszystkie postronki biorą początek z jednego centralnego źródła i że to źródło znajduje się tuż obok niej. Napomniała się surowo za absurdalne uleganie sugestiom, ale i tak miała wrażenie, że cała pogoda zebrała się wokół i okrąża ich wyczekująco.

Thor jeszcze raz wyciągnął młot i trzymał go przed sobą w ten sam sposób, jaki zaobserwowała kilka minut wcześniej we własnym mieszkaniu. Obrzucił go pełnym powagi spojrzeniem, potem strzepnął kilka niewidocznych pyłków. Trochę przypominało to zaloty szympanśów albo... To właśnie to! — porównanie było dość niezwykłe, ale wyjaśniało, dlaczego poprzednio stała się tak napięta i ostrożna: Thor przypominał jej Jimmy'ego Connorsa, który drobiazgowo sprawdza naciąg żyłek w rakiecie, zanim wykona serw.

Znów podniósł wzrok, wyrzucił ramiona do tyłu, obrócił się raz, drugi i trzeci, kręcąc ciężko w błocie obcasami, aż w końcu z oszałamiającą siłą cisnął młot prosto w niebiosy.

Młot niemal natychmiast zniknął pośród mrocznej mgły. Głęboko między chmurami zamigotały wilgotne błyski, na tle nocy znacząc jego drogę długą parabolą. Na najdalszym jej krańcu maleńki, powolny punkcik zawrócił i zawisł, jakby nabierając sił do powrotnej drogi. Kate obserwowała bez tchu, jak maleńka plamka przepęłza za kopułą katedry Św. Pawła. Potem przez chwilę wydawała się nieruchoma, spokojnie i niewiarygodnie zawisła w powietrzu, po czym stopniowo, na skalę doprawdy mikroskopową, zaczęła powiększać swe rozmiary, kiedy coraz prędzej leciała ku nim.

A potem nagle zboczyła z drogi, nie kreśląc już na niebie prostej paraboli, zmieniła tor, który teraz przypominał z grubsza obwód gigantycznej wstęgi Möbiusa i powiódł ją wokół wieży telekomunikacyjnej. Raptem młot znów leciał, rozkołysany, ku nim; wystrzelił z mroków nocy z niewiarygodnym ciężarem i pędem, jak tłok w cylindrze światła. Kate zachwiała się na nogach i omal nie runęła półmartwa na ziemię, usuwając mu się z drogi, gdy wtem Thor postąpił krok do przodu i schwytał go z cichym mruknięciem.

Siła wstrząsu udzieliła się ziemi pojedynczym, solidnym dreszczem, po którym młot spoczął nieruchomo w uścisku Thora. Ramię zadrżało lekko i także znieruchomiało.

Kate czuła się oszołomiona. Nie bardzo wiedziała, co się właściwie zdarzyło, ale żywiła cholernie mocne przekonanie, że jak na pierwszą randkę dostarczono jej wrażeń, jakich jej matka z pewnością by nie pochwaliła.

— Czy tak należy robić, żeby dostać się do Asgardu? — zapytała. — Czy tylko się popisujesz?

— Teraz udamy się do Asgardu — odpowiedział.

Podniósł rękę, jakby chciał zerwać jabłko, i wykonał ruch, jakby coś odrobinę, lecz ostro przekreślił. W rzeczywistości przekreślił świat o miliardową miliardowych stopnia. Wszystko przesunęło się, zniknęło na moment, po czym wskoczyło na miejsce jako zupełnie inny świat.

Świat ten był o wiele ciemniejszy i o wiele bardziej zimny. Wiał ostry, kąśliwy wiatr, który każdy oddech zamieniał w knebel. Pod nogami nie mieli już miękkiej trawy pagórka, ale jakiś cuchnący, grząski muł. Cały horyzont zasnuła ciemność,

upstrzona tu i ówdzie punkcikami ognisk; tylko na południowym wschodzie widoczna była wielka luna.

Tam właśnie w nocne niebo godziły szpice potężnych, fantastycznych wież, w płynącym z tysięcy okien blasku migotały wieżyczki i kopuły. Była to budowla, która kpiła sobie z praw rozumu, drwiła z wymogów rzeczywistości i szydziła z nocy.

— To pałac mojego ojca — odezwał się Thor. — Tam jest wielka sala Walhalli, tam właśnie zmierzamy.

Kate miała na końcu języka oświadczenie, że to miejsce wydaje jej się znajome, gdy nagle wiatr przyniósł tętent końskich kopyt. W oddali, pomiędzy nimi a Walhallą, ukazało się niewielkie skupisko migoczących pochodni, które zbliżały się szybko.

Thor jeszcze raz przyjrzał się z zainteresowaniem obuchowi młota, musnął go palcem wskazującym, potarł kciukiem. Potem powoli podniósł wzrok, znów okręcił się raz, drugi i trzeci, aż wreszcie wysłał go w niebo. Lecz tym razem nie wypuścił z prawej dłoni trzonka, a lewym ramieniem mocno obejmował talię Kate.



## Rozdział dwudziesty piąty

W najoczywistszy sposób papierosy miały stać się dla Dirka głównym problemem wieczoru.

Przez większą część dnia — z wyjątkiem chwili, kiedy się obudził, i chwili w niedługi czas potem, no i z wyjątkiem chwili, kiedy natknął się na wirującą głowę Geoffreya Ansteya (co zrozumiałe), a także z wyjątkiem chwili, kiedy siedział w pubie z Kate — dosłownie w ogóle nie palił.

Ani jednego. Papierosy zniknęły z jego życia, porzucone na zawsze. Nie potrzebował ich. Radził sobie bez nich doskonale. Ich brak nękał go jak wszyscy diabli i czynił piekło z jego życia, lecz doszedł do wniosku, że da sobie z tym radę.

Teraz jednak, kiedy racjonalnie i na chłodno, w ramach jasnego i wyraźnego postanowienia, nie zaś małodusznego ugięcia się pod presją nałogu — pytał sam siebie, czy w końcu może zapalić papierosa, czy jest w stanie znaleźć choć jednego? Odpowiedział sobie, że nie jest.

O tej porze puby z pewnością od dawna są pozamykane. Czynny do późna sklep na rogu najwyraźniej pojmował słowo „późno” zupełnie inaczej niż Dirk. A choć Dirk był przekonany, że mógłby z łatwością dowieść właścicielowi swych racji prostą szarżą lingwistyczno-sylogistyczną, nieszczęśnika, którego mógłby jej poddać, od dawna już tu nie było.

O jakąś milę dalej znalazł całodobową stację benzynową, lecz okazało się, że właśnie przeżyła napad z bronią w ręku. Strzaskana pancerna szyba drobną siecią pęknięć otoczyła małą, okrągłą dziurkę. Wszędzie roiło się od policjantów. Sprzedawca nie był ciężko ranny, nadal jednak krwawił z postrzelonego ramienia, przechodził atak hysterii i kurację przeciwwstrząsową, nikt więc nie sprzeda Dirkowi żadnych papierosów. Nie byli w nastroju.

— Nawet w czasie niemieckich bombardowań można było kupić papierosy — zaprotestował Dirk. — Ludzie się tym szczylic. Leciały bomby, całe miasto w ogniu, a mimo to zawsze człowieka obsłużono. Jakiś nieborak, który właśnie stracił dwie córki i nogę, pytał mimo wszystko: „Z filtrem czy bez?”

— Spodziewam się, że pan też by pytał — mruknął jakiś młody policjant o białej twarzy.

— Taki był duch czasów — odrzekł Dirk.

— Odpieprz się — rzekł policjant.

A to właśnie — pomyślał Dirk — jest duch naszych czasów.

Wycofał się, naburmuszony, i zdecydował, że jeszcze trochę powłóczy się po ulicach, z rękami w kieszeniach.

Camden Passage. Antyczne zegarki. Antyczne ciuchy. Żadnych papierosów.

Upper Street. Stare budynki w rozbiórce. Ani śladu stawianych w to miejsce kiosków z papierosami.

Chapel Market, opustoszały nocą. Roztrzepotane na wietrze mokre śmieci. Kartonowe pudełka, pojemniki na jajka, papierowe torby i papierosowe pudełka — puste.

Pentonville Road. Ponure betonowe monolity, mierzące wzrokiem puste przestrzenie Upper Street, gdzie miały nadzieję rozsiać swe obrzydliwe potomstwo.

Stacja King's Cross. Tutaj muszą mieć papierosy, na litość boską. Dirk popędził w tamtą stronę.

Fasada starego budynku wznosiła się wysoko ponad resztą ulicy żółtą ścianą z wieżyczką zegara i dwoma ogromnymi łukami, stanowiącymi front starej parowozowni. Tuż przed nim dobudowano jednopiętrową, nowoczesną halę dworcową, która wyglądała o wiele nędzniej niż sto lat od niej starszy budynek, który zasłaniała i, ogólnie rzecz biorąc, oszpecała. Dirk podejrzewał, że kiedy dyskutowano nad planami nowej hali, architekci argumentowali, że wda się ona w ekscytujący i prowokujący dialog ze starszym budynkiem.

King's Cross to rejon, gdzie w czasie oczekiwania, straszne rzeczy mogą przydarzyć się ludziom, budynkom, samochodom i pociągom, a jeśli nie jest się dość ostrożnym, można łatwo samemu wdać się w jakiś ekscytujący i prowokujący dialog. Tutaj w czasie oczekiwania mogą ci zainstalować tanie radio samochodowe, by po chwili, gdy na moment się odwrócisz, także podczas oczekiwania je usunąć. Inne rzeczy, które mogą ci tu usunąć w czasie oczekiwania, to twój portfel, treść żołądka, rozum oraz wola życia. Bandyty, kieszonkowcy, alfonsi i sprzedawcy hamburgerów — kolejność dowolna — mogą to załatwić w każdej chwili.

Ale czy mogą załatwić paczkę papierosów? — zastanawiał się Dirk, czując narastające napięcie. Przeszedł przez York Way, odrzucił kilka zaskakujących ofert, ponieważ w żaden sposób nie wiązały się z papierosami, przemknął pośpiesznie obok zamkniętej księgarni i wpadł głównym wejściem do hali dworcowej, porzucając życie uliczne i wkraczając w dominium Brytyjskich Kolei Państwowych.

Rozejrzał się dookoła.

Coś mu tu wyraźnie nie pasowało i nawet jął zastanawiać się dlaczego, lecz niedługo łamał sobie nad tym głowę, gdyż jednocześnie przemysliwał, czy jest tu jakiś czynny punkt sprzedaży papierosów, a okazało się, że nie ma.

Okląpł zupełnie. Przyszło mu do głowy, że przez cały dzisiejszy dzień świat bawi się z nim w kotka i myszkę. Poranek zaczął się w sposób najbardziej kata-

strofalny z możliwych i od tego czasu wszystko wymyka mu się z rąk. Poczul się jak ktoś, kto próbuje dosiąść wierzgającego konia; jedną nogą tkwi w strzemieniu, a drugą ciągle jeszcze odbija się, pełen nadziei, od ziemi. A teraz jeszcze okazało się niezbitcie, że nawet tak prosta rzecz jak papieros permanentnie pozostaje poza jego zasięgiem.

Westchnął i rozejrzał się za jakimś siedziskiem albo przynajmniej odrobiną wolnego miejsca na ławce.

To także nie okazało się proste. Stacja była o wiele bardziej zatłoczona, niż można by się tego spodziewać o... która to godzina? Dirk rzucił okiem na zegar — o pierwszej w nocy. Cóż, na Boga, robił na King's Cross o pierwszej w nocy, bez papierosów i bez domu, co do którego mógłby mieć jaką taką pewność, że dostanie się do środka nie będąc przy tym zadziobanym na śmierć przez ludobójczego orła?

Postanowił, że trochę się nad sobą poroczula. W ten sposób zabije czas. Rozejrzał się dookoła i po chwili, kiedy zaczęły doń docierać szczegóły najbliższego otoczenia, impuls do roztkliwiania się nad sobą zaczął powoli ustępować.

To, co mu przedtem nie pasowało, to fakt, że tak znajome miejsce może raptem wyglądać tak obco. Była tam jedna kasa biletowa, nadal czynna, lecz, mroczna i osaczona, wyglądała, jakby wołała być zamknięta.

Był tam także kiosk, zamknięty na głucho. Dziś już nikt nie będzie potrzebował gazet ani magazynów, chyba że do celów noclegowych, ale do przykrycia wystarczą w zupełności stare.

Alfonsi i dziwki, sprzedawcy narkotyków i hamburgerów zostali na zewnątrz, na ulicach i w barach z hamburgerami. Jeśli ktoś ma ochotę na seks, zanieczyszczoną działkę lub, nie daj Boże, hamburgera, tam właśnie powinien się udać.

Tu, w środku, znaleźli się ludzie, od których nikt już niczego nie chce. To tutaj szukali zwykle schronienia, dopóki nie nadeszła pora okresowego wyrzucania. Prawdę mówiąc, było jednak coś, czego inni ludzie od nich oczekiwali — żeby ich mianowicie nie było. Popyt na ich nieobecność wydawał się spory, ale załatwić podaż nie było łatwo. W końcu każdy musi gdzieś być.

Dirk wędrował spojrzeniem od jednego do drugiego, spoglądał na mężczyzn i kobiety, na przesuwających się ociężałe, skulonych na siedzeniach lub próbujących zasnąć na ławkach, które specjalnie zostały zaprojektowane tak, aby im to uniemożliwić.

— Masz fajkę, koleś?

— Co? Nie, przykro mi. Nie, nie mam — odparł Dirk, w zakłopotaniu obmacując kieszenie płaszcza, jakby chciał zasugerować poszukiwania, o których z góry wiedział, że będą bezowocne. Zmieszał się, tak niespodziewanie wyrwany z zadumy.

— No to proszę. — Starszy człowiek zaferował mu wymiętego papierosa z wymiętoszonej paczki.

— Co? Och... dzięki. Dziękuję. — Wstrząśnięty propozycją, Dirk mimo wszystko przyjął z wdzięcznością papierosa i odpalił od papierosa starego.

— Po co tu przyszedłeś? — zapytał stary; nie wyzywająco, lecz z czystej ciekawości.

— Faktycznie po to — odparł Dirk, obracając w palcach papieros. — Dzięki. Nigdzie nie mogłem znaleźć.

— No, taa — odparł stary.

— W domu mam to wściekle ptaszysko — mówił Dirk. — Ciągle mnie atakuje.

— No, taa — odpowiedział stary i z rezygnacją pokiwał głową.

— To znaczy: prawdziwe ptaszysko — mówi Dirk. — Orzeł.

— No, taa.

— Z wielkimi skrzydłami.

— No, taa.

— Zaczepił mnie szponem przez okienko na listy.

— No, taa.

Dirk zaczął się zastanawiać, czy warto ciągnąć tę rozmowę. Zapadł w milczenie i rozejrzał się.

— Masz szczęście, że nie zdzielił cię do tego dziobem — odezwał się po chwili stary. — Orły często tak robią, jak je rozdrażnić.

— Zdzielił! — podchwycił Dirk. — Zdzielił! Patrz tutaj, na nosie. Też przez okienko do listów. Nie uwierzyłybyś! To jest chwyt, to jest cios, nie ma co mówić! Zobacz, co mi zrobił w rękę!

Wyciągnął ją po współczucie. Stary oszacował wzrokiem ranę.

— No, taa — powiedział w końcu i na powrót pogрузzył się we własnych myślach.

Dirk cofnął poranioną rękę.

— Sporo wiesz o orłach, co?

Stary nie odpowiedział, tylko jeszcze głębiej pogрузzył się w myślach.

— Dużo tu dzisiaj ludzi — zaryzykował po chwili Dirk.

Stary wzruszył ramionami. Zaciągnął się głęboko papierosem, mrużąc oczy przed dymem.

— Zawsze tak jest? To znaczy: zawsze jest tu w nocy tylu ludzi?

Stary tylko popatrzył w dół, powoli wypuszczając dym ustami i nosem.

Dirk rozejrzał się raz jeszcze. Kilka kroków dalej mężczyzna, nie tak stary jak towarzysz Dirka, lecz zachowujący się jak pomyleniec, siedział nad butelką taniej brandy, potrząsając gorączkowo głową. Powoli się uspokajał, aż w końcu z trudem zakręcił butelkę i wsunął ją do kieszeni wystrzępionego płaszcza. Stara, gruba kobieta, która przeglądała kapryśnie zawartość wielkiej, pękatej, czarnej torby na śmieci, gdzie trzymała cały swój dobytek, zaczęła w końcu skręcać i zawiązywać jej brzег.

— Można by pomyśleć, że zaraz coś tu się będzie działo — odezwał się Dirk.

— No, taa — odparł jego towarzysz. Wsparł dłonie o kolana, pochylił się do przodu i dźwignął się z wysiłkiem na nogi. Choć był przygarbiony i ślamazarny, choć miał postrzępioną i przeżartą brudem odzież, w postawie zachował ślady potęgi i autorytetu.

Powietrze, które poruszył wstając, wypłynęło na zewnątrz z fałd jego ubrania i skóry. Niosło zapach przenikliwy i nieznośny nawet dla odrętwiałych nozdrzy Dirka. Był to zapach, z którym człowiek nie jest w stanie się oswoić — ilekroć Dirk myślał, że jego stężenie osiągnęło szczyt, nadpływał jeszcze potężniejszą falą, aż Dirk w końcu miał wrażenie, że za chwilę wyparuje mu mózg.

Starał się nie zakrztusić, nawet próbował uśmiechnąć się dwornie i powstrzymać łzawienie, kiedy stary odwrócił się ku niemu i powiedział:

— Zrób sobie napar z kwiatu gorzkiej pomarańczy. Kiedy będzie ciepły, dodaj parę szczypt szaławii. To dobre na rany po orłach. Są tacy, co dodają olejek migdałowy i morelowy, a nawet, Boże ucho, cedrowy. No, ale tacy to zawsze we wszystkim przesadzą. A czasem właśnie takich potrzebujemy. No, taa.

To mówiąc odwrócił się i dołączył do gęstniejącego strumienia żalonych, przygarbionych i zużytych ciał, które parły w stronę głównego wyjścia. Szło ich jakieś dwa, trzy tuziny. Każdy na pozór wychodził osobno, każdy i każda dla własnej, niezależnej przyczyny, trzymali się niezbyt blisko siebie, lecz nietrudno było dostrzec — jeśli komuś chciałoby się poobserwować ludzi, których zazwyczaj nikt nie chciał obserwować czy choćby dostrzec — że wychodzą stamtąd razem i strumieniem.

Dirk przez chwilę zajmował się troskliwie papierosem, a zarazem pilnie się przyglądał, jak jeden po drugim wychodzili. Kiedy się przekonał, że nikt już nie został, bo ostatnia dwójka zniknęła właśnie w drzwiach, rzucił niedopałek na ziemię i przydusił obcasem. Wtedy zauważył, że stary zostawił na ławce swą wymiętoszoną paczkę papierosów. Dirk zajął do środka i zobaczył, że zostały jeszcze dwa. Wsunął paczkę do kieszeni, wstał i cicho podążył za tamtymi w odległości, która wydała mu się odpowiednio pełna respektu.

Na zewnątrz, na Euston Road, nocne powietrze utyskiwało czegoś niespokojnie. Dirk przeszedł mimochodem przez wyjściowe drzwi i sprawdził, w którą udali się stronę — na zachód. Wyjął papierosa, zapalił, po czym od niechcenia przespacerował się w kierunku zachodnim, do St. Pancras Street.

Po zachodniej stronie St. Pancras Street, nieco na północ od Euston Road, znajdują się schody, które wiodą na dziedziniec starego Grand Hotelu Midland — ogromnego, mrocznego jak gotycka fantasmagoria — który stoi, opustoszały i zapomniany, po drugiej stronie stacji kolejowej St. Pancras.

Na samym szczycie schodów, uwieczniona złotymi literami na konstrukcji z kutego żelaza, widnieje nazwa stacji. Nie spiesząc się Dirk podążył za ostatnim z grupki włóczęgów i wyrzutków schodami, które ukazały mu się nagle za

niedużym, przysadzistym ceglany budynkiem, używanym jako garaż. Na prawo daleko w noc rozciągał się potężny, ciemny kształt hotelu, a kontur jego dachu rysował rząd cudaczných wieżyczek, sękatych wież i pinakli, które zdawały się dźgać nocne niebo.

Wysoko wśród mglistego mroku trzymały straż nieme kamienne figury, ukryte za kamiennymi tarczami, skupione przy pilastrach za balustradą z kutego żelaza. Rzeźbione smoki gotowały się do skoku, rozwartymi paszczami celując w niebo, kiedy Dirk Gently, powiewając połami płaszcza, przechodził przez żelazne wrota, z których wchodziło się jednocześnie do hotelu i pod kolebkowe sklepienie parowozowni stacji St. Pancras. Na głowicach kolumn przycupnęły kamienne psy.

Tu, w pomieszczeniu łączącym wejście do hotelu z halą główną dworca, stała nieoznakowana, szara furgonetka. Jeden szybki rzut oka wystarczył Dirkowi, by się upewnić, że to ta sama, która kilka godzin wcześniej omal nie zepchnęła go z szosy w Cotswolds.

Dirk wkroczył do przestronnej hali dworcowej o wyłożonych boazerią ścianach, na których rozmieszczono równomiernie marmurowe występy, przypominające uchwyty na łuczywa.

O tej porze kasa biletowa była zamknięta — z St. Pancras nie odchodzą nocne pociągi — a znajdująca się za nią wielka hala stacji, ogromna wiktoriańska parowozownia, kryła się wśród zasłon z mroku i cieni.

Dirk przystanął na uboczu, obserwując wchodzących na stację głównym wejściem włóczęgów i bezdomne kobiety, których zarysy zlewały się w mroku. Było ich teraz znacznie więcej niż dwa tuziny, może nawet setka, a ich zachowanie wywoływało wrażenie tłumionego podniecenia i napięcia.

Kiedy krążyli tak to tu, to tam, Dirk spostrzegł ze zdumieniem, że choć po wejściu zadziwili go swoją liczebnością, teraz wyraźnie ich ubywa. Wpatrywał się intensywnie w pomrokę, próbując wypatrzeć, co się dzieje. Wysunął się ze swego schowka i wszedł do hali dworcowej, lecz przy tym starał się nie oddalać zbyt od ściany.

Z całą pewnością ubywało ich jeszcze bardziej, została zaledwie garstka. Czuł wyraźnie, że wślizgują się w mrok i już stamtąd nie wracają.

Wbił w ciemność zaszępiłe spojrzenie.

W miejscu tym panował głęboki cień, ale przecież nie aż tak głęboki. Ruszył pospiesznie przed siebie i, porzuciwszy wszelką ostrożność, próbował dołączyć do ostatniej grupki. W chwili, gdy dotarł na sam środek parowozowni, nie było tam już nikogo, a on ostał się sam, zakłopotany, krążąc po wielkiej, ciemnej i pustej stacji kolejowej.

## Rozdział dwudziesty szósty

Przed przeraźliwym wrzaśnięciem uchronił Kate jedynie napór powietrza, które wdarło się jej do płuc, kiedy poszybowała znienacka w niebo.

Kiedy po kilkunastu sekundach przyśpieszenie nieco zmalało, stwierdziła, że krztusi się i dławi, oczy ją pieką i łzawią w stopniu, który prawie uniemożliwia widzenie, a na całym ciele nie ma właściwie mięśnia, który nie trząsłby się i nie dygotał. Napływające falami powietrze waliło w nią jak pięść, rozwiewało włosy i ubranie i sprawiało, że rozdzwoniły się jej zęby, rozdygotały kolana i kostki.

Z całej siły walczyła z przemożną chęcią wyrwania się z uścisku Thora. Z jednej strony była absolutnie pewna, że nie chce, aby ją puścił. Na ile mogła się zorientować w tym, co się z nią dzieje, wiedziała na pewno, że nie chce, żeby ją puścił. Z drugiej zaś strony szok fizyczny szedł o lepsze z czystą, urażoną wściekłością, bo przecież porwał ją w niebo bez żadnego ostrzeżenia. W rezultacie nie wyrywała mu się zbyt mocno i to także ją złościło. Koniec końców w sposób najbardziej nędzny i niegodny przylgnęła do ramienia Thora.

Noc była ciemna — i chwala Bogu, gdyż dzięki temu nie widziała pod sobą ziemi. Płonące tu i ówdzie światła kołysały się mdląco coraz niżej i niżej, lecz instynkt samozachowawczy nie pozwolił jej skojarzyć ich z ziemią. Światła z okien nieprzytomnie wywieżyczkowanego budynku, który dostrzegła kątem oka kilka sekund wcześniej, oddalały się coraz bardziej, chwiejąc się w dole jak żółte światełka boi.

Wciąż się wznosili.

Nie mogła się wyrwać, nie mogła wykrztusić słowa. Może, gdyby się postarała, zdołałaby ugryźć głupiego brutala w ramię, lecz zadowolili ją sam pomysł, nie zamierzała go realizować.

Powietrze było paskudne i rzeziło w płucach. Ciekło jej z nosa i oczu, nie mogła więc patrzeć przed siebie. Kiedy raz spróbowała, uchwyciła tylko zamazany kształt młota prującego nocne powietrze, dłoń Thora ściskającą jego przykrótki trzonek i wyciągnięte w dal ramię. Drugim ramieniem opasywał jej talię. Siła boga rzucała wyzwanie wyobraźni, lecz nie osłabiła jej złości.

Odniosła wrażenie, że prześlizgują się teraz pod warstwą chmur. Od czasu do czasu wpadali w nieprzyjemną wilgoć, w której oddychało się ciężej i znacznie

bardziej niezdrowo. Mokre powietrze miało gorzki smak i było zabójczo zimne, a przy tym wszystkim jeszcze jej własne, ociekające wilgocią włosy chlastały ją po twarzy.

Doszła do wniosku, że ten chłód z pewnością ją zabije, i przez chwilę nawet była przekonana, że już zaczyna tracić przytomność. Szybko jednak zdała sobie sprawę, że tak naprawdę to próbuje stracić przytomność, ale jej nie wychodzi. Czas jakby rozmył się w szarości, nie potrafiła określić, ile go upłynęło.

W końcu poczuła, że zwalniana i wielkim łukiem zaczynają schodzić w dół. Wywołało to kolejną falę mdłości. Czuła się tak, jakby ktoś powoli przekręcał jej żołądek przez wyżymaczkę.

Powietrze stawało się coraz paskudniejsze, jeśli to w ogóle możliwe. Gorzej cuchnęło, miało bardziej cierpki smak i zdawało się stawiać większy opór. Z całą pewnością zwalniali. Młot wyraźnie kierował się ku dołowi i zamiast, jak przedtem, gnać przed siebie, uważnie badał drogę.

Schodzili coraz niżej, przebijając się przez gęstniejące chmury, które kłębiły się wokół nich tak, że wydawało się, jakby sięgały samej ziemi.

Prędkość zmalała do tego stopnia, że Kate była w stanie popatrzeć przed siebie, choć przenikliwie zimne powietrze zezwoliło jej tylko na jedno zerknięcie. Właśnie wtedy Thor wypuścił na chwilę trzonek młota. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wypuścił go na ułamek sekundy, żeby poprawić chwyt, i oto zawiśli swobodnie, a młot płynął powoli do przodu, zamiast wlec ich w pędzie za sobą. Thor, zmieniając pozycję na wygodniejszą, krzepko podciągnął Kate w górę jak opadającą skarpetkę. Lecieli coraz niżej i niżej.

Wiatr przyniósł im teraz jakiś huczący ryk i nagle Thor biegł przez piaszczyste, usiane skałami pustkowie, podskakując i tańcząc wśród rozwichrzonych kępek traw, aż w końcu, tupiąc i łomocąc piętami, znieruchomiał.

Nareszcie stali, trochę chwiejnie, lecz na twardym gruncie.

Przez chwilę Kate, pochyliwszy się, oddychała ciężko. Potem wyprostowała się na całą wysokość i miała właśnie pełnym głosem zdać sprawę ze swych odczuć tyczących ostatnich wydarzeń, gdy zniemacka pojęła, gdzie stoi.

Choć noc była ciemna, targający nią wiatr i przykry zapach uświadomiły jej, że tuż obok musi być morze. Ryk rozbijających się fal odpowiedział, że w rzeczywistości morze znajduje się nieco poniżej i że stoją bardzo blisko krawędzi klifu. Szarpnęła za ramię nieznośnego boga, który ją tu przyniósł, w próżnej nadziei, że go to zaboli.

Kiedy już odzyskała nieco wirujące dotąd zmysły, zauważyła, że przed nią rozpościera się jakaś świetlista mgła, a po chwili uświadomiła sobie, że to właśnie morze.

Wznosiło się wysoko wśród nocy, ciskało się i zderzało hałaśliwie samo ze sobą, po czym w bolesnym zapamiętaniu rozbijało się na strzępy o nadbrzeżne skały. Niebo i morze wrzały przeciw sobie wzajemną jadowitą furją.



Kate patrzyła oniemiała; po chwili uświadomiła sobie, że obok niej stoi Thor.  
— Spotkałem cię na lotnisku — przemówił głosem, który ginął wśród wiatru. — Próbowałem dostać się do domu samolotem. — Wskazał na morze. — Chciałem, żebyś zobaczyła, dlaczego nie mogłem przedostać się tędy.

— Gdzie jesteśmy? Co to jest? — zapytała z przestraszeniem Kate.

— W twoim świecie to jest Morze Północne — odpowiedział i poszedł w stronę lądu, stąpając ciężko i wlokąc za sobą młot.

Kate otuliła się mokrym płaszczem i spieszenie ruszyła za nim.

— No dobrze, a dlaczego nie mogłeś przylecieć tak jak przed chwilą w... tego... w naszym świecie?

Wściekłość ustąpiła miejsca bliżej nie sprecyzowanym niepokojom o właściwy dobór słów.

— Próbowałem — odparł Thor nie zwalniając kroku.

— No i co się stało?

— Nie chcę o tym mówić.

— A to dlaczego, jeśli można wiedzieć?

— Nie mam zamiaru dyskutować na ten temat.

Kate aż zatrzęsło z irytacji.

— Czy tak postępuje bóg? — krzyknęła. — Wstydzisz się, więc nie chcesz o tym mówić?

W tej chwili dobiegł ich jakiś cienki, niesiony wiatrem głos:

— Thorze! Thorze! Czy to ty?

Kate starała się przeniknąć wzrokiem ciemności. Zza niewielkiego pagórka podążała ku nim w podskokach jakaś latarnia.

— Czy to ty, Thorze?

Z mroku wychynęła nieduża staruszka, trzymająca nad głową latarnię i kuśtykająca ku nim radośnie.

— Pomyślałam sobie, że ten młot, który widziałam, musi być twój. Witaj! — zaświergotała. — W złej porze przybywasz. Akurat mam chandrę. Właśnie miałam nastawić wodę, żeby wypić filiżankę tego czy owego, a potem być może się zabić, ale potem powiedziałam sobie: poczekaj parę dni, Tsuliwa... Tsuliwa... Swuli... Tsuliwaensis — kiedy gadam do siebie, nigdy nie potrafię wymówić własnego imienia, do szału mnie to doprowadza, pewnie sobie wyobrażasz, taki bystry chłopiec jak ty, zawsze to powtarzam, nieważne, co mówią inni, więc mówię do siebie: Tsuliwaensis, zobacz, czy ktoś nie zajrzy, a jak nie, to wtedy będziesz mogła pomyśleć o samobójstwie. I widzisz? Jesteś! Strasznie, naprawdę strasznie się cieszę. Widzę, że przywiozłeś ze sobą przyjaciółeczkę. Przedstawisz mnie? Witaj, moja droga, witaj! Nazywam się Tsuliwaensis i nie będę miała ci za złe, jeśli się zająkniesz.

— Jestem... e... jestem Kate — powiedziała Kate, doszczętnie zbита z tropu.

— No tak, mam nadzieję, że to wystarczy — rzekła stara kobieta dość oschle. — W każdym razie chodźcie, jeśli macie iść. Jeżeli chcecie sterczeć tu przez całą noc, to równie dobrze mogę od razu pójść ze sobą skończyć i pozwolić wam wypić herbatę samotnie, kiedy już uznacie, że jesteście gotowi. Chodźcie!

Popędziła pospiesznie przodem. Wkrótce dotarli do jakiejś strasznej konstrukcji z drewna i gliny, która wyglądała, jakby zawalając się, nie wiedzieć czemu zatrzymała się w pół drogi. Kate zerknęła w stronę Thora w nadziei, że zdoła wyczytać z jego twarzy, jak ma się w tym wszystkim znaleźć, lecz on był pochłonięty własnymi myślami i najwyraźniej nie miał zamiaru dzielić się nimi z nikim. Trzeba wszakże przyznać, że dała się zauważyć pewna zmiana w jego sposobie poruszania. W czasie ich krótkiej znajomości zaobserwowała, że Thor wygląda, jakby przez cały czas trawił go od środka hamowany gniew, który teraz trochę ustąpił. Nie zniknął całkowicie, po prostu ustąpił. Thor odsunął się na bok, żeby przepuścić Kate, i szorstkim gestem przynaglił ją do wejścia. Wszedł tuż za nią, obejrzawszy się wpieryw z progu, żeby zlustrować ten niewielki pas krajobrazu, jaki dało się stąd zobaczyć.

Wnętrze było maciupiękie i nędzne. Zamiast łóżka kilka pokrytych słomą desek, nad ogniskiem pełen wrzątku garnek, wciśnięta w kąt skrzynka-siedzisko.

— Miałam zamiar użyć tego noża, widzicie? — mówiła Tsuliwaensis, kręcąc się nerwowo. — Dopiero co pięknie go naostrzyłam, widzicie? Bardzo pięknie wychodzi, kiedy się weźmie odpowiedni zamach oseką. Myślałam, że tu będzie dobre miejsce, o, widzicie? Tu, na ścianie. Mogłabym wepchnąć rękojeść w szczelinę, tak żeby pięknie, mocno utkwiła, a potem — buch! — rzuciłabym się na ostrze. Buch! Widzicie? Tak się zastanawiam: może to powinno być trochę niżej, jak myślisz, kochanie? Znasz się na tym, prawda?

Kate wyjaśniła, że się nie zna, próbując zachować przy tym spokojny, rzeczowy ton.

— Tsuliwaensis — odezwał się Thor — nie przyjechaliśmy z wizytą, tylko żeby... Tsuli, proszę, odłóż ten nóż.

Tsuliwaensis stała, z ożywieniem lustrując ich wzrokiem, ale nie wypuszczała z ręki noża, opartego ciężkim, zakrzywionym ostrzem na lewym nadgarstku.

— Mną się nie przejmujcie, kochani — mówiła. — Mnie jest całkiem wygodnie. Mogę się wyłączyć, kiedy tylko będę gotowa. Z radością. W tych czasach nie da się żyć, o nie. Możecie sobie iść, bądźcie szczęśliwi. Nie zakłóćę wam szczęścia swoimi krzykami. Nie narobię zbytniego hałasu nożem, kiedy pójdziecie.

Stała, rozdygotana i wyzywająca.

Ostrożnie, niemal czule, Thor wyciągnął dłoń i wyjął nóż z jej roztrzęsionych rąk. Pozbawiona noża, stara kobieta momentalnie się załamała, a cała jej zuchowatość zniknęła bez śladu. Opadła na swoją skrzynię jak kupka nieszczęścia. Thor przykucnął przed nią, powolutku przyciągnął do siebie i uściskał. Tsuliwaensis z wolna wracała do siebie, aż w końcu odepchnęła go mówiąc, żeby się nie wy-

głupiał, po czym zaczęła hałaśliwie wygładzać swą beznadziejnie wystrzępioną i brudną suknię.

Kiedy już dostatecznie się pozbierała, przeniosła uwagę na Kate i zlustrowała ją od stóp do głów.

— Jesteś śmiertelniczką, prawda, kochanie? — powiedziała w końcu.

— Hm... no tak.

— Rozpoznałam po przebraniu. No tak. No cóż, teraz już sama widzisz, jak wygląda świat od tej drugiej strony, prawda, kochanie? I co o tym sądzisz? Kate wyjaśniła, że sama nie wie jeszcze, co o tym wszystkim sądzić. Thor usadowił się na podłodze i przymknąwszy oczy oparł wielką głowę o ścianę. Kate miała poczucie, jakby do czegoś się przygotowywał.

— Kiedyś światy tak bardzo się nie różniły — ciągnęła staruszka. — Kiedyś było tu ślicznie, wiesz, prześlicznie. Wszyscy szliśmy sobie na rękę. Bywały okropne awantury, jasne, i okropne bitwy, ale naprawdę było prześlicznie. A teraz? — Wydała z siebie przeciągłe, znużone westchnienie i strzepnęła ze ściany niewidzialny pyłek.

— Sprawy stoją źle — mówiła. — Bardzo, bardzo źle. Wiesz, wszystko wpływa na siebie nawzajem. Czasem trudno dokładnie określić, na czym polega ten wpływ. Czasem trudno powiedzieć, żeby nam się podobał. Dni teraz są przeważnie trudne i złe. Ale pod wieloma względami nasze światy są prawie takie same. Tam, gdzie u was jest wzniesienie, jest i u nas. To może być błotnisty pagórek albo ul, albo sadyba taka jak ta. Może to być coś znacznie wspanialszego, ale zawsze coś będzie. Thor, kochanie, wszystko z tobą w porządku?

Bóg grzmotu zamknął oczy i skinął głową. Łokcie oparł swobodnie na kolanach. Strzępy koszuli Kate, którymi obwiązał sobie lewe przedramię, rozmiękły od wilgoci. Zsunął je niedbałym gestem.

— A kiedy w waszym świecie nie zajęto się czymś należycie — trajkotała dalej staruszka — z całą pewnością podobnie będzie w naszym. Nic nie znika. Żaden sekretny grzech. Żadna nie wypowiedziana myśl. To coś w naszym świecie może stać się nowym, potężnym bóstwem albo zwykłym komarem, ale pojawi się na pewno. Można dodać, że obecnie znacznie częściej będzie to komar niż nowy, potężny bóg. Och, tyle przybyło nam teraz komarów, a nieśmiertelnych bogów wciąż ubywa; nie to, co dawniej.

— Jak to możliwe, żeby ubywało nieśmiertelnych? — zdziwiła się Kate. — Nie chciałabym wyjść na pedantkę, ale...

— No cóż, być nieśmiertelnym nie zawsze oznacza to samo. Chcę powiedzieć, że jeśli tylko udałoby mi się porządnie umocować ten nóż, a potem opracować szczegółowo solidny skok, szybko byśmy się przekonali, kto tu jest nieśmiertelny, a kto nie jest.

— Tsuli... — napomniał ją Thor, lecz nawet nie otworzył przy tym oczu.

— Odchodzimy jeden po drugim. Taka jest prawda, Thorze. Jesteś jednym

z niewielu, którym jeszcze zależy. Nieliczni są ci, co nie padli ofiarą alkoholizmu lub onksu.

— A cóż to jest? Jakaś choroba? — zapytała Kate. Znowu ogarniała ją złość. Wbrew własnej woli wyciągnięta z mieszkania i wleczona na końcu młota nad całą wschodnią Anglią, czuła się głęboko poirytowana faktem, że zmusza się ją teraz do konwersacji z ogarniętą manią samobójczą staruszką, podczas gdy Thor siedzi sobie, zadowolony, zwaliwszy na nią brzemię, którego wcale nie miała ochoty dźwigać.

— To przypadłość, kochanie, której ulegają tylko bogowie. Polega na tym, że nie ma się dłużej ochoty być bogiem, i właśnie dlatego zapadają na nią tylko bogowie, rozumiesz.

— Rozumiem.

— W ostatnim stadium choroby po prostu kładziesz się na ziemi, a po chwili wyrasta ci z głowy drzewo i po wszystkim. Łączysz się na nowo z ziemią, przesączasz się w jej trzewia, przepływasz przez jej życiodajne arterie, a w końcu wypływasz jako ogromne, czyste źródło i, co prawdopodobne, wpuszczają w ciebie natychmiast ogromny ładunek chemicznych odpadów. Być bogiem to dziś ponury interes, nawet kiedy się jest tylko martwym bogiem.

Umilkła na chwilę, zadumana.

— No dobrze — rzekła wreszcie, trzepnąwszy dłońmi po kolanach. Jej wzrok prześliznął się po Thorze, który otworzył już oczy, ale tylko po to, żeby zapatrzeć się we własne kolana i kłykcie. — Tak. Słyszałam, że masz dzisiaj spotkanie, Thorze.

— Mhm — mruknął Thor, nieporuszony.

— Słyszałam, że wezwałeś dzisiaj wszystkich do Wielkiej Hali na Godzinę Wyzwania, zgadza się?

— Mhm — odrzekł Thor.

— Hm, Godzina Wyzwania? No cóż... Między tobą a ojcem od dłuższego czasu nie układa się najlepiej, co?

Thor nie miał zamiaru dać się wciągnąć. Nie odpowiedział.

— Według mnie, ta historia z Walią była koszmarna — ciągnęła Tsuliwaensis. — Nie wiem, dlaczego na to pozwoliłeś. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że to twój ojciec i Ojciec Wszechrzeczy, i że to bardzo komplikuje sprawy. Ale ten Odyn, ten Odyn... Znam go już od tak dawna. Wiesz, że kiedyś zgodził się złożyć w ofierze jedno oko, żeby dostać w zamian mądrość? Jasne, że wiesz, kochanie, jesteś przecież jego synem, prawda? No cóż, zawsze twierdziłam, że jeśli chodzi o tę akurat umowę, powinien narobić szumu — powinien zażądać oka z powrotem. Wiesz, co chcę przez to powiedzieć, Thorze? I jeszcze ten obrzydliwy Toe Rag. To ktoś, kogo należy się strzec, Thorze, bardzo się strzec. No cóż, spodziewam się, że jutro rano o wszystkim usłyszę, prawda?

Thor wstał, przesuwał plecami po ścianie. Ciepło uściśnął dłonie staruszki

i obdarzył ją skąpym uśmiechem, lecz nie odezwał się. Lekkim skinieniem głowy zasygnalizował Kate, że wychodzą. Ponieważ była to jedyna rzecz, jakiej w tej chwili pragnęła, oparła się pokusie rzucenia przekornego: „Naprawdę?”, i wywołania awantury o to, jak się ją traktuje. Potulnie skinęła głową i ruszyła w mroczną noc. Za nią wyszedł Thor.

Na zewnątrz Kate stanęła z założonymi rękami i rzuciła zaczepnie:

— No i? Dokąd teraz? Jakie inne towarzyskie wydarzenia przygotowałeś dla mnie na dzisiejszą noc?

Thor pokręcił się trochę, badając grunt. Wyciągnął młot i zważył go w dłoniach. Wpatrzył się z uwagą w noc i od niechcienia zamachnął się kilka razy. Potem parokrotnie lekko się okręcił. Wypuścił młot, który uskoczył w mrok, rozłupał jakby niechcący odległą o kilkadziesiąt jardów skałę i przyskoczył z powrotem. Thor złapał go bez wysiłku, podrzucił wysoko w górę i ponownie złapał.

Potem odwrócił się do Kate i po raz pierwszy spoglądając jej w oczy zapytał:

— Chcesz coś zobaczyć?

## Rozdział dwudziesty siódmy

Pod wielkimi sklepieniami pustej stacji kolejowej przeleciał podmuch wiatru i sprawił, że Dirk niemal zawył z wściekłości, kiedy świeży trop, którym szedł, tak nagle i gwałtownie ostygł. Blask księżycy sączył się przez rzędy szybek, które ciągnęły się przez całą długość dachu stacji St. Pancras.

Padał na puste szyny i oświetlał je. Padał na rozkład jazdy pociągów, padał na tablicę, która wyjaśniała, że dziś jest Dzień Tańszych Przejazdów, i je również oświetlał.

W wielkim łuku dachu rysowały się kontury pięciu wielkich gazometrów, a konstrukcje, na których się wspierały, wydawały się splątane ze sobą w zupełnie niemożliwy sposób, jak połączone obręcze w iluzjonistycznej sztuczce. Światło księżycy oświetlało i te gazometry, lecz Dirka nie oświeciło ani trochę.

Widział przecież na własne oczy, jak ponad setka ludzi rozplywa się w powietrzu w absolutnie niemożliwy sposób. Jednak nie to stanowiło problem. Rzeczy niemożliwe nie wprawiały go w zbytne zakłopotanie. Jeśli coś nie dawało się zrobić w żaden możliwy sposób, wtedy, rzecz jasna, musiało zostać zrobione w sposób niemożliwy. Kwestia tylko: jak?

Przeszedł się po całym rejonie, skąd znikali, i obejrzał dokładnie wszystko, co dało się dojrzeć z każdego możliwego punktu obserwacyjnego, jaki znalazł w jego obrębie. Szukał jakiejś poszlaki, anomalii — czegokolwiek, co pozwoliłoby mu przejść tam, gdzie, jak widział, setka ludzi przeszła sobie jak gdyby nigdy nic. Miał poczucie, że gdzieś obok odbywa się huczne przyjęcie, na które go nie zaproszono. W desperacji zaczął wirować w miejscu z szeroko rozpostartymi ramionami, lecz wkrótce doszedł do wniosku, że to daremne i że lepiej zamiast tego zapalić papierosa.

Kiedy wyciągał paczkę, zauważył, że z kieszeni wyfrunął mu kawałek papieru, po który schylił się, gdy papieros rozpałił się na dobre.

Nie było to nic szczególnie interesującego, zwykły rachunek, który wziął od tej ostrej pielęgniareczki w kawiarni. Oburzające — pomyślał o każdej z pozycji, kiedy je przeglądał, i miał właśnie zmiąć papier, by następnie wyrzucić, gdy nagle uderzyło go coś w wyglądzie dokumentu.

Poszczególne pozycje wypisano na nim w kolumnie po lewej stronie, same

zaś ceny po prawej.

Wypisując własne rachunki — kiedy miał klienta, co było obecnie rzadkością, a ci, których miewał, nie byli jakoś w stanie dożyć chwili, w której mogliby taki rachunek otrzymać i oburzyć się na jego widok — zwykle wkładał sporo wysiłku w rozpisanie poszczególnych pozycji. Żeby je opisać, konstruował całe akapity, a czasem wręcz eseje. Lubił, by klient miał poczucie, że nie stracił pieniędzy, przynajmniej pod tym względem.

Krótko mówiąc, rachunki, które on sam wystawiał, były bardzo zbliżone wyglądem do pliku papierów z nieczytelnym pismem runicznym, w których za nic nie mógł się połapać parę godzin temu. Czy to w czymś pomoże? Nie miał pojęcia. A jeśli cały ten plik to nie kontrakt, ale rachunek, to za co mógł zostać wystawiony? Jakie usługi wykonano? Z pewnością musiały to być bardzo zawile usługi. A w każdym razie bardzo zawile opisane. Jakich mogły dotyczyć profesji? O tym należałoby pomyśleć. Zmiał rachunek i ruszył w kierunku kosza na śmieci.

Jak się okazało, był to bardzo fortunny ruch.

Oznaczał, że Dirk znalazł się poza otwartą przestrzenią stacji, tuż przy ścianie, do której mógł się niezauważenie przycisnąć, kiedy usłyszał znienacka dwie pary stóp, które właśnie przemierzały podwórzec.

Po chwili właściciele stóp wkroczyli do hali dworcowej, Dirk zaś znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, ukryty za występem muru.

To, że znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, miało też i ujemny aspekt, a mianowicie ten, że nie mógł dojrzeć, kim są właściciele owych stóp. Kiedy w końcu udało mu się rzucić na nich okiem, dotarli właśnie w to samo miejsce, gdzie poprzednio cicho i bez szumu zniknęła cała grupa.

Zaskoczyły go zarówno czerwona oprawka okularów kobiety i spokojnie skrojony włoski garnitur mężczyzny, jak i szybkość, z jaką następnie zniknęli.

Dirkowi ze zdumienia odjęło mowę. Toż to ta sama cholerna parka, która była zmorą całego dzisiejszego dnia (pod wpływem silnego rozdrażnienia pozwolił sobie na lekką przesadę), a teraz bezczelnie i z rozmysłem zniknęła sobie na jego oczach.

Kiedy już się upewnił, że zniknęli całkowicie i definitywnie oraz że nie chowają się tylko jedno za drugim, jeszcze raz zaryzykował przejście przez halę do owego tajemniczego punktu.

Wszystko tu było aż do osłupienia zwyczajne. Najzwyczajniejszy makadam, najzwyczajniejsze powietrze — wszystko najzwyczajniejsze w świecie. A mimo to gromada ludzi, która przez bitą dekadę mogłaby napędzać przemysł rozrywkowy w Trójkącie Bermudzkim, zniknęła tu w przeciągu pięciu minut.

Dirk był głęboko zirytowany.

Był tak głęboko zirytowany, że przyszło mu na myśl, żeby podzielić się z kimś swoją irytacją, telefonując i irytując z kolei jego; efekt — o pierwszej dwadzieścia w nocy — był właściwie pewny.

Nie była to jednak myśl zupełnie przypadkowa — ciągle niepokoił się o tę Amerykankę, Kate Schechter, a to, że usłyszał automatyczną sekretarkę, kiedy ostatnio dzwonił, bynajmniej go nie uspokoiło. O tej porze na pewno leży w łóżku, głęboko uspiona, i uspokoi go swoją wściekłością, kiedy ją obudzi.

Znalazł kilka monet oraz czynny automat i wykręcił numer Kate. Znow usłyszał automatyczną sekretarkę.

Powiedziała, że Kate właśnie wyskoczyła na wieczór w Asgardzie. Nie była pewna, w które rejony Asgardu się udają, lecz chyba zahaczą o Walhallę. Jeśli ma ochotę zostawić wiadomość, Kate przesłucha ją rano, pod warunkiem że będzie żywa i w odpowiednim nastroju. Potem nastąpiło jakieś buczenie, które przez kilka sekund dzwoniło Dirkowi w uszach.

— Och — powiedział, kiedy się zorientował, że maszyna właśnie go nagrywa — dobry Boże. No cóż, umawialiśmy się chyba, że to ty zadzwonisz, zanim zrobisz coś niemożliwego.

Odłożył słuchawkę; w głowie wirowało mu wściekle. Walhalla, co? Czy właśnie tam udawali się dziś wieczór wszyscy oprócz niego? Miał wielką ochotę pójść do domu, położyć się do łóżka i obudzić jako właściciel sklepu spożywczego.

Walhalla.

Jeszcze raz rozejrzał się wokół, a słowo Walhalla wciąż dzwoniło mu w uszach. Poczul, że bez wątpienia miejsce o takich gabarytach nadałoby się doskonale na uczyty bogów i martwych bohaterów, a dla Grand Hotelu Midland warto było przенosić cały ten kram z Norwegii. Zastanawiał się, czy coś zmieni fakt, że wie teraz, w co ma wkraczać.

Nerwowo i czujnie przeszedł na próbę rzeczona przestrzeń wzdłuż i wszerz. Nic. No dobra. Odwrócił się i przez chwilę lustrował ją wzrokiem, zaciągając się przy tym papierosem, który dostał od włóczęgi. Przestrzeń nie wyglądała ani trochę inaczej.

Przebył ją jeszcze raz, tym razem mniej ostrożnie, za to powolnym, zdecydowanym krokiem. Znow nic. Lecz kiedy miał właśnie wyjść poza jej obręb, na wpół sobie wyobraził, na wpół usłyszał przez ułamek chwili pewnego rodzaju ochrypty dźwięk, coś jak nagły wybuch szumów przy przekręcaniu gałki radia. Odwrócił się i wszedł tam jeszcze raz, starannie wykręcając na wszystkie strony głowę, żeby uchwycić nawet najlżejszy dźwięk. Przez chwilę nic nie słyszał, potem nagle otoczył go ze wszystkich stron hałas, który natychmiast zniknął. Jeszcze jeden ruch i kolejny hałas. Zaczął poruszać się bardzo, bardzo powoli i bardzo, bardzo ostrożnie. Najlżejszymi i najsubtelniejszymi z ruchów obracał głowę, próbując jeszcze raz zlokalizować dźwięki; za którymś obrotem o miliardową miliardowej stopnia wśliznął się za molekułę i już go nie było.

Natychmiast też musiał uchylić się przed ogromnym orłem, który z ogromnej przestrzeni nieba pikował wprost na niego.



## Rozdział dwudziesty ósmy

To był nowy, zupełnie inny orzeł. Następny też był zupełnie inny i następny także. Powietrze wprost naszpikowane było orłami i na pierwszy rzut oka wydawało się niemożliwe, żeby człowiek mógł wejść do Walhalli, nie będąc przy tym zaatakowanym przynajmniej przez pół tuzina ptaszysk. Doszło do tego, że orły pikowały na inne orły.

Dirk osłonił głowę ramionami, żeby uchronić się przed uderzeniami pierzastych furii, okręcił się na pięcie, potknął i upadł wprost pod ogromny stół, na podłogę zasłaną ciężkim, wilgotnym i zakurzonym sianem. Kapelusz potoczył się pod stołem. Dirk wczołgał się za nim, wetknął go zdecydowanym ruchem na głowę i powoli wyjrzał ponad blat.

Hala była ciemna, lecz rozjaśniał ją nieco blask ogromnych ognisk.

Powietrze przesycił hałas i dym palonego drewna, zapach pieczonych świń, pieczonych owiec, pieczonego dzika, odór potu, wina i opalonych orlich skrzydeł.

Stół, za którym przykucnął, zbudowany z niezliczonych desek ustawionych na kozłach, które sterczały we wszystkich kierunkach, dosłownie ugiął się pod parującymi pościami martwych zwierząt, potężnymi bochnami chleba, wielkimi żelaznymi dzbanami, z których przelewało się wino, i woskowymi świecami wielkości termitiery. Wokół niego mrowiły się potężne, spocone sylwetki, jedząc, pijąc, walcząc przy jedzeniu, walcząc wśród jedzenia, walcząc jedzeniem.

O tęgi krok od Dirka jakiś wojownik walczył ze świnią, którą pieczono przedtem przez bite sześć godzin, i choć jasne było, że przegrywa, to jednak przegrywał z wigorem i energią, zagrzewany do boju przez grono innych wojowników, którzy podlewali go winem z rogów.

Dach — na ile można było go dostrzec z tej odległości, w ciemnościach i przy migoczącym blasku ognisk — wykonano z połączonych ze sobą tarcz.

Dirk przycisnął dłonią kapelusz, schylił głowę i puścił się biegiem, próbując przedostać się w pobliże ściany hali. Kiedy tak biegł, czuł się dosłownie niewidzialny, dlatego że był kompletnie trzeźwy i, według własnego mniemania, normalnie ubrany. Biegąc mijał przykłady wszystkich właściwie czynności fizjologicznych, z wyjątkiem może mycia zębów. Panujący tu zapach, podobnie jak woń włóczęgi z King's Cross, który zresztą niewątpliwie uczestniczył w za-

bawie, należał do odorów, do których nie sposób przywyknąć. Narasta taki smród i narasta, aż wydaje się człowiekowi, że głowa też zaczyna mu rosnać, żeby go pomieścić. Łoskot mieczy uderzających o inne miecze, mieczy uderzających o tarcze, mieczy uderzających o ciała, ciał uderzających o inne ciała sprawiał, że bębni uszne dygotały, trzęsły się i miały ochotę się rozpląkać. Kiedy Dirk pędził i przepychał się przez dziki, rozszalały tłum, okładano go pięściami, trącano łokciami, podstawiano nogi, jednak w końcu udało mu się dotrzeć do bocznej ściany hali, skleconej z wielkich bali drewna i kamieni i obwieszanej śmierdzącymi krowimi skórami.

Dyszząc ciężko, przystanął na chwilę, odwrócił się i z zadziwieniem przyglądał się temu, co tam się działo.

To była Walhalla.

Co do tego nie mógł mieć najmniejszych wątpliwości. Na taki widok firmy dostawcze straciłyby ochotę do żartów. A cała ta dzika, kłębiąca się masa hulających bogów i wojowników oraz ich rozhulanych dam, razem z tymi wszystkimi tarczami, ogniskami i dzikami musiała zajmować przestrzeń zbliżoną do rozmiarów stacji St. Pancras. Samo gorąco, jakie się znad tego unosiło, powinno było wydusić stada zdegenerowanych orłów, które z łopotem skrzydeł krążyły w górze.

A może też tak w istocie było. Dirk nie miał żadnej pewności, że stado wściekłych orłów, które sądzą, że zaraz się uduszą, mogłoby się zachowywać inaczej niż większość tych, na które właśnie patrzył.

Było coś, nad czym nie chciał się zastanawiać, dopóki nie przepchnie się jakoś przez ten tłum, lecz w końcu nadszedł czas, żeby nad tym pomyśleć.

A co — pomyślał — z państwem Draycott?

Co też mogliby tu robić Draycottowie? No i gdzie, pośród tej kotłowaniny, mogą teraz być?

Przymrużył oczy i wpatrywał się uważnie w falującą tłuszcę, sprawdzając, czy pośród brzęczących napierśników i przepoconych skór nie zdoła gdzieś wypatrzyć ekskluzywnych czerwonych okularów albo spokojnego włoskiego garnituru; wpatrywał się mając całkowitą pewność, że to próżny trud, lecz czuł jednocześnie, że należy go podjąć.

Nie — doszedł do wniosku — nie widać ich. Zresztą, to nie dla nich towarzystwo. Inne tego typu refleksje zostały ucięte nagle przez ciężki topór o krótkiej rękojeści, który przeleciał obok w powietrzu, z zadziwiającym łomotem utkwiał w ścianie jakieś trzy cale od jego lewego ucha i na dłuższą chwilę wymazał mu myśli do czysta.

Kiedy Dirk doszedł do siebie po szoku i wypuścił powietrze z płuc, doszedł też od razu do wniosku, iż przedmiotu nie ciśnięto weń we wrogich zamiarach, a tylko w radosnym uniesieniu. Niemniej on sam nie był w rozrywkowym nastroju, postanowił więc ruszyć się stamtąd. Przepychał się bokiem wzdłuż ściany,

w kierunku, w którym — jeśli to rzeczywiście byłaby St. Pancras, a nie Walhalla — znajdowała się kasa biletowa. Nie miał pojęcia, co tam zastanie, lecz zakładał, że coś innego niż tu, a to bardzo by mu odpowiadało.

Wydało mu się, że ogólnie rzecz biorąc tu, na peryferiach, sprawy toczą się spokojniej.

Najlepsza i najgorętsza zabawa koncentrowała się bliżej środka sali, podczas gdy stoły, które mijał teraz, obsadzone zostały przez tych, którzy na oko osiągnęli już tę porę w swym nieśmiertelnym życiu, kiedy wolą raczej wspominać czasy, gdy zmagali się z pieczonymi świniami, i raczej wymieniać fachowe uwagi na temat co subtelniejszych chwytów w technice zapasów z pieczoną świnia niż samemu się z taką świnia zmagać.

Dirkowi udało się podsłuchać skierowaną do współtowarzysza uwagę na temat leworęcznego, trójpalcowego chwytu za mostek przeciwnika, który — chwyt oczywiście — jest najistotniejszym zagranem taktycznym w kluczowym momencie tuż przed finalnym, kompletnie zamroczonym prawie-padnięciem, na którą to uwagę współtowarzysz zareagował dobroliwym: „No, taa”. Dirk stanął, spojrzął i zawrócił.

Zgarbiony w zamyśleniu nad żelaznym talerzem, odziany w rozliczne sprzączki oraz solidnie wyplamione i skudłaczone futra, które były — jeśli to w ogóle możliwe — jeszcze bardziej obrzydliwe i cuchnące niż odzienie, w jakim Dirk widział go wcześniej, siedział jego znajomy z King’s Cross.

Dirk zastanawiał się, jak by tu do niego podejść. Szybkie trzepnięcie w ramię i okrzyk: „Niezła impreza, co?”, byłoby może i nie najgorszą strategią, lecz — zdecydował — nie na tę okazję.

Podczas gdy Dirk się zastanawiał, z powietrza zapikował nagle orzeł, z wielkim furkotem i trzepotem wylądował tuż przed starym, złożył skrzydła i podszedł bliżej, domagając się, by go nakarmiono. Stary spokojnie oderwał od kości kawał mięsiwa i podsunął ptaszysku, które wydziobnęło je ostro, lecz celnie spomiędzy palców.

Dirk pomyślał, że to może być ta szansa, której szukał. Sięgnął poprzez stół, wziął niewielki kawałek mięsa i podsunął ptakowi. Ten natychmiast skoczył Dirkowi na kark, zmuszając go do rozpaczliwego wymachiwania kapeluszem; mimo wszystko prezentacji dokonano.

— No, taa — powiedział stary i odpędził orła, po czym przesunął się trochę na swojej ławce. Nie było to przesadnie wylewne zaproszenie, niemniej było to zaproszenie. Dirk przelazł przez ławkę i usiadł.

— Dziękuję — powiedział posapując.

— No, taa. . .

— Jeśli pamiętasz. . .

W tej właśnie chwili przez Walhallę przetoczyło się potworne, wibrujące grzmotnięcie. Ktoś uderzył w bęben, lecz bęben ten brzmiał, jakby był niepraw-

dopodobnych wprost rozmiarów, co było zresztą całkiem zrozumiałe, jeśli miał przebić się przez harmider, jakim sala wypełniona była po brzegi. Bęben uderzył trzy razy, powoli i potężnie jak samo serce Walhalli.

Dirk skierował wzrok tam, skąd mógł dobiegać dźwięk. Wtedy dopiero zauważył, że na południowym krańcu sali, do którego uprzednio zdążał, znajduje się wielki balkon czy też pomost, ciągnący się prawie przez całą jej szerokość. Stały tam jakieś postacie, ledwie widoczne przez falujące powietrze i chmurę orłów, lecz Dirk miał poczucie, że ci, którzy są na górze, rządzą tymi, którzy są na dole.

Odyn, pomyślał Dirk. Na tym balkonie musi być Odyn, Ojciec Wszechrzeczy.

Odgłosy biesiady szybko ucichły, choć echa hałasów rozbrzmiewały jeszcze przez kilka sekund.

Kiedy zapadła pełna oczekiwania cisza, z balkonu zagrzmiał czyjś potężny głos i przetoczył się przez salę. Głos ten powiedział:

— Godzina Wyzwania już prawie dobiegła końca. To wielki bóg Thor zwołał nas tu na Godzinę Wyzwania. Po raz trzeci zapytuję więc: gdzie jest Thor?

Pomruk, jaki przeszedł przez salę, zdawał się wskazywać, że nikt nie ma pojęcia, gdzie jest Thor i dlaczego nie przyszedł dotrzymać wyzwania.

— To wielka zniewaga dla Ojca Wszechrzeczy. Jeśli przed upływem tej godziny nie dojdzie do pojedynku, na Thora zostanie nałożona odpowiednio surowa kara.

Bęben ponownie zagrzmiał po trzykroć, a konsternacja na sali bardzo się wzmogła. Gdzie jest Thor?

— Jest z jakąś dziewczyną — zabrzmiał czyjś głos ponad resztą, a po nim nastąpiły rześiste wybuchy śmiechu i wszystko wróciło do poprzedniego zgiełku.

— Tak — powiedział po cichu Dirk. — Spodziewam się, że tak właśnie musi być.

— No, taa.

Dirk zakładał, że mówi do siebie, więc zaskoczyło go, gdy stary zareagował na jego słowa, choć niespecjalnie zaskoczył go sposób, w jaki zareagował.

— Czy to Thor zwołał to zebranie? — spytał tamtego.

— No, taa.

— Trochę niegrzecznie, że się nie pojawił.

— No, taa.

— Spodziewam się, że wszyscy trochę się zdenerwowali.

— Nie, dopóki wystarcza pieczonych świń.

— Świń?

— No, taa.

Dirk nie od razu wiedział, jak sobie z tym radzić.

— No, taa — powiedział z rezygnacją.

— Tylko Thorowi naprawdę na czymś jeszcze zależy, rozumiesz — odezwał się stary. — Bez przerwy rzuca te swoje wyzwania, a potem nie jest w stanie ich dotrzymać. Nie umie się kłócić. Zaraz się zmiesza, wścieknie, zrobi coś głupiego i dostaje karę. Cała reszta przychodzi tu tylko dla świń.

— No, taa. — Dirk uczył się teraz zupełnie nowej techniki konwersacji i był zaskoczony własnymi postęпами. Zerknął na starego w świeżym przypiływie szacunku.

— Wiesz, ile kamieni jest w Walii? — zapytał nagle stary.

— No, taa — odparł znużony Dirk. Nie znał tego dowcipu.

— Ja też nie. Nikomu nie powie. Mówi: „Policz sobie sam”, i odchodzi naburmuszony.

— No, taa. — Dowcip wcale nie wydał mu się zabawny.

— No, a tym razem nawet się nie pojawił. Nie mogę powiedzieć, żebym miał mu za złe. Ale żał mi go, bo zdaje mi się, że on może mieć rację.

— No, taa.

Stary pogрузzył się w milczeniu.

Dirk czekał.

— No, taa — powtórzył z nadzieją.

Nic.

— No to, e. . . — odezwał się, próbując ponaglić tamtego ostrożnie — wydaje ci się, że może mieć rację, co?

— No, taa.

— Ach, tak. Stary Thor może mieć rację, co? To o to chodzi — mówił Dirk.

— No, taa.

— A pod jakim względem — Dirk zaczął w końcu tracić cierpliwość — wydaje ci się, że może mieć rację?

— Pod każdym względem.

— No, taa — powiedział Dirk, pokonany.

— To żaden sekret, że na bogów przyszły teraz ciężkie czasy — rzekł ponuro stary. — To jest jasne dla wszystkich, nawet dla tych, których obchodzą tylko świni, to jest dla większości. A kiedy czujesz, że już cię nikt nie potrzebuje, trudno jest wybiegać myślą dalej niż do następnej świni, nawet jeśli kiedyś miałeś pod sobą cały świat. Każdy przyjmuje, że to nieuniknione. To znaczy: każdy, tylko nie Thor. A teraz i on się poddał. Nie chciało mu się nawet przyjść, żeby podzielić się z nami świnia. Dał sobie spokój z wyzwaniem. No, taa.

— No, taa.

— No, taa.

— A to, no, wyzwanie Thora? — rzucił ostrożnie Dirk.

— No, taa.

— Co to było?

— No, taa.

Dirk do reszty stracił cierpliwość i naskoczył na starego.  
— Jakie wyzwanie rzucił Thor Odynowi? — dopytywał się ze złością.  
Stary, zaskoczony, z wolna obrócił ku niemu twarz i obrzucił go z góry na dół spojrzeniem swych wielkich, podkreślonych workami oczu.  
— Jesteś śmiertelnikiem, prawda?  
— Tak — rzucił cierpko Dirk. — Jestem śmiertelnikiem. Jasne, że jestem śmiertelnikiem. A co to ma do rzeczy?  
— Jak się tu dostałeś?  
— Szedłem za tobą. — Wyjął z kieszeni pustą paczkę po papierosach i położył ją na stole. — Dzięki — powiedział. — Będę ci dłużny.  
To dość nędzne wytłumaczenie — pomyślał, ale nie miał innego.  
— No, taa.  
Stary odwrócił wzrok.  
— Jakie wyzwanie rzucił Thor Odynowi? — zapytał jeszcze raz Dirk, tym razem starając się wykorzenić z głosu wszelką niecierpliwość.  
— Co cię to obchodzi? — rzucił gorzko stary. — Jesteś śmiertelnikiem. Dlaczego miałoby cię to obchodzić? Dostałeś, czegoś chciał, ty i cały twój rodzaj, choć niewiele jest teraz wart.  
— Za co dostałem? Skąd dostałem?  
— Z umowy — rzekł nieśmiertelny starzec. — Z kontraktu, w który, jak utrzymuje Thor, wszedł Odyn.  
— Kontrakt? Jaki kontrakt?  
Twarz mężczyzny z wolna napęlała się gniewem. Kiedy spojrzał na Dirka, głęboko w jego oczach zatańczyły ognie Walhalli.  
— Sprzedaż — powiedział głucho — nieśmiertelnej duszy.  
— Co? — zdumiał się Dirk. Przecież już rozważał tę myśl i odrzucił ją. — Chcesz powiedzieć, że człowiek sprzedał mu swoją duszę? Jaki człowiek? To bez sensu.  
— Nie — zaprzeczył stary — to nie miałoby żadnego sensu. Powiedziałem: nieśmiertelnej duszy. Thor twierdzi, że Odyn zaprzedał duszę Człowiekowi.  
Dirk gapił się na niego w przerażeniu, potem z wolna obrócił wzrok ku balkonowi. Coś się tam działo. Wielki bęben uderzył jeszcze raz i jeszcze raz Walhalla zaczęła się uciszać. Lecz bęben nie zabrzmiał już ani drugi, ani trzeci raz. Najwyraźniej zdarzyło się coś zgoła nieoczekiwanego, gdyż postacie na balkonie zaczęły przemieszczać się w niejakim zamieszaniu. Godzina Wyzwania dobiegła końca, lecz zdaje się, że jakiś pojedynek miał się jednak odbyć.  
Dirk palnął się w czoło i zachwiał się na ławce, bo spłynął nań w końcu potężny strumień olśnień.  
— Nie Człowiekowi — rzekł — a człowiekowi, konkretnie jednemu mężczyźnie i jednej kobiecie. Prawnikowi i specjalistce od reklamy. Od chwili, kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, że to jej wina. Tylko nie zdawałem sobie sprawy, że

mam rację. — Zwrócił się nagle do swego towarzysza. — Muszę się tam dostać.  
Na bogów, pomóż mi!

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

— Ooodyyyyyyyyn!!!!

Thor wyrzucił z siebie ryk wściekłości, od którego zadrżało niebo. Zaskoczony, ciężkie chmury wydały w odpowiedzi pomruk gromu, zdumione mocą powietrza, jakie przesunęło się pod nimi. Kate odskoczyła w tył, pobladła ze strachu. Dzwoniło jej w uszach.

— Toe Rag!!!!

Obiema rękami Thor cisnął młotem o ziemię przed własnymi stopami. Rzucił go z tak niewielkiej odległości z tak potworną siłą, że młot, odbity, skoczył dobrych trzydzieści jardów w górę.

— Gggggrrrrraaaaaaaa! — zaryczał Thor i z tą potężną eksplozją powietrza z płuc wzbił się za swym młotem, złapał go na chwilę przedtem, zanim zaczął opadać, i cisnął z powrotem ku ziemi, i złapał go ponownie, kiedy ów odskoczył w górę, okręcił się gwałtownie w powietrzu i z całej siły posłał go w morze, a sam opadł grzbietem na ziemię i jął wybijać piętami, łokciami i pięściami niewiarygodny werbel wściekłości.

Młot wystrzelił ponad morze i mknął tuż nad nim przez chwilę, a potem jeszcze zniżył tor, obuch zanurzył w wodzie i pruł tak dalej. Za nim, na powierzchni morza, otwierała się ostra bruzda, która rozciągnęła się w końcu na milę, kiedy młot przecinał powierzchnię jak chirurgiczny skalpel. Bruzda pogłębiała się gładko w ślad za nim, jej ściany rosły, rozsuwając się na boki pod wpływem siły uderzenia, aż w morzu utworzył się wielki wąwóz. Ściany tego kanionu chwiały się i dygotały niepewnie, a potem zwinęły się, runęły z powrotem i zderzyły ze sobą w oszalałym i pianistym zgiełku. Młot uniósł obuch i wystrzelił zakolem w powietrze. Thor skoczył na równe nogi i przyglądał mu się, nadal bębniąc stopami o ziemię jak bokser, ale bokser takiej wagi, że jego tupanie za chwilę wywoła niechybnie trzęsienie ziemi. Kiedy młot osiągnął szczytowy punkt swej trajektorii, Thor pchnął pięść na dół jak dyrygent, a młot runął w dół, prosto we wzburzone wody.

Uderzenie uspokoiło kipiel, tak jak policzek uspokaja histeryka. Minęła chwila. Z miejsca, gdzie runął młot, wytrysnęła nagle potężna kolumna wody, a kilka sekund później z jej środka wystrzelił w górę on sam, pociągając za sobą drugą



potężną kolumnę.

W górze wykonał salto, odwrócił się, zawirował w piruecie i popędził ku swojemu panu jak nieprzytomny ze szczęścia szczeniak. Thor chwycił go, lecz zamiast zatrzymać, pozwolił porwać się i razem przeokożkowali jakieś sto jardów wśród skał i na mgnienie oka znieruchomieli, zarywszy się w miękkiej glebie.

Thor jednak zaraz skoczył na równe nogi i jął obracać się, przeskakując z nogi na nogę w długich susach, rozkręcając wyciągnięty na długość ramienia młot. Kiedy go wypuścił, młot znów pognał w stronę morza, lecz tym razem wydarł na jego powierzchni gigantyczne półkole, przez co woda wzniosła się, formując na chwilę na jego obwodzie przeogromny wodny amfiteatr. Kiedy runęła naprzód, huknęła jak fala przyływu, popędziła przed siebie i rzuciła się, wściekła, na krótką ścianę klifu.

Młot wrócił do Thora, który nie czekając potężnym zamachem cisnął go z powrotem. Poleciał wprost na jedną ze skał, krzesząc z niej wielką, gniewną iskrę. Oskoczył dalej i wykrzesał kolejne iskry z następnej skały i jeszcze z następnej. Thor rzucił się na kolana i za każdym razem, gdy młot zbliżał się ku skale, walił pięścią w ziemię sprawiając, że głąz wyskakiwał na spotkanie młota. Skały strzelały iskrami. Młot uderzał w każdą kolejną z coraz to większą siłą, aż w końcu jedna z iskier wywołała ostrzegawczy błysk pioruna wśród chmur.

A potem poruszyło się niebo jak ogromne, rozzłoszczone zwierzę, podnoszące się z legowiska. Wykrzesywane iskry coraz szybciej i mocniej wylatywały spod młota, z nieba wybiegało im na spotkanie coraz więcej wygiętych łuków błyskawic, a ziemia zaczęła drżeć jakby w przerażeniu.

Thor uniósł ramiona ponad głowę i z całej siły opuścił je na dół, wyrzucając jednocześnie w niebo jeszcze jeden ogłuszający ryk.

— Ooodyyyyyyn!!!

Wydawało się, że niebo zaraz się rozpęknie.

— Toe Raaaaaag!!!

Thor rzucił się na ziemię, odwalając na bok ze dwa kontenery kamienistej gleby. Trząsł się od narastającej wściekłości. Z głuchym stęknieniem cały klif zaczął chylić się z wolna ku morzu, kiedy Thor nań napał, a po kilku sekundach runął ciężko w kipiącą pod spodem udrekę. Thor zaś odczołgał się dalej, chwycił skałę wielkości fortepianu i podniósł ją nad głowę.

Przez chwilę wszystko zamarło bez ruchu.

Thor cisnął skałę w morze.

Odzyskał swój młot.

— Oooo...! — ryknął. — ...dyyyyyyn!!!

Młot trzasnął o ziemię.

Z ziemi wytrysnął strumień wody, a niebo eksplodowało. Błyskawica jak biała ściana światła rozciągnęła się na mile wzdłuż całego wybrzeża. Grzmot zadudnił

jak zderzające się światy, a chmury rzygnęły deszczem. Thor stał, triumfujący, w strumieniach wody.

Minęło zaledwie kilka minut, a cały ten gwałt wygasł i tylko jednolity, ulewny deszcz nadal padał. Chmury oczyszczały się, a przez przerzedzającą się ich warstwę zaczęły przenikać pierwsze słabe promyki porannego światła.

Thor poczłapał z powrotem, po drodze otrząsając i zmywając błoto z rąk. Złapał młot, kiedy ten nadleciał.

Odnalazł Kate, która stała obserwując go i trzęsąc się ze zdumienia, strachu i furii.

— A o co poszło tym razem?! — wrzasnęła.

— Potrzebowałem w spokoju się pozłoczyć — odparł. Kiedy zobaczył, że taka odpowiedź jej nie zadowala, dodał: — Chyba wolno bogu od czasu do czasu się popisać, nie?

Wśród deszczu pędziła ku nim pospiesznie przygarbiona figurka Tsuliwaensis.

— Hałaśliwy z ciebie chłopiec, Thorze! — napomniała go. — Hałaśliwy chłopiec!

Lecz Thora już z nimi nie było. Kiedy podniosły wzrok, domyśliły się, że jest tym małym punkcikiem, który popędził na północ przez przejaśniające się niebo.

## Rozdział trzydziesty

Cynthia Draycott pełna niesmaku spoglądała na rozgrywające się pod balkonem sceny. Walhalla kręciła się na pełnych obrotach.

— Nie cierpię tego — mówiła. — Nie chcę, żeby coś takiego miało miejsce w moim życiu.

— I nie będzie miało miejsca, kochanie — odparł spokojnie Clive Draycott, który stał za nią, opierając dłonie na jej ramionach. — Zaraz się wszystko załatwi i będzie grało idealnie. Bardzo dobrze się stało. Dokładnie tak, jak chcieliśmy. Wiesz, że fantastycznie wyglądasz w tych okularach? Bardzo ci do twarzy, poważnie. Są wyjątkowo sztywne.

— Clive, to miało być załatwione na początku. Chodziło przecież głównie o to, żebyśmy nie mieli żadnych kłopotów, żebyśmy to zrobili, załatwili i mogli o tym zapomnieć. O to właśnie szło. Dość gówna już w życiu zniosłam. Chciałam, żeby w końcu było dobrze, tak na sto procent. A tego wszystkiego nie chcę.

— No właśnie. I dlatego to dla nas idealna okazja. Teraz będziemy mieli wszystko, czegośmy chcieli, i na dodatek bez żadnych zobowiązań. Wyjdziemy na czysto i będzie nam w końcu na sto procent dobrze. Czyściutko. Dokładnie tak, jak chciałaś. Naprawdę, nie mogło być lepiej. Zaufaj mi.

— A co będzie z tą nową... osobą? To kolejna sprawa, którą trzeba będzie załatwić.

— To będzie proste. Bardzo proste. Słuchaj, to naprawdę nic takiego. Załatwimy to, zanim jeszcze stąd wyjdziemy. Coś mu kupimy. Nowy płaszcz. Może nawet trzeba będzie kupić mu nowy dom. Wiesz, ile nas to będzie kosztowało? — Zaśmiała się czarująco. — Tyle co nic. Wcale nie musisz się tym martwić. Nie musisz nawet martwić się tym, że będziesz musiała się o to martwić. To... aż tak... proste. OK?

— Mhm.

— OK. Zaraz wracam.

Odwrócił się i ruszył wprost do przedsiionka komnat Ojca Wszechrzeczy, uśmiechając się przez całą drogę.

— A więc, panie... — Udał, że jeszcze raz spogląda na wizytówkę — ...Gently. Chce pan występować w imieniu tych ludzi, czy nie tak?

— Tych nieśmiertelnych bogów — odparł Dirk.

— OK, bogów. W porządku. Może spisz się pan lepiej niż ten maniackalny mały szalawiła, z którym ostatnio miałem do czynienia. Wie pan, ten to dopiero ma charakter, ten nasz pan Rag. Wie pan, to naprawdę zadziwiający facet. Robił, co mógł, próbował wszystkich najstarszych sztuczek, żeby mnie wyrolować i zrobić ze mnie wariata. A wie pan, jak radzę sobie z takimi jak on? Ignoruję. Zwyczajnie: ignoruję. Jeśli ma ochotę dokazywać, grozić, pokrzykiwać i grzebać w pięciuset siedemnastu klauzulach, na których miał zamiar mnie złapać — jego rzecz. Zajmuje mi czas, ale co z tego? Ja mam czas. Mam mnóstwo czasu dla takich jak pan Rag. Bo wie pan, co tu jest najzabawniejsze? Wie pan, co jest naprawdę zabawne? Ten gość nie potrafił nawet tak ułożyć umowy, żeby ocalić własne życie. I coś panu powiem: mnie to odpowiada. Gość może się rzucać i pluć, ile chce — a kiedy się zmęczy, ja zacznę nawijać żyłkę na szpulę wędki. Niech pan posłucha. Układałem już kontrakty dla wytwórni płytowych. W porównaniu z tamtymi ci tutaj to płatki. Prymitywne dzikusy. Sam pan widział. Miał pan z nimi do czynienia. To prymitywne dzikusy. Tak czy nie? Jak czerwonoskórzy. Sami nie zdają sobie sprawy z tego, co mają. Wie pan co, naprawdę mają szczęście, że nie natknęli się na prawdziwego rekina. Poważnie. Wie pan, ile kosztuje Ameryka? Nie wie pan i ja też nie. A mam panu powiedzieć, dlaczego? Bo ta kwota jest tak nieistotna, że nawet gdyby ktoś ją tu wymienił, w chwilę później już byśmy nie pamiętali. Umknęłaby nam całkowicie. A ja z kolei, jeśli tak porównać, to ja dostarczam wszystkiego. Mówię panu: naprawdę wszystkiego. Prywatny apartament w szpitalu w Woodshead? Proszę bardzo. Wszechstronna opieka, jedzenie, niesamowite ilości lnianej bielizny. Niesamowite. Przy dzisiejszych cenach można by spokojnie za to kupić Stany Zjednoczone Ameryki. Ale wie pan co? Powiedziałem tak: jak facet chce lnianej pościeli, to niech ma tę swoją pościel. Niech ją sobie ma. W porządku. Zapracował na to. Może mieć tyle pościeli, ile tylko zapragnie. I niech się odpieprzy — to wszystko. I powiem panu, że gość ma przyjemne życie. Naprawdę przyjemne życie. A mnie się wydaje, że to właśnie to, czego wszyscy byśmy sobie życzyli — przyjemnego życia. Ten facet z pewnością tego chciał. Tylko nie wiedział, jak to załatwić. Żaden z nich nie wiedział. W nowoczesnym świecie są trochę jakby bezradni. Trochę im ciężko, a ja tylko próbuję pomóc. I niech mi pan wierzy, oni są bardzo naiwni. Poważnie: bardzo naiwni. Moja żona, Cynthia, już ją pan poznał, to najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Mówię panu, tak dobrze się między nami układa. . .

— Nie mam ochoty słuchać o tym, jak się panu układa z żoną.

— W porządku. Doskonale. Wydaje mi się tylko, że warto, aby pan wiedział o kilku sprawach. Ale jeśli pan sobie nie życzy — w porządku. OK. Cynthia pracuje w reklamie. Już pan o tym wie. Jest głównym wspólnikiem w liczącej się agencji. Rzeczywiście liczącej się agencji. Parę lat temu przygotowywali dużą kampanię reklamową, naprawdę dużą, w której jakiś facet gra w reklamówce bo-

ga. On coś tam prezentuje, jakiś napój, wie pan, coś, od czego dzieciakom psują się zęby. A w tym czasie Odyn jest kompletnie na dnie. Żyje na ulicy. Zwyczajnie nie może się pozbierać, bo nie jest przystosowany do takiego świata. Taka potęga, a nie wie, jak ją w tych czasach wykorzystać. I tu zaczyna się prawdziwa zabawa. Odyn widzi tę reklamówkę w telewizji i myśli sobie: „Hej, ja też mógłbym to robić, przecież jestem bogiem!” Myśli, że może mu zapłacić za występowanie w reklamówkach. A sam pan wie, jak to wygląda. Płaci jeszcze mniej, niż kosztują Stany Zjednoczone, rozumie pan. Niech pan tylko pomyśli: Odyn, szef i źródło mocy wszystkich skandynawskich bogów, ma nadzieję, że zapłaci mu za występowanie w telewizyjnej reklamie napojów chłodzących! I ten facet, ten bóg, próbuje znaleźć kogoś, kto mu pozwoli wystąpić w telewizji. Żaloszna naiwność. I pazerność, nie zapominajmy: pazerność.

Przypadkiem wpada na Cynthię. Ona jest w tym czasie zaledwie śliczną biuralistką, nie zwraca na niego uwagi, myśli, że to zwykły świr, a potem troszkę ją jednak zaciekawia ta jego dziwaczność i każe mi go obejrzeć I wie pan co? Nagle oświeca nas, że facet mówi prawdę. Facet mówi prawdę! To rzeczywiście, prawdziwy bóg z całym orężem boskich mocy. I to nie jakiś tam pierwszy lepszy bóg, lecz ten najważniejszy. Ten, od którego zależy moc wszystkich innych. I on chce zagrać w reklamówce. Powtórzmy to sobie jeszcze raz, dobrze? W re-kla-mów-ce! Ta myśl zaparła nam dech. Czy ten facet nie zdaje sobie sprawy, co posiada? Nie wyobraża sobie, co mógłby osiągnąć, dysponując taką mocą? Najwyraźniej nie. I muszę panu powiedzieć, że była to najbardziej zdumiewająca chwila w naszym życiu. Zdu-mie-wa-ją-ca. I powiem panu: Cynthia i ja zawsze mieliśmy poczucie, że jesteśmy wyjątkowi i że przydarzy nam się coś wyjątkowego. No i proszę: przydarzyło się.

Ale niech pan słucha dalej. Nie jesteśmy pazerni. Nie chcemy dla siebie całej potęgi, całego tego bogactwa. Chcę powiedzieć, że tylko tak patrzymy sobie na ten nasz świat. Ten cały pieprzony świat. Gdybyśmy zechcieli, moglibyśmy go mieć na własność. Ale kto by chciał mieć na własność świat? Pomyśl pan, ile to kłopotu. Nie chcemy nawet ogromnych bogactw, razem z tymi wszystkimi prawnikami i księgowymi, z jakimi trzeba by się wtedy użerać. Wiem, co mówię — sam jestem prawnikiem. OK, można najać ludzi, żeby pilnowali naszych prawników i księgowych, ale kto niby miałby to być? Kolejni prawnicy i księgowi. A wie pan, nawet nie mamy ochoty brać na siebie takiej odpowiedzialności. To za wiele.

No więc, wtedy przychodzi mi do głowy taki pomysł. To tak jakby kupić wielką posiadłość, a potem odsprzedać to, czego samemu się nie chce. W ten sposób dostaje się to, czego się chce, a przy okazji wielu innych także dostaje to, czego chce, tyle że dostają to za moim pośrednictwem, są więc mi trochę zobowiązani, a muszą dobrze o tym pamiętać, ponieważ podpisują świstek, na którym jest napisane, jak bardzo są mi zobowiązani. A z tego spływają pieniądze, z których opłacamy naszemu panu Odynowi jego bardzo, bardzo, bardzo drogą prywatną

opiekę medyczną.

Sami więc nie posiadamy zbyt wiele, panie Gently. Jeden czy dwa umiarkowanie przyjemne domy. Jeden czy dwa umiarkowanie przyjemne samochody. Wiedziemy miły żywot. Naprawdę, bardzo, bardzo przyjemny. Nie potrzebujemy zbyt wiele, ponieważ wszystko, czego potrzebujemy, zawsze ktoś nam udostępni, zawsze ktoś nam załatwi. To, czego żądaliśmy, było w zaistniałych okolicznościach żądaniem bardzo rozsądnym, a dotyczyło tego, że nie chcemy więcej o tym słyszeć. Odbieramy nasze skromne zamówienie i odchodzimy z ukłonem. Nie chcemy nic, poza absolutną ciszą i spokojem, i poza przyjemnym życiem, bo Cynthia bywa czasem trochę nerwowa. OK.

No, a co się dzieje dzisiaj rano? Na progę naszego domu! To obrzydliwe. To naprawdę obrzydliwy numer. A wie pan, jak do tego doszło? Oto jak do tego doszło. Znowu zjawia się nasz nieduży przyjaciel, pan Toe Rag, i próbuje tych swoich sztuczek w stylu adwokata-wudu. To takie żałosne. Zabawia się, marnotrawi mój czas na te wszystkie triki, sztuczki, odsyłanie od Annasza do Kajfasza, a potem próbuje mnie niepokoić, przedstawiając rachunek za swój stracony czas. Ale to nic. To praca pozorna. Wszyscy prawnicy tak robią. Więc ja na to: OK, biore ten twój rachunek, nie obchodzi mnie, co na nim jest. Dajesz mi swój rachunek, a ja dopilnuję, żeby ktoś to załatwił. I wszystko jest OK. A on mi go daje.

Dopiero później orientuję się, że tam jest taka jedna chytra klauzula. No to co? Próbuje być sprytny. Podrzucił mi parzący ziemniak. Wie pan, w przemyśle płytowym pełno jest takich ziemniaków. Po prostu trzeba komuś nakazać, żeby się nim zajął. Zawsze znajdą się tacy, którzy z przyjemnością coś ci załatwią, kiedy pną się po szczelkach drabiny. A jeśli nadają się na swój szczebel, sami z kolei zlecą to komuś innemu. Dostajesz parzący ziemniak — przekazujesz go dalej. Ja przekazałem. Wie pan, jest mnóstwo ludzi, którzy są szczęśliwi, kiedy tylko mogą coś dla mnie załatwić. I wie pan co? Zabawnie patrzeć, jak daleko i jak szybko wędrował ten konkretny ziemniak. Łatwo dało się zauważyć, kto jest sprytny, a kto nie. Ale w końcu ziemniak ląduje tuż za murem mojego ogródka i, jak się obawiam, ktoś w końcu dostaje tę klauzulę o karze. Woodshead to kosztowny drobiazg i wydaje mi się, że pańscy klienci mogą się na nim nieźle przejechać. Mamy ich w garści. Moglibyśmy spokojnie wszystko odwołać. Niech mi pan wierzy, mam już wszystko, czego mógłbym zapragnąć.

Ale niech pan posłucha, panie Gently. Sądzę, że rozumie pan moją sytuację. Byliśmy ze sobą dość szczerzy i dobrze mi to zrobiło. Mam oczywiście na uwadze pańską wrażliwość, a jestem w stanie sprawić, żeby zdarzyło się wiele różnych rzeczy. Może zatem przeszlibyśmy do którejś z potencjalnych form wynagrodzenia. Wszystko, czego pan zażąda, panie Gently, może się spełnić.

— Widzieć pana martwym, panie Draycott — odparł Dirk. — Chciałbym jedynie widzieć pana martwym.

— No cóż, w takim razie ja też mam cię w dupie.

Dirk Gently odwrócił się i wyszedł, żeby odnaleźć swego nowego klienta i zakomunikować mu, iż wydaje mu się, że mogą mieć niewielki problem.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Niedługo potem ciemnoniebieskie BMW ruszyło z opustoszałego dziedzińca stacji St. Pancras i odjechało cichymi i spokojnymi ulicami.

Nieco przygnębiony Dirk Gently wcisnął na głowę kapelusz i pożegnał swego świeżo zdobytego i świeżo porzuconego klienta, który oświadczył, że pragnie teraz pozostać sam, żeby — ewentualnie — zamienić się w szczura albo coś w tym guście.

Dirk zamknął za sobą wielkie wrota i wolnym krokiem wyszedł na balkon, skąd spojrzął na wielką, wysoko sklepioną salę bogów i bohaterów, Walhallę. Znalazł się na balkonie akurat w chwili, kiedy kilku ostatnich maruderów hulanki zniknęło w oddali; prawdopodobnie w tymże momencie pojawiali się w wielkiej, łukowato sklepionej parowozowni St. Pancras. Dirk stał przez chwilę zapatrzony na pustą halę, której wielkie ogniska były teraz zaledwie kupkami żarzących się węgla.

Potem z minimalnym drgnieniem głowy sam wykonał stosowne przejście i znalazł się w zakurzonej, zaniedbanym korytarzu pustego Grand Hotelu Midland. W oddali, przy ciemnej hali dworca jeszcze raz dojrzał ostatnich maruderów z Walhalli, sunących ciężko w zimne ulice Londynu, aby poszukać ławek, które zaprojektowano tak, żeby nie dało się na nich zasnąć, i spróbować się zdrzemnąć.

Westchnął i zaczął szukać wyjścia z opustoszałego hotelu, a zadanie to okazało się o wiele trudniejsze, niż przypuszczał, ponieważ budowla w środku przypominała labirynt. W końcu trafił na wielkie, kręcone, gotyckie schody, które powiodły go aż na sam dół, do głównego holu, swego czasu przyozdobionego rzeźbami smoków, gryfów oraz innymi ozdobami z pięknie kutego żelaza. Frontowe wejście zamknięte było od lat, a kiedy znalazł wreszcie boczny korytarzyk prowadzący do drugiego wyjścia, drogę zastąpił mu wielki, spocony, rozlany stwór, który koniecznie chciał wiedzieć, w jaki sposób Dirk dostał się do środka. I choć nie zadowalało go żadne z wyjaśnień, koniec końców musiał Dirka wypuścić, jako że nic innego mu nie pozostało.

Wychodząc Dirk skierował się w stronę wejścia do hali dworcowej, a potem na samą stację. Przez chwilę po prostu stał rozglądając się wokół siebie, a następ-



nie wyszedł przez główne wrota i zszedł po schodach, które wiodły na ulicę St. Pancras. Kiedy pojawił się na ulicy, był tak zaskoczony tym, że nie pikuje nań żaden orzeł, iż potknął się, przewrócił i wpadł pod motocykl pierwszego porannego gońca.

## Rozdział trzydziesty drugi

Z potężnym łomotem Thor przebił się przez mur po drugiej stronie Walhalli i stanął, gotów ogłosić zebranim tu bogom i bohaterom, że wreszcie udało mu się przedostać do Norwegii i znaleźć umowę, którą podpisał Odyn i którą zakopano następnie na zboczu góry — lecz nie mógł tego uczynić, ponieważ wszyscy już wyszli i sala była pusta.

— Nikogo tu nie ma — powiedział do Kate, uwalniając ją ze swego potężnego uścisku. — Wszyscy już poszli.

— Co... — zaczęła Kate.

— Spróbujemy w komnatach starego — oznajmił Thor i cisnął swój młot na balkon, z nimi samymi u trzonka.

Szedł energicznie przez wielkie komnaty, nie zważając na protesty, błagania i ogólne sponiewieranie Kate.

Starego nie było.

— Musi tu gdzieś być — rzucił ze złością Thor, wlokąc za sobą młot.

— Co...

— Przejdziemy przez granicę światów — oznajmił i znów złapał Kate. Przemknęli na drugą stronę.

Znaleźli się w wielkim hotelowym apartamencie.

Podłogę pokrywały śmiecie i strzępy zbutwiałego dywanu, okna nosiły ślady wieloletniego zaniedbania. Wszędzie widniały pamiątki po gołębiach, a łuszcząca się farba wywoływała wrażenie, jakby na ścianach eksplodowało kilka średnio licznych rodzin rozgwiad.

Na środku pokoju stał porzucony wózek szpitalny, na którym pośród przepięknie wypranej i wymaglowanej pościeli spoczywał stary człowiek, lejąc łzy z jedyne go oka.

— Znalazłem ten kontrakt, draniu — wściekał się Thor, powiewając ku starcowi papierem. — Znalazłem umowę, którą zawarłeś. Sprzedałeś całą naszą moc prawnikowi ii... ii... i projektantce reklam, i najróżniejszym innym ludziom! Ukradłeś naszą moc! Mnie nie mogłeś ukraść wszystkiego, bo jestem zbyt potężny, ale sprawiłeś, że cały czas czułem się oszołomiony i zmieszany, bo zrobiłeś tak, żeby za każdym razem, kiedy wpadłem w gniew, zdarzyło się coś paskudne-

go. Wszystkimi sposobami uniemożliwiałeś mi powrót do Norwegii, bo wiedziałeś, że to znajdę! Ty i ten jadowity karzeł Toe Rag! Znieważałeś i poniżałeś mnie przez całe lata. . .

— Tak, tak, wszyscy o tym wiemy — odezwał się Odyn.

— No. . . to dobrze!

— Thorze. . . — odezwała się Kate.

— W końcu strząsnąłem z siebie to wszystko! — krzyczał Thor.

— Tak, widzę. . .

— Poszedłem tam, gdzie mogłem się w spokoju pozłościć, bo wiedziałem, że będziesz zajęty tutaj i że tu będziesz mnie oczekiwał, a tam wykrzyczałem się do syta, roztrzaskałem to i owo i znow jestem w porządku! I zacznę od tego, że podre to na strzępy!

Podarł kontrakt na kawałki, które rzucił w powietrze i spopielił wzrokiem.

— Thorze. . . — powtórzyła Kate.

— A teraz mam zamiar naprawić wszystkie zło, które uczyniłeś, żebym zaczął bać się własnego gniewu. Ta biedna dziewczyna na stanowisku odprawy lotów, która zamieniła się w automat do napojów. Łup! Bums! Jest z powrotem! Odrzutowiec myśliwski, który próbował mnie zestrzelić, kiedy leciałem do Norwegii. Łup! Bums! Jest z powrotem! Widzisz, znowu nad sobą panuję!

— I moja lampka!

— I lampka Kate! Nie będzie dłużej kociątkiem! Łup! Bums! Thor tak mówi i tak musi być! Co to za hałas?

Nad Londynem podnosił się z wolna czerwony blask.

— Thorze, wydaje mi się, że coś niedobrego dzieje się z twoim ojcem.

— Mam diabelną nadzieję, że się nie mylisz. Och. Coś niedobrego? Ojciec! Wszystko w porządku?

— Byłem głupi i nieroztropny — łkał Odyn. — Byłem taki zły i podły i. . .

— Cóż, ja też tak sędzę — odrzekł Thor i przysiadł na brzegu łóżka. — No to co teraz zrobimy?

— Nie wydaje mi się, żebym mógł żyć bez mojej pościeli i bez mojej siostry Bailey i. . . To wszystko trwa już tak długo, a ja jestem taki strasznie stary. Toe Rag mówił, że powinienem cię zabić, ale ja. . . ja wolalbym raczej zabić siebie samego. Och, Thorze. . .

— Och — rzekł Thor. — Rozumiem. No cóż. Nie wiem, co mam teraz począć. A niech to wszystko szlag trafi.

— Thorze. . .

— Tak, tak, co tam?

— Thorze, wiem, co należy zrobić z twoim ojcem i szpitalem w Woodshead. To bardzo proste — powiedziała Kate.

— Tak? Co w takim razie?

— Powiem ci, pod jednym wszakże warunkiem.

— Doprawdy? A pod jakim?

— Pod warunkiem, że powiesz mi, ile kamieni jest w Walii.

— Co?! — wrzasnął oburzony Thor. — Precz ode mnie! Mówimy tu o latach mojego życia!

Kate wzruszyła ramionami.

— Nie! — oświadczył Thor. — Wszystko, tylko nie to! A zresztą — dodał chmurnie — i tak ci już powiedziałem.

— Nie powiedziałeś.

— Powiedziałem. Mówiłem, że straciłem rachubę gdzieś w okolicach Mid-Glamorgan. Chyba się nie spodziewasz, że zacząłem od nowa, co? Myśl, dziewczyno, myśl!

## Rozdział trzydziesty trzeci

Ścieżką wiodącą przez tereny na północ od Walhalli — była tam cała sieć ścieżek, które na pierwszy rzut oka prowadziły tylko i wyłącznie do następnych ścieżek, a potem powracały na próbę do tych pierwszych — szły dwie postacie: wielki, głupi, gwałtowny stwór z zielonymi oczyma i przytroczoną do pasa kosą, która często poważnie zawadzała mu w marszu, oraz mała oszalała figurka, która przyłgnęła do grzbietu stwora, z maniackim uporem ponaglając go, a zarazem jeszcze bardziej utrudniając marsz.

W końcu wędrowcy dotarli do długiego, niskiego i cuchnącego budynku, do którego wbiegli spieszenie, wołając o konie. Wyszedł ku nim stary koniuszy, poznał, a ponieważ słyszał już o tym, że popadli w niełaskę, nie czuł się w obowiązku nieść im pomoc. Na to w powietrzu przemknęła z błyskiem kosa, a głowa koniuzszego, zaskoczona, podskoczyła w górę, podczas gdy reszta ciała z urazą postąpiła krok do tyłu, zachwiała się i, przy braku przeciwwskazań, we właściwym czasie przewróciła się na grzbiet. Głowa zaś potoczyła się na siano.

Napastnicy pospiesznie zaprzęgli do wozu dwa konie, z hałasem odjechali z placu przed stajnią i popędzili drogą na północ.

Dobłą miłą gнали pędem, a Toe Rag popędzał konie długim i okrutnym biczem. Potem konie zwolniły i zaczęły oglądać się niespokojnie. Toe Rag chłostał je coraz mocniej, lecz w efekcie tylko pogłębił ich niepokój, aż w końcu straciły panowanie nad sobą i zawróciły gwałtownie, przewracając wóz i wysypując jadących na ziemię, z której ci natychmiast poderwali się, wściekli.

Toe Rag zaczął wrzeszczeć na przerażone konie, lecz po chwili umilkł, gdyż kątem oka dostrzegł, co je tak przstraszyło.

Nie było to nic szczególnie groźnego — zwykła biała, metalowa skrzynka, która leżała przewrócona na kupie śmieci i grzechotała.

Konie stawały dęba i usiłowały zbiec jak najdalej od białej, metalowej, grzechoczącej skrzynki, lecz były teraz nieprawdopodobnie zaplątane w lejce. W rezultacie spieniły się tylko. Toe Rag szybko zdał sobie sprawę, że nie zdoła ich uspokoić, dopóki nie zajmie się skrzynką.

— Cokolwiek to jest — skrzeknął do zielonookiego potwora — zabij!

Zielonooki odpasł kosę i wspiął się na stertę śmieci, gdzie spoczywała grze-

chocząca skrzynka. Kopnął ją, lecz ona w odpowiedzi zagrzechotała jeszcze głośniej. Stwór napał na nią od tyłu nogą i z potężnym zamachem pchnął ze sterty. Skrzynka ześliznęła się trochę, potem przewróciła i przekoziółkowała aż do samej ziemi. Zległa na kilka sekund, aż wreszcie jej drzwiczki, uwolnione, otworzyły się na oścież. Konie zarżały ze zgrozy.

Toe Rag i zielonooki rzezimieszek, zakłopotani i zaciekawieni, podeszli bliżej, zaraz jednak cofnęli się w popłochu, gdy z wnętrza skrzynki wychynęło nowe, potężne bóstwo.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Następnego popołudnia, w należytej odległości od wszystkich tych wydarzeń, a także w należytej odległości od harmonijnie zaprojektowanego okna, przez które wlewało się popołudniowe światło, leżał w białym łóżku stary, jednoosobowy mężczyzna. Na podłodze, jak na wpół zapadnięty namiot, przycupnęła gazeta, ciśnięta w to miejsce zaledwie przed chwilą.

Mężczyzna nie spał i nie był tym uszczęśliwiony. Subtelnie wątpliwe dłonie delikatnie ścisnęły białą tkaninę pościeli.

Jego nazwisko podawano różnie: raz jako Odwiń, to znów Wodin lub Odyn. Był — a raczej jest — bogiem, co więcej, bogiem zmartwionym i przygnębiwym.

Był — jest — zmartwiony i przygnębiwy z powodu artykułu, który przeczytał właśnie na pierwszej stronie gazety, a który mówił o tym, że inny bóg grasuje na wolności i naprzykrza się ludziom. Rzecz jasna, nie mówił o tym w tych dokładnych słowach, a tylko opisywał wydarzenia ostatniej nocy, kiedy to zaginiony myśliwiec odrzutowy z pełną prędkością wyleciał z jednego z domów w północnym Londynie, w którym na pierwszy rzut oka w żaden sposób nie mógł być się zmieścić. Natychmiast stracił oba skrzydła, przeszedł w przeraźliwy lot koszący, rozbił się i wybuchnął na jednej z głównych ulic miasta. Pilot, który w czasie tych kilku sekund w powietrzu zdążył się szczęśliwie katapultować, wylądował posiniaczony i roztrzęsiony, ale poza tym zdrów i cały, mamrocząc coś o nieznanym mężczyźnie z młotami, przelatujących nad Morzem Północnym.

Na szczęście w czasie, kiedy wydarzyła się owa niewytłumaczalna katastrofa, ulice były niemal puste, więc prócz kolosalnych strat materialnych jedynymi ofiarami, jakie odkryto, są dotąd nie zidentyfikowani pasażerowie samochodu, przypuszczalnie marki BMW, koloru przypuszczalnie ciemnoniebieskiego, co jednak, ze względu na dość drastyczny charakter wypadku, trudno jest ustalić ponad wszelką wątpliwość.

Stary bóg był bardzo, bardzo zmęczony i nie miał ochoty myśleć o ostatniej nocy, nie chciał myśleć o niczym prócz białej pościeli, no i o tym, jak jest cudownie, kiedy siostra Bailey wygładza ją wokół niego, tak właśnie jak zrobiła to przed chwilą, przed pięcioma i przed dziesięcioma minutami.

Do pokoju weszła ta Amerykanka, Kate jakaś tam. Wolałby, żeby dała mu

pospać. Pogratulowała mu niezwykle wysokiego ciśnienia, wysokiego poziomu cholesterolu i arytmii serca, dzięki którym szpital z ochotą zgodził się przyjąć go jako dożywotniego pacjenta w zamian za cały jego majątek. Nie pofatygowali się nawet zapytać, ile wynosi jego majątek, gdyż spodziewają się, że i tak wystarczy na pokrycie kosztów pobytu tak krótkiego jak ten, na który się zanoszą.

Wyglądało na to, że chce, aby się ucieszył, kiwnął więc przyjaźnie głową, podziękował jej niejednoznacznie i odpłynął, szczęśliwy, w sen.



## Rozdział trzydziesty piąty

Tego samego popołudnia Dirk obudził się także w szpitalu, dokąd trafił z powodu lekkiego wstrząsu, kilku zadrapań, siniaków i złamanej nogi. Na izbie przyjęć najtrudniej przyszło mu wytłumaczyć, że większość jego obrażeń została zadana przez małego chłopca oraz orła i że — naprawdę — być przejechanym przez motocykl to prawie relaksujące przeżycie, gdyż składa się głównie z leżenia, a nie odpierania co parę minut ataków z powietrza.

Utrzymywano go w stanie wyciszenia (innymi słowy: spał) przez większość poranka. Śnił straszliwe koszmary, w których Toe Rag i zielonooki potwór z kosą uciekali z Walhalli na północny zachód, a po drodze niespodziewanie natknęli się, a następnie zostali skonsumowani przez nowo stworzonego Boga Winy, który wydostał się z czegoś rzuconego na kupę śmieci, co podejrzanie mocno przypominało lodówkę.

Poczuł sporą ulgę, kiedy obudził go czyjś radosny głos:

— Och, to ty, prawda? To ty podwędziłeś mi książkę.

Ledwie otworzył oczy, powitał go widok Sally Mills, dziewczyny, przez którą został niespodzianie zagadnięty poprzedniego dnia w kawiarni pod tak błahym pretekstem jak to, że zanim zwędził jej książkę, zwędził jej także kawę.

— No cóż, cieszę się, że posłuchałeś jednak mojej rady i przyszedłeś do szpitala, żeby zajęli się porządnie twoim nosem — mówiła krzątając się dookoła. — Trafiłeś tu dosyć okreźną drogą, ale najważniejsze, że wreszcie jesteś. Złapałeś w końcu tę dziewczynę, która tak cię interesowała? Wiesz, to dziwne, ale leżysz w tym samym łóżku, co ona. Kiedy będziesz się z nią widział, może oddałbyś jej pizzę, którą zamówiła, zanim się wypisała. Jest już zimna, ale posłaniec uparcie twierdził, że bardzo stanowczo kazała ją sobie przywieźć. Nie przeszkadza mi, że podwędziłeś tę książkę, naprawdę. Nie wiem, po co je kupuję, nie są zbyt dobre, tylko że każdy je kupuje, prawda? Ktoś mi powiedział, że kursuje plotka, że on wszedł w pakt z diabłem czy coś w tym guście. Myślę, że to bzdury, choć słyszałam o nim jeszcze jedną plotkę i ta podoba mi się o wiele bardziej. Oficjalna wersja jest taka: zawsze każe sobie w tajemnicy dostarczać do apartamentu żywe kurczęta i nikt nie śmie zapytać ani nawet zgadywać, po co mu te kurczęta, bo nikt nigdy nie widział później po nich najmniejszego śladu. Natomiast ja spotka-

łam kogoś, kto miał za zadanie wynosić je w sekrecie. Howard Bell utrzymuje dzięki temu reputację demonicznego faceta i każdy kupuje jego książki. Miła robota, jeśli wiesz, jak ją zdobyć — mówię na to. W każdym razie przypuszczam, że nie masz ochoty przez całe popołudnie słuchać mojego trajkotania, a nawet gdybyś chciał, mam ważniejsze rzeczy na głowie. Oddziałowa mówi, że chyba wypiszą cię dziś wieczorem, więc będziesz mógł pojechać do domu i spać we własnym łóżku, co, jestem pewna, znacznie wolisz. W każdym razie mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej. Proszę, oto kilka gazet.

Dirk wziął gazety, zadowolony, że wreszcie zostanie sam.

Najpierw zajrzał do horoskopu, żeby zobaczyć, co Wielki Zaganza ma do powiedzenia na temat jego dnia. Wielki Zaganza mówił: „Jesteś tłusty, głupi i uparcie nosisz ten beznadziejny kapelusz, którego powinieneś się wstydzić”.

Mruknął do siebie cicho i odszukał horoskop w innej gazecie. Tam było napisane: „Dzisiaj jest dzień, kiedy należy cieszyć się rozkoszami życia domowego”.

Tak — pomyślał. — Dobrze będzie znaleźć się w domu.

Ciągle jeszcze czuł ulgę z powodu pozbycia się starej lodówki i cieszył się już na tę nową, która stała w jego kuchni.

Był tam, co prawda, także orzeł, o którym należało pomyśleć, ale tym będzie martwił się później, kiedy już dotrze do domu.

Powrócił do pierwszej strony gazety, żeby zobaczyć, czy piszą coś ciekawego.